

Athenaeum (Warsaw, 1876)

O PAWLE EDMUNDZIE STRZELECKIM

WEDŁUG RODZINNYCH I TOWARZYSKICH WSPOMNIEŃ

przez

NARCYŻĘ ŻMICHOWSKĄ.

„De mortuis aut veritas, aut nihil.“

Paweł Edmund Strzelecki, przed parą laty zmarły w Londynie, niepoślednie zajmował miejsce wśród téj plejady śmiałych podróżników i szczęśliwych odkrywców, którzy granice wiedzy bieżącego stulecia rozszerzyli. Strzelecki w mniej przenośnym znaczeniu nawet, nie tylko wiedzy, ale i osad angielskich granice rozszerzył. Jeśli nie pierwszy jako Europejczyk, to niezawodnie pierwszy jako człowiek wykształcony, z celem naukowym i tytułem uniwersyteckim przedarł się przez łańcuchy gór Błękitnych, tamujących wówczas wszelki rozrost Nowo-Południowej Wallii, zbadał okolice na zachód Bathurstu, owéj ultima Thule Sydneyczyków położone, a szczęśliwszy do złota, niż Humboldt do brylantów, pierwszy zwrócił uwagę rządu na złotodajny charakter geologicznych warstw nowo poznanego kraju i nie omylił się, — warstwy były złotodajne, a co więcéj znaczy, pierwszy zaznajomił publiczność angielską ze skarbami, jakie staranniejsze zagospodarowanie miejscowych obszarów wydać jéj może, wskazał środki właściwych ulepszeń i znów miał tę pociechę, że ulepszenia istotnie skutecznemi się okazały. Społeczeństwo angielskie wywdzięczyło mu się tytułem i zaszczytami; w kraju rodzinnym jednak nazwisko Strzeleckiego mało komu znane było dotychczas i mało kogo dotychczas obchodzi. W 1840 czy 1841-ym roku dzienniki poznańskie drukowały niektóre opisy z jego podróży, lecz ta wiadomość o nim bez echa przebrzmiała. Odważny ziomek wędrowiec nie wzbudził bardzo żywéj sympatyi, nie wzbudził cieka-

wości nawet; teraz, kiedy Tygodnik Ilustrowany wkrótce po jego śmierci zamieścił w szpaltach swoich jego wizerunek i życiorys, nie zdaje nam się, by to w czémkolwiek lody ogólnej obojętności przełamało. Geografowie specjaliści zaiste wiedzieli i wiedzą o nim, wątpimy tylko czy przeszłorocznicy czytelnicy niespecjaliści dziś jeszcze pamiętają o szczegółach podanej im biografii.

Mamyż więc prawo w jego imieniu uskarżać się na takie zaniedbanie? — Na ten raz, nie,—wcale prawa nie mamy.

Strzelecki wyrzekł się ojczystej ziemi, zerwał z nią wszelkie stosunki, z Prusaka wylegitymował się na Anglika, żył tylko z Anglikami, pracował tylko dla Anglików; niech więc zostanie Anglikiem jako uczony, jako baronet, jako dobry obywatel, bo z przyjemnością zaznaczyć możemy, że umiał być w Anglii dobrym obywatelem. Wśród nas jest on obcym, bardziej obcym niż wielu cudzoziemców człowiekiem. Daleko szersza publiczność zajmowała się losami Franklina i Livingstona, niż losem rozbijającego się po przepaściach pana Pawła. Gdyby go Niemcy chcieli swojej narodowości przywłaszczyć, nie spieralibyśmy się z nimi tak wytrwale jak o Kopernika, i na żadnym placu publicznym, nawet w rodzinnej pod Poznaniem Głuszynie, ze składkowych groszy polskich nie stanąłby spiżowy pomnik na uczczenie jego pamięci. A przecież choć bez żalu możemy go Albionowi darować, wyprzeć się go bez pewnej szkody nie możemy. Dla nas jest on wyborynym antropoi etnograficznym okazem; w przydatku jest gotowusieńkim materiałem do powieści realistycznej, nie tendencyjnej, choć mimo to w moralną naukę tak obfitującą, jak gdyby najtendencyjniej wymyślona była. Tygodnik Ilustrowany podał tylko szczegóły z własnoręcznych listów Sir Edmunda zaczerpnięte. Była to arcywiarogodna, lecz arcy-treściwa i arcy-niezupełna autobiografia tylko. Sir Edmund zawiązywał piśmienny stosunek z osobą, która go jeszcze nie znała; jako prawdziwy dżentelmen chciał się uroczyście zaprezentować: powiedział, kim jest — a raczej nie — kim jest, nie powiedział; objaśnił tylko swoją korespondentkę, jak się nazywa; jakie, na jakim prawie tytuły nosi w swój przybranej ojczyźnie, jakie i kiedy zasługi dla tej ojczyzny położył, słowem, zamieścił wszystko, co mogło starczyć jednocześnie za wykaz stanu cywilnego pana baroneta w Londynie. Dziwném zrzędzeniem losu, tu w kraju posłużyło to niebawem za jego akt zejścia i nekrolog. Gdyby nie kilka tych ćwiartek na wiatr ku wschodniej stronie rzuconych, gdyby nie załączona do ostatniej z nich książka z opisem Nowo-Południowej Wallii, możeby między Wartą a Wisłą, między Niemnem i Dniestrem nikomu na myśl nie przyszło, by

znakomitego współzemiańca słowem wspomnienia na drogę wiecznego spoczynku pożegnać. Co najwięcej jedno lub drugie czasopismo w efemerydach swoich zamieściłoby podaną przez zagraniczne dzienniki wiadomość o jego zgonie, a wiadomość tyleby czytających po polsku prenumeratorów obeszła, co doniesienie np. o zgonie lorda mayora londyńskiej City, lub dajmy na to, pierwszego lorda Admiralicji, choć to przecież dość ważne figury. Przynajmniej pewni jesteśmy, że Tygodnik Ilustrowany nie drukowałby o nim osobnego artykułu, i my sami, czytając ten artykuł, nie przypomnielibyśmy sobie, że o nieboszczyku wiele ciekawych rzeczy napisaćby można, skutkiem zaś tego przepomnienia nie uznali, że je napisać warto, bo niektóre rzeczywiście pouczającą wartość dla psychologów przedstawiają.

O naszym wstawionym wychodźcy, lub właściwiej mówiąc, o naszym wstawionym zbiegu, mieliśmy już pewne dane z bardzo blizkich źródeł; chcąc jednak w całość zebrać te ułamki zaczęliśmy się pilniej dobadywać już to rodzinnej, już po części towarzyskiej tradycji. Ze smutkiem wyznać nam przychodzi, że różnostronne starania nader skąpym plonem się opłaciły. Aż strach bierze pomyśleć, jak prędko przeszłość znajomych, krewnych, przyjaciół, ukochanych naszych, a więc i nasza przepada. Strzelecki miał wprawdzie lat siedmdziesiąt kilka, lecz tak niedawno, jakoby wczoraj, lub onegdaj umarł,—wiele stosunków łączyło nas z całą jego rodziną, znaliśmy jego siostrzeńców, siostrzenice, znali jego brata i kochali serdecznie jego rodzoną siostrę; spotkaliśmy też niegdyś kobietę, którą on kochał: jedno z drugiem przeciwieństwem, gdyśmy własną pamięć i pamięć wszystkich krewnych pod kontrybucją wzięli, okazały się jeszcze wielkie niedobory. Wiązanka żywych podań przez nas uciętą bardzo jest pod względem dat i piśmiennych dowodów niedokładną, w wielu miejscach przedstawia niczém niezapełnione rozstępy; taka, jaka jest wszelako, zachowała przynajmniej wytyczne punkta jego burzliwej po świecie wędrówki. Nam do jój zebrania pierwszym bodźcem był ogłoszony w Tygodniku Ilustrowanym artykuł, ona może znowu kogo do sprostowań i uzupełnień zachęcić — nie dla tego, by literaturze i cywilizacji polskiej zależało tak wiele na odratowaniu wszelkich drobiazgów z żywota jakiegoś Plutarchowego męża, ale dla tego jedynie, że ten mąż wcale nieplutarchowy właśnie do nader zajmujących spostrzeżeń otwiera nam pole. On, który się dobrowolnie wyrzekł swój *narodowości*, mimowolnie zachował całą swoją cechową *plemiennosc*—i to podług najszerszej skali, jaką temu wyrazowi nadać można: zacząwszy od cech pokolenia właściwą so-

bie część świata zamieszkującego— od cech szczepu wytworzonego w pokoleniu na pewnym téjże części obszarze, od cech ludu dziejami swemi przywiązanego do pewnej krajowości, skończywszy na subtelnym odcieniach rozróżniających prowincją z prowincją i niemal powiat z powiatem. Wszystko co w jego wadach i zaletach było instynktem, w jego obejściu się z ludźmi pierwszym popędem, w jego rozumowaniach tokiem i trybem, wszystko to z wypadkowej summy geograficznych, że tak powiemy, wpływów się wytworzyło. Na owym tle plemienném, dopiero przy wyższych zdolnościach umysłowych rozwinęła się osobistość niezmiernie oryginalna; typ pośredni między ostatnimi awanturnikami naszymi z końca przeszłego wieku, a rycerskim zastępem bohaterów wiedzy i nauki, którzy bieżące uświetnili stulecie.

Przykro nam, nadzwyczaj przykro, żeśmy przed chwilą wyrażenia „awanturnikami“ użyli, mając na myśli takich Beniowskich, Jaszczółdów i wielu innych. Utarte określenie najpierw się z pod pióra wymknęło, a jednak trzeba nam koniecznie o inne się postarać, by ten równoważnik, z ponad przedmiotu mającego daleko głębsze znaczenie, raz na zawsze już zdmuchnąć. Jest trochę meteorycznego usposobienia w tych ludziach; nie zdaliby się na mularzy przy *wieży siedmiu wodzów*, ani na szeregowców przy assekuracji armat. Wyczekiwać—niepokonaną trudnością; stać na miejscu — wstrętą dla nich rzeczą. Coś wiecznie naprzód ich popycha, zawsze jednak są to wichrzyciele raczej, są to burzyciele nawet, lecz nie wietrznicy w chwilach słoty i niepogody—a i w chwilach jasnego słońca, wiatry nimi jak piórkami nie pomiatają; dmą tylko w rozwinięte żagle ich łódek i na nieznanne morza pędzą. Ot, kiedy już o żaglach mowa, czyby nie wolno było „argonautami“ ich nazwać? Jak starożytni argonautowie wszyscy oni szalenie odważni, wszyscy hydrom łby skręcać i centaurów zwalczać gotowi, a szczególnież wszyscy się śmiało na fale losu puszczają. Nie wiedzą gdzie zapłyną, ale po co płyną, to wiedzą. Każdemu z nich trzeba koniecznie złote runo zdobyć; złote runo sławy, bogactwa, szczęścia, potęgi... czasem jakiej nieprzystępnej bezmiennemu, beztytułowemu marzycielowi miłości... więc płyną wśród ciężkich przeszkód i bajecznych niebezpieczeństw. Wielu z nich tonie, wielu o skały się rozbija, lecz choć niejedyn z błota się wyrwał, by na okręt wskoczyć, to jest przynajmniej cechą ich ogólną, że w błocie potem nie ugrzeźnie żaden i żaden w tył się nie cofnie. Tym, co runo zdobędą, czy tym co zasną na dnie topieli, jakiś grecki rapsod czasem, czasem jakiś Juliusz natchniony a rozbolały, pieśń nadgrobową zaśpiewa. I cóż łaskawi czytelnicy, nie

zgadzaciez się na to, by nowoczesno-cudzoziemskie miano „awanturnika“ starożytno-cudzoziemskim mianem „argonauty“ zastąpić? Lub może, wy, nasze obecnej chwili Syndbady przynajmniej, jeśli nie Jazony i Tezeusze, wy z pierwszym zuchwalstwem odwagi w młodzieńczej piersi waszej, z pierwszą tęsknotą do nieznanego, do trudnego, do niepodobnego, wy może jakie inne wcale nie cudzoziemskie nazwisko wynajdziecie... dla Beniowskich, ma się rozumieć nie dla Strzeleckiego. Strzelecki był, jakośmy rzekli, przejściowym do innego gatunku typem. Młodość miał trochę do Dzierżanowskiego młodości podobną, w wieku dojrzałym zakrawał na Humboldta, zestarzał się spokojnym milionerem, jak pierwszy lepszy nabob. Słowacki o Strzeleckim pewnieby poematu nie napisał. Pan Kraszewski jednak, mógłby napisać bardzo zajmującą powieść. Raz już nawet — ale to chyba na szkolnych, lub uniwersyteckich ławkach — zdarzyło mu się ten przedmiot zacząć. Sam nie wiedząc o kogo zaczyna, humorystycznie użytkował rozplotkowaną po całym kraju dykteryjkę i drukiem w małej książeczce ogłosił. Nieco dalej objaśnimy ten szczegół. Teraz zwracamy się do innych, o tyle zwłaszcza ważniejszych, że w kolei czasu, nieuchronnie musiały, obrobiony przez pana Kraszewskiego, poprzedzić.

A najpierw tedy rodowód.

Dziś, gdy solidarność wstępnych i zstępnych pokoleń z dowodności historyzoficznej zamieniła się już w pewnik nauk przyrodniczych, dziś gdy prawem dziedziczości (fyzjologicznej, nie kodeksowej) tłómaczą większą część zjawisk życiowych: zdrowie i choroby, popędy i skłonności, bogactwo i ubóstwo władz umysłowych, dziś zaiste przy każdej biografii nadzwyczaj użyteczną byłaby krótkka, najtreściwsza zresztą, ale wiarogodna historia dziadów i nadziadów przedstawianej biograficznie osobistości.

Niestety! o dziadach i naddziadach Strzeleckiego, jako też pewnie i nas wszystkich cośmy w kalendarzu gotajskim nie zapisan i co nawet w gotajsko-polskim nigdy zapisanymi nie będziemy, bardzo mało jest do powiedzenia. Jeśli gdzie metryk kościelnych z datami ślubów, urodzin i śmierci wojenne pożogi nie zniszczyły, to je szczury dogryzły, a jeśli nie szczury, to je niebaczne ręce na cztery wiatry rozniosły. Znane są przecież dzieje parafialnego w Końskim archiwum, rozpacz ś. p. Bartoszewicza, ratunek, ocalenie szczątków i t. p. Łatwo ztąd wywnioskować, że jeszcze mniej śladów się ostało niż archiwalnych zdarzeń i wypadków. Ciekawi jesteśmy, jak się pod tym względem dorastająca obecnie młodzież zabezpieczy? ale co starzejące się obecnie pokolenie, to wiemy, że się bardzo źle zabezpieczyło. Z życia ojców i matek niewiele zna szczegó-

łów; o dziadkach i babkach ledwie że zasłyszało; a o pradziadków, o prababki, to już w niém pytać nawet niewarto nikogo. Różne bo przyczyny złożyły się na ową wynikłość. Posiwiątłych naszych głów generacya była przeważnie jakąś sierocą, bezrodzinną niby generacyą. Wstrząśnienia towarzyszące zakończeniu ubiegłego, a początkowi bieżącego stulecia, wojny, wychodźstwa, pierwsze właśnie najśmiertelniejsze przejścia cholery, wszystko to grobowym wałem rozgraniczyło dzieci z rodzicami. Gdzie mogła nie wyrosła, tam głębsze od jej wnętrza milczenie zapadło. Jedni zawodów swoich, zmartwień, pomyłek i upadków opowiadać nie lubili, drugich głębokie zubożenie ogarnęło i woleli żyć chwilą obecną, zapominać jak Papuąsy Nowej Holandyi, niż potomstwu swemu, jak lirnicy ukraińscy z wątku własnej przeszłości snuć dumki i skazki; innych znowu onieśmiało, dość rozpowszechnione i teraz jeszcze mniemanie, że tylko znakomite czyny i znakomite nazwiska pamięci młodych dziedziców przekazywać warto. Tradycya rodzinna tak długo była przywilejem kastowym, że w niej ciągle chcą mieć pewien przywilej, jeśli już nie od dawnych dziejów to na przyszłe dzieje; coś takiego, co by kiedyś drukować się dało, co by się zaznaczyło świadectwem w polityce, prawodawstwie, literaturze, a tu właśnie do polityki, do prawodawstwa, do literatury, stosy materiałów, tylko owych najpospolitszych lekceważonych drobiazgow z dni powszednich brakuje. Cobyśmy to dali dzisiaj, gdyby nam kto opowiedział konkury, zmartwienia i pociechy, sąsiedzkie stosunki, a choćby domowe kłótnie, gdyby odmalował wady i zalety, dziwactwa i moralne wyobrażenia całego szeregu swoich antenatów!—a gdyby choć w jednej kamieniczce małomiasteczkowej, gdyby choć w jednej wiejskiej chałupie spotkało się człowieka, co by przed nami rozsunął całą tkanę losów swój rodziny od pięciu, od czterech, niechby od trzech pokoleń tylko—jakże wdzięczni bylibyśmy za to! rozwiązałyby się tyle wątpliwych zagadnień, może i usunęło choć kilka społecznych nieporozumień; wszakże to zapomnienie faktów, z brakiem piśmiennych dokumentów połączone, najzaciętszych procesów przyczyną bywa. Lecz cóż robić? ciemny gmin nie nawiązał, gmin trochę oświeceńszy dał sobie wszystkie subtelniejsze niteczki rodowej tradycyi pozrywać: próżność tylko wyzyskała ją na swoją korzyść i niepróżnych do niej zniechęciła. Dla tego, że ludzie miałościę głowy puszyli się tytułami przodków, szlachetni przestali nawet o ich zasługach wspominać; z niedorzecznej chwalby i śmiesznej pretensyi nie wydzielili prawdziwie życiowego pierwiastku, owych wspomnień czysto pamiętnikowej natury, wspomnień, co grzeszne

czy chlubne, zawsze jako przestroga, jako zachęta, szczególnież też jako wytłumaczenie naszej teraźniejszości również są dla nas kosztownymi. Co to za kapitał stracony, stracone wspomnienie!... To też gdy nam z powodu Strzeleckiego nazbierało się różnych szczątków przeszłości, nie mieliśmy odwagi gatunkować ich, by potrzebniejsze od mniej potrzebnych odłączać, zgarnęliśmy wszystko razem, ot dla tego tylko, że dawne, — a jednak później gdyśmy to koło głównej postaci rozłożyli, okazało się, że każdy szczątek coś nam tłumaczył, coś dopowiadał czasem na wyrok potępiający, czasem na usprawiedliwienie — i w końcu wszystkośmy też zażyliśmy.

Rodzinna kronika Strzeleckich z najdalszej pamięci wyciągnięta, zaczyna się trochę na podobieństwo baśni Lechowój: „Lech przybył z Krocacyi nad jezioro Gopło...” tak uczyliśmy się w dzieciństwie i tak nam o Strzeleckich piszą. Nie z Krocacyi atoli jedno z Chrobacyi, nie tuż nad jezioro Gopło, ależ zawsze do ziemi Polan to jest: z Galicyi w Poznańskie przybył roku 1730 Piotr herbu Oksza Strzelecki. Sprzedawszy prawdopodobnie, lub w drodze działów zdawszy ojcowiznę swoją, Dziewankę nad Dniestrem, kupił dobra Koszuty w Wielkopolsce, ożenił się z panną Kęszyczką i miał dwóch synów: Andrzeja i Franciszka. Andrzej umarł kawalerem, straciwszy swój i brata swego majątek, Franciszek ożenił się z panną Raczyńską i był ojcem tego właśnie, który nas zajmuje, Pawła. Tyle wiemy o mężkiej linii szanownego sir Edmunda. O linii żeńskiej nieco obfitsze przechowały się wspomnienia. Z téj strony już dziad jego ma odrębną swoją historią. Nie bierzemy na siebie odpowiedzialności za dokładność wszystkich jej szczegółów; tak je podajemy, jak nam niegdys i teraz podane zostały. Wiele być musi faktów poprzekręcanych, żadnego może dzisiaj niktby udowodnić nie potrafił, całość ich ma jednak za sobą prawdę archeologiczną, że się tak wyrazimy, atmosfery. Pan Raczyński był to właściciel rozległych dóbr zwanych podówczas Kiekrz, Wielki Gaj i Mały Gaj. Dodaliśmy tutaj zastrzegający wyraz „podówczas“, bo dziś może niemieckie noszą już nazwiska. Gałąź od Strzeleckich pochodząca, tytułuje go kasztelanem, i to ni mniej, ni więcej tylko poznańskim kasztelanem: ponieważ jednak znaleźmy przed laty jedną z córek tegoż Raczyńskiego i nigdy nie szlyszeli, by o téj godności wzmiankę jaką uczyniła, postaraliśmy się o sprawdzenie naszej wątpliwości i tę przynajmniej stanowczo rozstrzygnąć nam się udało. W nowém wydaniu Niesieckiego, tom I-szy przez samego Lelewela przeglądany, obejmuje chronologiczne spisy wojewodów, większych

i mniejszych kasztelanów, biskupów, marszałków, słowem wszystkich dygnitarzy dawniej Rzeczypospolitej. Nie spotkałiśmy nigdzie żadnego Raczyńskiego kasztelana; mianowicie od r. 1744 do 1793 kasztelanami poznańskimi byli: Stefan Garczyński, Melchior Gurowski, Karol Grudziński, Wojciech Miaskowski, Ignacy Twardowski, Józef Mielżyński, Roch Zbijewski, Rafał Gurowski. Na mniejszych kasztelanach, gnieźnieńskiej, nakielskiej, sieradzkiej, też same niemal spotykają się nazwiska; w ogóle widać, że rodzina Raczyńskich świeżo około tego czasu z tłumy na wierzch wypłynęła, bo Kazimierz marszałek i Ignacy biskup, pierwsi z niej dopiero między dygnitarzami są wymienieni. Czy pan na Kiekrzu, Wielkim Gaju i Małym Gaju był imiennikiem tylko i współherbowcem, czy istotnie blizkim powinowatym tych sławnych z czasu Targowicy Raczyńskich? tu się jak głowy rakuskiego orła, rozchodzą dwóch szczepów rodowych podania. Naturalnie potężni Raczyńscy zawsze ignorowali śmieszne drobnych pretensye. Kiedy wysoko zasłużony w literaturze i w dziejach miasta Poznania, hrabia Edward Raczyński majorat ustanawiał i w przypuszczalnym braku dziedziców linii prostej, obwarowywał prawa kolateralnych, Raczyńskich, z Księstwa Poznańskiego zupełnie pomijając żadnej nawet wzmianki o nich nie zrobił. Łatwo można się domyślić że Raczyńscy poznańscy z wielkim przekąsem mówili o tej niesprawiedliwości i utrzymywali, że chciał tym sposobem zatrzeć wszelkie ślady wyrządzonej im przez swego stryja krzywdy. Wszystko to przecież ani za pokrewieństwem, ani przeciw pokrewieństwu niczego nie dowodzi. Od najdawniejszych czasów byli magnaci, co się niby ze śniegu w sieni, otrząsali z naleciałości niezbyt świetnych a ciągle protekcji dopominających się koligatów: od najdawniejszych też czasów byli pełni próżności i nikczemnej głupoty współimiennicy, którzy się gwałtem do koligacyi magnackiej wdzierali. Rzecz to wiadoma zresztą, że tożsamość nazwy o tożsamości pochodzenia wcale nie stanowi; są Czartoryscy w Łomżyńskim, są Zamojscy w Kaliskim, a pewno im się nie śniło nawet do księżęcej lub kanclerskiej genealogii przyczepiać. Prawda, iż wielcy Raczyńscy jako „ludzie nowi“ mogli być w bliższym z małymi Raczyńskimi stosunku, lecz jak ta sprawa po słuszności między nimi stała? Tu już ani Lelewela, ani Bartoszewicza wyrok na nicby się nie zdał; przedawnienie zapadło. Bądź co bądź, czy Raczyński z Kiekrza należał do plejady możnych trzech braci, czy nie, jednak że widać ze wspomnień jego własnych dzieci, że miał prawdziwie wielko-pańską dumę, i że wszystkim przesądom szlacheckim jak najwierniej holdował. Dumę i rodowe przesady jego ciężkie

strapienie dotknęło. Gorąco pragnął mieć syna. My dziś takiego pragnienia wyobrazić sobie nawet nie umiemy. Zdaje się, że gdyby syn był warunkiem do otrzymania jakiego bogatego dziedzictwa, to mimo całej chciwości pieniężnej znamionującej bieżącą epokę przedsiębiorstw i gründerstwa, jeszczeby go nie oczekiwano ztak namiętną niecierpliwością, jak wówczas, gdy przedstawiał tylko istotę, której kiedyś właśnie majątek swój dziedzictwem, spuścić będzie trzeba. Otoż pan Raczyński na Kiekrzu syna się nie doczekał. Żona mu siedm córek jedną po drugiej urodziła. Biedne, niekochane dziewczęta, w grozie i zawiędbaniu chowały się po służebnych izbach rodzicielskiego domu; gdy rodzice umarli, i te nawet liche izby zamknęły się przed nimi, bo nowi właściciele dwór w Kiekrzu zajęli. Ta, przy której kolanach słuchaliśmy tych starych dziejów, jedna z młodszych córek Raczyńskiego, bardzo już wtedy latami i chorobą ku ziemi pochylona, choć z piękną zawsze jak dobroć twarzą, z błękitnemi jak niebo szczerze pobożnych oczami, wzdychając mimowolnie, smutnym głosem powtarzała nam ciągle z równem zajęciem słuchaną historiją swojego dzieciństwa. Pamiętała wybornie ogromne fury, co zajeżdżały przed gumna, piwnice, śpichlerze i sienie dworskie, a odjeżdżały naładowane workami ze zbożem, beczkami z winem, kuframi ze srebrem stołowem; wszystko to szło do pana marszałka Raczyńskiego, któremu według krążących dokoła pogłosek pan Raczyński, jój ojciec, cały Kiekrz z przyległościami i wszystko co w Kiekrzu było—ma się rozumieć oprócz siedmiu wydziedziczonych córek—na własność przekazał. Nie chciał on podobno żeby jego majątek rozdzielony, rozdrobniony, po kądzieli w obce przechodził nazwiska, i dla tego przy mieczu, choć postronnym, przy nazwisku, choć nie synowskiem, ale takiem samem w całości go zostawił. Wierzyliśmy każdemu słowu opowiadającej i dotychczas wierzymy; w czasie tych wypadków jednak, przed końcem, lub niezadługo po nieszczęśliwym końcu konfederacyi barskiej, była ona bardzo młodziutką dziewczką jeszcze, nikt z nią poważnie o interesach rodzinnych nie rozmawiał, chwytala tylko przypadkowo uderzające o jój ucho wiadomości, może tylko wnioski i przypuszczenia sąsiadów lub czeladzi. O stracie Kiekrza każda z wydziedziczonych trochę odmienną przekazywała swoim dzieciom legendę. W jednej odrośli rodzinnej mówiono np., że pan marszałek prostopu prawem kaduka kiekrskie dobra zajął; musiał mieć szczęście do podobnych oskarżeń, bośmy się z takimi samemi w rodzinie Wotpolów spotkali. Tam szło o jakąś babkę Hermanową, nadzwyczajnie bogatą mieszczańkę, bodaj czy nie

blizką krewną Hoene-Wrońskiego. Widocznie musiały pewne okoliczności na wyobraźnię ogółu podziałać, bo wielu rodzinom co między 1787 a 1800 majątki potraciły, zawsze się zdawało, że pan marszałek mniej więcej był temu winien, tak jak po 1800 r. katastrofy tego rodzaju zwykle na francuzkie wojny spędzano. Nie dowodzi to faktu, ale dowodzi usposobienia w średnich i niższych warstwach towarzyskich wyrobionej o panu marszałku opinii, rzecz dla nas przynajmniej bardzo ciekawą się zdaje. Człowiek na jakiejś kartce dziejowej zapisany, tak odmiennie czasem w życiu prywatnym i w sądach współczesnych wygląda. Zdarza się, że domowe grzechy okupują się wielką publiczną zasługą, lub na odwrót ciężka publiczna wina domowe cnoty przysłania, ale tutaj nie było jak widać zbyt wielkiej sprzeczności między dwiema stronami tej samej człowieczej natury; rzadko bo też ona się zdarza; Janusowe charaktery, od lewego boku czyste, od prawego skalane, do najosobliwszych osobliwości zaliczamy. Czy pan marszałek prawnie czy nieprawnie Kiekrz zagarnął, w każdym razie osobliwością nie był, i dla tego zapewne tyle podaniowych pretensyi wyłączenię koło niego, niż koło biskupa lub generała Raczyńskiego się opłatało, choć właśnie synowie generała biskupi i marszałkowski odziedziczyli majątek. Siostrzeniec Pawła Strzeleckiego, gdyśmy się po objaśnienia rodzinnych stosunków niebieszczczyka doń zgłaszali, podał nam wprawdzie trochę inny, ale dość blizkoznacznym wykład postępowania swego pradziada: „Umierając zostawił on dobra Kiekrz, Wielki Gaj i Mały Gaj swoim siedmiu córkom i zamianował pana marszałka Raczyńskiego opiekunem. Pan marszałek tak doskonale opiekę prowadził, że wżwyż wspomniane dobra zabrał sobie.“ Krasicki w swoim panu Podstolim zaświadcza, że taka była wtedy zwykła kolęj wszystkich „sierocińskich,“ jak je zwano, wiosek. Łaskawy korespondent nasz dodaje wszelako trochę dalej, że opiekun pupille za mąż powydawał. My, z ust rodzonej siostry jego babki, a więc rodzonej także pana na Kiekrzu córki, słyszeliśmy owszem, że dziewczęta rozproszyły się po domach znajomych i powinowatych. Ona sama, ta nasza wielce ukochana pani Tekla, jedna z najmłodszych, bardzo nieszczęśliwie trafiła, bo się dostała jakiejś pani Mycielskiej, wielkiej kapryśnicy, która jej na początek edukacją swoich... indyków powierzyła; dopiero gdy starsze siostry ujęły się za biedaczką, przeniosła ją do garderoby, a w końcu na pannę respektową posunęła; na każdym stopniu jednak tej dworskiej karyery nie pomyślała o tém, by swoją wychowanekę choćby jakim podartym elementarzem obdarować. Sierotka z własnej ochoty wyuczyła się

czytać na stariej książce do pacierza, która do starszej jeszcze, ale bardzo pocziwiej szafarki należała; przez długi czas też i pismo nieprzystępną i gorąco pożądaną było dla niej sztuką. Kiedy chciała do siostr oddalonych się zgłosić, wtedy z wielkim mozolem drukowane naśladowała litery. Pan marszałek więc wychowanek swoich za mąż nie powydawał. Jest to właśnie dość charakterystycznym zarysem tamtej epoki, że z wyjątkiem najmłodszej, lekko na umyśle upośledzonej, wszystkie panny Raczyńskie mężów sobie znalazły. Pomyślcie tylko dzisiejsze młode osoby—sześć siostr bez posagu, i każda za mąż poszła! Prawda, że były bardzo przystojne, więc mogły się podobać; na panów nie czekały, więc przyjęły prostych szlachciców, gdy się który w której zakochał. Łatwiej jakoś ludzie zakochiwali się wówczas. Utrzymują, że teraz większa oględność, przezorność i rachunkowość młode serca krępuje. Nie zdaje nam się. I wtedy każdy wolał z posagiem, niż bez posagu brać żonę; z większym cynizmem nawet, a raczej z większą prostotą trzymano się tego zwyczaju; dopiero gdy się kto zakochał to już ani o posag, ani o majątek, ani o tytuły nie pytał. Dziś też nie inaczej się dzieje. Gdy się kto zakocha, to o posagu, ani o majątku, ani o tytułach nie myśli: w tém różnica tkwi cała, że się to coraz rzadziej zdarza; przybyło zdolności muzykalnych, malarzkich, snycerskich, inżynierskich, technicznych, administracyjnych—ubyło zdolności zakochiwania się. Tymczasem w rodzinie siostr Raczyńskich i w całym ich otoczeniu zdolność ta wcale do nadzwyczajności nie należała; niechby za przykład choć tę pannę respektową przytoczyć. Zjeżdża raz do państwa Mycielskich młody prawnik, w jakimś ich interesie; każą przynieść kawy, panna Tekla przynosi. Z taczką w rękę, z imbryczkami na tacce, ze spuszczoną głową i spuszczonej oczami raz tylko przeszła przez pokój i młody prawnik zakochał się po uszy. Za drugą bytnością swoją oświadczył się o jej rękę; w kilka tygodni przywiózł do swego domku, by w nim panią była. Ach jak też ona swego Józeczka i miłością i wdzięcznością ukochała nawzajem! Szkoda tylko, że mieli zupełnie różne stopniem i kierunkiem wykształcenie, a nie mieli dzieci. Pan Józef był fanatycznym zwolennikiem filozofii ośmnastego wieku; pani Tekla była najszczerzą i najprostomyślniejszą katoliczką; ztąd poszły pierwsze—a trzeba przyznać—pierwsze i zaczepne ze strony pana Józefa nieporozumienia byłyby się mgłą rozwiały, gdyby między te dwa, równie zresztą szlachetne i prawdziwie „dobre“ dla drugich serca, para dzieciak przynajmniej łącznikiem stanęła. Oboje mieli wysoko rozwinięty instynkt ojcowstwa i macierzyństwa, raz poraz brali na wychowa-

nie to synowców, to siostrzenice, pielęgnowali, uczyli, pieścili — wszystko to jednak rodzonych dzieci nie zastąpiło. Mąż się zmęczył, coraz częściej zaczął wyjeżdżać, coraz dłużej zdala od domu bawić; czasem przez lata całe nie wiedział co się z żoną dzieje, a żona znów po dawnemu była biedną i biedną aż do śmierci została. Na siedmdziesiątkilka lat życia przeżyła jednak dwa lata jakoby w raju szczęśliwie; nie każdy przecież może się takim odsetkiem pochwalić. Tych dwóch lat wszelako bynajmniej a bynajmniej panu marszałkowi nie zawdzięczała. Wpływ pana marszałka na losy pokrzywdzonych sierot nigdy, pod żadnym względem, protekcyjnym nawet nie był; właściwej protekcji doznały one nie dla siebie, lecz dla dzieci swoich, i to nie od marszałka, lecz od ks. biskupa; marszałek zawsze zdala od nich się trzymał. Wątpimy jednak, czy szanownym czytelnikom zależy co na tém, by się rzeczywistej prawdy owych stosunków indukcyjną lub dedukcyjną metodą dobadywać? No, i nam nic na tém nie zależy. Rozpisaliśmy się trochę dłużej o téj sprawie, dla tego jedynie, że jój skutki w dość dziwny sposób na młodsze pokolenie oddziały.

Wszystkie panny Raczyńskie byłyto, jak widzieliśmy, nie tylko wyższej edukacji, lecz i staranniejszego wychowania pozbawione kobieciny. Same wprawdzie dorosłszy wychowały się bardzo przyzwoicie, nauczyły różnych książkowych, a w towarzystwie już podówczas koniecznych wiadomości, zasłynęły szczególniej talentem gospodarskim, który istotnie więcej może niż grammatyka bystrości umysłowej wymaga, nie brakło im przeto właściwej pojętności, brakło im tylko pojęć; żyły ciasnym życiem, sąd kształciły na zwyczajach, ale zwyczajów nie porównywały nigdy z ogólnymi zasadami. Od lat najmłodszych w domu rodziców przywykły widzieć takiego pana marszałka, takiego pana generała i ks. biskupa otoczonych głębokimi atencjami — pana marszałka, szczególniej!.. Zapewne gdy miał przyjechać, sute mu zawsze gotowano przyjęcie; jeśli dziewcząt w ciasniejszy gdzie zakątek przed nim nie schowano, to im niezawodnie na taką galę odświętne kazano kłaść sukienki; jedno równie jak drugie głębokie musiało czynić wrażenie. Pan marszałek olbrzymiał na monarchiczną figurę. Jeżeli ojciec był względem niego tak pelen uszanowania, to czemuże on być musiał? Gale przeminęły, wrażenie zostało, nawet go doznana później krzywda nie zatarła. Rozproszone sieroty wzdychały po dawnym splendorze rodzicielskiego domu, często sarknęły na niegodziwe przywłaszczenie; mimo to, przywłaszczyciel cały urok wyższości dla nich zachował. Jak się często zdarza, między

siostrami są lepsze, są i gorsze. Lepsze panny Raczyńskie były bardzo dobre, łagodne i nieśmiałe aż do bezradnej rezygnacji; gorsze panny Raczyńskie były trochę pyszne, trochę chciwe i samolubne aż do zręcznej przebiegłości. Otoż bezradność i przebiegłość pospołu się w klientelę możnego panka zaciągnęły. Objął je, lecz mógł wesprzeć, miał środki po temu. A zresztą klientela we krwi jeszcze krążyła; miazmata jej w powietrzu jeszcze wirowały, organizm bezwiednie niemi przesiąkał. Drobną szlachta, ubożsi krewni, czy współherbowni, wszystko to byli urodzeni klienci „clientes nati,” tak jak z prymasa „legatus natus“ bywał zawsze. Dla sióstr Raczyńskich dobrodziejstwa ks. biskupa źródło swoje przecież miały w stosunku z panem marszałkiem. Ks. biskup wypuszczał im dzierżawy, łożył na wychowanie ich dzieci, ale to wszystko skutkiem jakiegoś tajnego układu między obu panami, lub skutkiem miększego serca, które poczuwając się do pewnej korzyści w spełnionem nadużyciu, poczuwało się też do pewnej za nie odpowiedzialności. Tak sobie przynajmniej rozumowały panie siostry, Raczyńskie z domu, i kobieca ich logika doskonała jakoś umiała pomieszać zarzuty z prośbami—urazę z wdzięcznością — Dziesięcioro Bożego przykazania z uszanowaniem dla marszałka, generała i biskupa.

Dopiero w główkach dzieci i wnuków dwa te prądy: żal po straconej wielkości i uniżoność dla wielkich, zupełnie innego rodzaju chaos wytworzyły. Któż bo z własnego doświadczenia nie zaznał tych haszysowych fantasmagoryi, które sobie w dziecięcym wieku wyobraźnia tak łatwo snuje! Wiecznie one mają ten cudowności, bezmiaru i bezgraniczności pierwiastek, jakim się indyjskie i arabskie odznaczają poemata. Każde dziecko jest w pewnych chwilach swoich marzeń Indyaninem i Arabem. Nic dziwnego, że dzieci z rzeszy Raczyńskich liryką macierzyńskich wspomnień kołysane, wspomnienia te, indyjskimi i arabskimi połączyły sobie blaskami; pokorna uniżoność ich matek, przeobraziła się w nich na pretenswą do znaczenia, jakie *byliby mogli* posiadać; żal dóbr straconych, zamienił się w nadzieję odzyskania—czego? jużście nie Kiekrza, bo Kiekrz na wieki wieków przyrósł do pana marszałka—ale odzyskania innych skarbów, *innych* majątności, kluczków, powiatów.... czemuż to sobie żałować?... Los był wydziercą (pan marszałek już z pierwszego planu ustępował), los dłużnikiem został; prędzej czy później los wypłaćcą być musi. Ze dwie generacye chowały się i rosły na fermentie tych rojeń; summa ogólna dała kilku ludzi z prawdziwie szlachetną ambicyą, bardzo wielu z fatum najnie szczęśliwszych historycznych pretendentów. O! pre-

tendentów cała gromada! Senni dziwną tęsknotą za jakimś świątynnym stanem przeszłości, której osobiście nigdy nie zaznali; rozdrażnieni ciągłym wymaganiem wszystkiego, na co w bieżącej chwili nie stać ich było, pełni próżności z oczekiwanej restauracji, która powinna była przecież w jakimś jutrze do nich nadpłynąć; gotowi na wszelkie awantury, (mówimy na ten raz o wcale nie argonautowych awanturach: o polowaniu na posagi, o nadziejach pomocy, protekcji, sukcesyji, o wykopaniu skrzyń pełnych złota i t. p.), tylko niegotowi do zwykłej pospolitej pracy; noszący się bezprześcannie w głębi duszy z gorzkim oburzeniem przeciw popełnionej względem nich niesprawiedliwości—słowem, wszyscy na małą stopę Stuartry, Wazowie, Don Karlosy. A tak łatwo mogli się pozbyć ciężaru swoich dynastycznych pretensyj! Niechby się tylko zastanowili, że o ile pan marszałek Kiekrza i obu Gajów nie skonfiskowałby na swoją korzyść, o tyle, jak dwa a dwa są cztery, tak niezawodnie piękne pięknych włości dziedziczki byłoby za innych konkurentów powychodziły, a ich mężowie byłiby się z innymi panienkami poženili. Mogło więc przybyć na świecie trochę niewiadomych z nazwiska X. X-ów po pannach Raczyńskich, mogło przybyć trochę indywiduów, coby się Rynarzewskimi, Strzeleckimi, Kiedrzyńskimi zowiąc, rozmnożyli się w Sypniewskich, Słupskich, Dugłasów, Szynclarskich i t. d., nigdy wszelako ci, którzy dzisiaj po ziemi chodzą—o panu marszałku z rozżaleniem może mówią, a pewnie samych siebie tak serdecznie przynajmniej kochają, jak bliźniego... kochać nakazano—ci wszyscy nie żyłoby wcale! Wyobrazić sobie—wszyscy! z ojcami, z matkami, z dziećmi i babkami, wszyscy, jak gdyby nagłą śmiercią pomarli. Według ścisłego syllogizmu przecież: kto się nie urodzi, ten nie żyje; kto umrze, ten także nie żyje; a więc nie urodzić się i umrzeć na jedno i toż samo wychodzi. Czy chcielibyście kogokolwiek z waszych rodziców lub z waszego potomstwa uśmiercać? Wy, resztki pozostałe jeszcze prawdopodobnie po dawnych pretendencjach? Wiemy przecież z pewnością, że każdemu jego osoba dość miła, a jednak gdyby nie Kiekrz stracony, toby tej osóbkę właśnie brakowało na świecie—co zaś więcej jeszcze dla nas w tej chwili znaczy, nie byłoby i Pawła Strzeleckiego, owego arcypretendenta, jedyne go pretendenta, z talentem odzyskawczym, lub raczej nowo-nabywczym.

Dzięki zaborczej opiece pana marszałka, Paweł Strzelecki urodził się, bo jego ojciec Franciszek Strzelecki nierządem brata zubożony, ożenił się ze zubożoną przez pana marszałka Anną Raczyńską i za resztki upadłej fortuny kupiwszy o dwie mile pod Poznaniem leżącą wieś kościelną Głuszynę, wraz z żoną swoją w niej

zamieszkał. Anna była o pięć lat starsza od męża, lecz uchodziła za najpiękniejszą między siedmiu siostrami, i według rodzinnej tradycji miała być tak dobrą, że ją w całej okolicy za świętą uważano; nam zaś teraz, gdyśmy ściągali potrzebne o rodzie Strzeleckich wiadomości, w przesłanej notatce załączono jeszcze objaśniającą uwagę, że była dobrą, jak ta, co ją najbliżej znaleźliśmy: pani Tekla. Przez jedną o drugiej sądząc, śmiało ręczyć możemy, że to było arcydzieło nieświadomej sobie, instynktowej, wesołej z potrzeby serca jak światło ze słońca płynącej dobroci. Coś pierwotnego, coś koniecznego w naturze. Bez poczucia ofiary, bez wysiłeni heroizmu, gotowość poświęcenia się dla drugich, bez żadnych ascetyzmów hartowna niedbałość o własną wygodę i własne upodobania; łatwa bardzo na własne zyski obojętność; przytém obok żywości bez zwłoki i bez ogródki wypowiadających się wrażeń, łagodność temperamentu aż do pozazdrosczenia; obok dowcipnego rozsądku, obok żartobliwej figlarności, która się latom sędziwym ani smutkom wykorzenić nie dała, jakaś cicha umiejętność pożycia z ludźmi, we wszystkich stosunkach domowych: „olej wylany imię twoje,“ jak to w godzinkach napisano stoi. Może trochę nawet za nadto tego oleju, może zbyt luźna pobłażliwość. Widać, że jak prywatne, tak i publiczne postępowanie pana marszałka nie budziło dość silnego wstrętu. Że wywłaszczenie zniosły spokojnie, to ich dobra wola; nie gorszymy się tém bynajmniej; ale że wywłaszczyciel nie spadł nisko w ich opinii—to chyba według tego, cośmy powyżej mówili, dziecinnymi nawyknięciami da się wytłómaczyć—że zaś pani Strzelecka dodatkowe względem jego domu przyjęła zobowiązania, gdyż panią marszałkową na chrzestną matkę swęj córki zaprosiła, to już nam się w żaden sposób podobać nie może. Mamy pewne dane w naszych wspomnieniach jasno dowodzące, że pierwiastek szlachetności nie był obcym tój dobroci potulnych kobiet; jednak pokazuje się, że niewieścia linia sióstr Raczyńskich więcej miała władz ukochania, niż sądu i sprawiedliwości. Rosnąc pośród ludzi złych i zepsutych, oswoiły się z tą myślą, że tak wszędzie i zawsze się dzieje; źli i zepsuci nie zdawali im się większą osobliwością niż deszcz i błoto. Można deszczu i błota nie lubić; ktoby tam jednak był tak rozdelikacony, żeby ich ciągle z obrzydzeniem unikał? Panie z domu Raczyńskie tak mało unikały, że ich dzieci, ich wnukowie od obcych dopiero lub z drukowanych ksiązek dowiadawali się o dziejowym charakterze takiego marszałka nadwornego, takiego generała wojsk koronnych, takiego nawet księdza biskupa, a raczėj wówczas już księdza arcybiskupa, co dla zubożałej swojej klienteli najpomocniejszym jeszcze się okazał.

Jeśli pani Strzelecka ze względu religijnego była także w pojęciach i skłonnościach do swęj siostry Tekli podobną, a za świętą niewiastę w okolicy głuszyńskiej uchodziła: przyznać musimy, że to nam daje bardzo pocziwe wyobrazenie o jęj mieszkańcach. Po i cóż? te panie nigdy żadnej nowej formy nie wymyśliły na umartwienie ciała i nabożeństwo. Kwestyami teologicznymi nie zajmowały się wcale. Więcej daleko wierzyły w katechizm, niż w księdzę. Choć aż do zbytku pobłażliwe, zawsze mimo tęj słabości moralnego rygoru, silniej oburzały się łotrostwem niż obcemi wyznaniem. Odwiedzały chore Żydówki bez żadnej choćby najskrytszjęj intencji prozelityzmu; dzieliły się chlebem powszednim z tymi, którym jeść się chciało; zastawiały na stole wyborną kawę z ciastem dla gości i przyjaciół, nie wiedząc najczęściej czy oni są katolicy, czy też lutrzy, kalwini, czy nawet farmazoni i filozofy, jak ten ukochany mąż pani Tekli, który ją przecież tyle łez kosztował! Ich *praktyki* pobożne były nadzwyczaj proste. Zachowywały wszystkie Bożkie i kościelne przykazania, głęboko przywiązane były do wszystkich obrządków i przepisów katolickięj religii.

W tułactwie po obcych domach, niedostatku, chorobach, otuchy im dodawała ta myśl, że wejdą kiedyś do Królestwa Niebieskiego, gdzie każda łza ich niewinnie przelana porachowaną im będzie. Żeby tam wejść tylko! grzechów się strzegły, krzywdy ludzkieję na sumieniu nie miały, ale czy dosyć ludziom dobrego zrobiły? to stanowiło ich jedyną wątpliwość; był czyścić w odwodzie, a zatęm i nią się bardzo nie dręczyły, jednak pragnęły co prędzej do nieba się dostać... tak im gorzko ziemia dała się we znak! niebo kiedyś wszystko złę wynagrodzi. Taka była ogólna summa ich pobożności—widzimy, że pobożność najpierwotniejsza, najprostsza jaką sobie wyobrazić można. Jeśli sąsiadom głuszyńskim starczyła ona za świętość, jeśli wyższję się nie dopominali: wszak prawda, że to było bardzo pocziwie z ich strony?

Państwu Strzeleckim w pierwszych latach ich pożycia dzieci się nie chowały; nakoniec raz gdy mała córeczka na świat przyszła, ludzie doradzili matce, ażeby ją za chłopczyka do lat siedmiu przebierała. Cudowna medycyna i sympatyczne środki dziś jeszcze bardzo wiele zwolenniczek mają, a cóż dopiero wtedy. Pani Strzelecka wiernie rady posłuchała i od tego czasu troje dzieci szczęśliwie jęj się wychowało, każde nawet późnego wieku dożyło, co zapewne temu przypisać trzeba, że najstarsza dziewczynka nie siedm, ale dwanaście lat blisko w chłopięcych majtkach i w czarce chodziła. Polecamy ten fakt wszystkim amatorom i amatorkom osobliwych przyczyn, które w żadnym logicznym związku

ze skutkami swemi nie stoją. Warto co prędzej go spożytkować, by sceptyk jaki nie wpadł na przypuszczenie, że z mężkami sukienkami pierwszej dziewczynki w systemat wychowania rodzicielskiego pewna amerykańska swoboda się wcisnąwszy, mogła siły fizyczne rozwinąć i zdrowie zahartować. Rzeczywiście, choć państwo Strzeleccy *Emila* prawdopodobnie nie czytali, a pani Strzelecka, gdyby go i czytała nawet, to bezwątpienia nigdyby się do przepisów takiego kacerza-filozofa z równą powolnością, jak do rad swych kumoszek nie zastosowała: jednak metoda Rousseau widocznie w instynktach ówczesnej epoki tkwiła. Dzieciom państwa Strzeleckich wszystko prawie było wolno; dogadzano ich upodobaniom, kochano je bardzo, i co może największą łaską dla nich było, nikt się ich ukształceniem ani ich zepsuciem nie zajmował. Rosły jak polne kwiatki bez sztucznej uprawy, p łnią tylko słońca, powietrza i przestrzeni. Najstarsza z rodzeństwa, Izabella, mimochodem przypomnimy, że ta właśnie, co to ją pani marszałkowa do chrztu trzymała—z mężkim ubiorem mężkie przejęła gusta. Psy i konie najmilszą były jej rozrywką; sama po łąkach i polach Głuszyny nauczyła się bez siodła konie ujeżdżać, później też do pięćdziesięciu lat przeszło, gdy jej było trzeba dzierżawione folwarki zwiedzać, zawsze po mężku, w stosownie na ten cel przykrajanej amazonce konia dosiadała. Na kształtach, wadach, zaletach tego zwierzęcia lepiej się znała niż najprzebieglejszy handlarz koni, najślawniejszy berajter. Z końmi wszelako był to jeszcze trochę samolubny stosunek; nieraz sprzedawała ulubionego konia; żal jej go było, lecz jeśli potrzeba nacisnęła, summa bardzo wysoka skusiła—przedała; z psami zaś, to już była prawdziwa przyjaźń, przyjaźń wzajemnie wierna od urodzenia aż do śmierci; przyjaźń bohaterska nawet. Raz w dzieciństwie ogromny pies rękę jej poszarpał, przez całe życie nosiła na niej ślady jego zębów. Ma się rozumieć w domu hałas, przerażenie, wołają strzelca, żeby psu w łeb palnął, a tu dziewczynka obie rączki na szyję winowajcy zárzuca i płacze, prosi, błaga, aby mu przebaczone; on już na drugi raz taki zły nie będzie, sama go ukarze, rodzice się przekonają! I rodzice się przekonali najpierw, że pies nie był wściekły, a potem, że Izabelka, lub raczej, jak ją powszechnie zwano, Belunia, wzięwszy marchew w zdrową rączkę, bardzo surowo jej nacią pokrzywdziela swego wyćwiczyła. Nikt nie miał serca w czémkolwiek się Beluni sprzeciwić, przez długi czas było to śliczne, ale takie wątle i drobne dzieciątko, że nieraz już trzechletnią pani Strzelecka w kieszeni z sobą na wizyty przywoziła.

Gotowi czytelnicy nasi nie uwierzyć; zwracamy ich uwagę, że wtedy przy rogówkach większe niż dzisiaj noszono kieszenie, zapewne nie na objętość pyzaty Rafała aniołków, ale o tyle przynajmniej, że fakt przytoczony był jednak jako nadzwyczajność możliwym. W dwunastym roku dopiero swobodnego ptaszka zamknięto do klatki, ubrano jak dziewczynkę, i nad abecadłem po raz pierwszy posadzono. Ksiądz biskup miał ją przez jakiś czas u siebie w Ciężeniu, potem oddał swoim kosztem na klasztorną pensyą, którą zakonnice w Olohoku utrzymywały. Wolno przypuszczać że Jego Excellencya z domową nauką rozwichrzonej główki rady sobie dać nie mógł; mimo to widać, nie zraził się do niej, owszem, powierzając ją obcemu sterownictwu, jak największe dla swojej małej faworytki względy zastrzegł. Pocziwe zakonnice i bez tego zastrzeżenia byłyby się przesadzały w pieszczotach dla biskupiej wychowanki, cóż dopiero po zastrzeżeniu! Szczęśliwa pensyonareczka miewała na obiad kapłony pieczone, a koniecznie w piórka jak bażanty przybrane, bo innych jeść nie chciała; po obiedzie codziennie piła wyborną kawę ze śmietanką i z ciastkami; innych słodczy, bakalii, pierniczków ad libitum używała, no i uczyła się trochę. W siedmnastym roku wyszła z pensyi, umiejac już czytać, pisać, trochę po francuzku mówić i trochę brzdąkać na fortepianie, co wtenczas stanowiło bardzo wysoki już stopień prowincjonalnej edukacyi. Prócz tego słabowite dziecko wyrosło na jedną z najpiękniejszych kobiet w Wielkopolsce; trzeba zaś wiedzieć, że w Wielkopolsce grunt jest na piękne kobiety osobliwie jakoś urodzajny, mogliśmy się o tém niegdyś własnymi oczami przekonać; niemało to więc znaczy, być jedną z pierwszych między pierwszemi.

Panna Strzelecka wysmukła, szczupła, a jednak silnie zbudowana, kwitnąca zdrowiem, czerstwością i prawdziwie klassycznym rozwojem muskułów, twarz miała pociągłą, włosy prawie czarne, oczy szafirowe... „Ach! co za oczy!“... zawołaliśmy jeszcze, [gdyśmy ją po raz pierwszy w szóstym krzyżyku jój życia ujrzeli. Cere też miała świeżą jak krew z mlekiem, zęby, których niepokalanej emalii i trwałości przez kilkadziesiąt lat ludzie jój zazdrościli, ramiona niby z marmuru dla jakiejś starożytniej Pentezylei wyrzeźbione.—„Ach! co za ramiona!“ musieliśmy także wykrzyknąć, gdy raz w dzień bardzo gorący pozrzucała ciężkie mantylki i okrywki, a w wyciętym staromodnie ukazała nam się staniku. Pod stopą na podbiciu wygiętą niezawodnie wodaby przepłynęła bez zamaczania pięt i palców według arystokratycznych lady Stanhope wymagań; słowem choć posagu nie miała, była to ze wszech

miar godna jakiegoś turniejowego rycerza nagroda. Ksiądz biskup o wielce świetnych dla niej swatach zamyślał; ale cóż, kiedy nie miał swadźbowego powodzenia w tej całej rozrodzonej z sióstr Raczyńskich gromadzie; wszystkie dziewczęta były piękne jak Goplany lub Nereidy, wszystkie chłopaki jeszcze prawie od dziewcząt piękniejsze; zdawało się najłatwiejszą w świecie rzeczą znaleźć im przy protekcji przyszłego księcia arcybiskupa, wysoko tytułowanych mężów i milionowe bogate żony. Nie byli to wcale marzyciele i chatek w lesie lubownicy; nie były to wcale wyrzekające się światowych powabów i próżności purytanki: przeciwnie byli to i były z małym bardzo wyjątkiem najczystsze go typu owi pretendenci, o których mówiliśmy powyżej, lecz pretendenci z bardzo niewygodną dla pretendentów zdolnością. Zakochiwali się łatwo a szczerze, i potem nic już na ich małżeńskie projekta wpłynąć nie mogło; rady, przestrogi, obietnice, wszystko jak groch o ścianę rzucony, odbijało się daremnie. Księżę arcybiskup z warstwy starszych dzieci brał jedno po drugiem, wychowywał, cieszył się postępani i urodą, aż gdy chciał żenić lub za mąż wydawać, wszystko się nagle zrywało, następowały wzajemne urazy, rozżalenia, i w końcu łaskawy dobroczyńca z opieki swój wypuścił całą tę niepoprawną rodzinę.

Panna Izabela Strzelecka nie uniknęła fatum ciężącego na jej pokrewnych; wbrew marzeniom, życzeniom, przestrogom wyszła za pana Józefa Słupskiego. Byli tacy, którzy się temu do końca jej życia dziwili; byli inni, którzy za bardzo zwyczajną rzecz to uważali: miała rok siedemnasty, a pan S. prześlicznie konno jeździł. Co to, to prawda. Chociaż był niski i potężnej już tuszy gdyśmy go poznali, jeszcze piękniej umiał koniem zatoczyć, niż młodzi jego synowie, uchodzący przeciw za wybornych jeźdźców między surowymi znawcami rodzinnej okolicy. Od ciotek pani S., od jej ciotecznych braci, nasłuchaliśmy się istnie wieczornicowych historii o tej ich ukochanej Beluni. Jakies lasy przebywane samotnie, jakis Niemiec-dezserter, biczem z prędko powożonej karyolki spychany, jakies z zimną krwią w czasie pożaru dawane rozporządzenia, szczególnie jakis napad zbójców głębokie na dziecięcę naszą wyobraźni robił wrażenie. Pani Belunia nocowała raz w zupełnie pustym domu; miała przy sobie tylko trochę pieniędzy, psa i pistolet. W nocy słyszy jakis szelest przy drzwiach od sieni, coś niby przyciszone a metaliczne skrobanie koło zamka. Wychyla się oknem, choć ciemno, rozpoznaje dwóch tęgich chłopów, zamiaru ich łatwo się domyśla; pies już mruczeć zaczął i sierć najężył; jeśli do pokoju wejdą trudna będzie z dwoma sprawa; więc

wstaje, jedną ręką psa za pysk przytrzymuje, żeby nie szczekał, w drugą bierze nabity pistolet, lekkim krokiem zbliża się do drzwi wysadzanych, sama je nagle otwiera, strzela na chybił trafił—„pyf, trzymaj!“ woła, psa wypuszczając, i nim złoczyńcy przytomność odzyskać zdołali, znów spieszenie rygiel z wewnątrz zasuwają, a w oknie staje i wszystkich dopiero bywałych, lub niebywałych po stajniach, wozowniach, oborach rozproszonych na noc parobków zwoływać zaczyna. Żartowano z niej potem, że strasznie długą, dłuższą niż w książce od pacierza wyliczyła litanią, ona jednak ręczyła, że co najwięcej, to ze dwa lub trzy imiona przydała, bo musiała przecież kilka razy powtarzać te, które rzeczywiście do fornali i pastuchów należały: „człowiek się przedź budzi, gdy swoje własne słyszy nazwisko.“ Przy każdym jednak opowiadaniu pani Słupska bardzo się zawsze chwaliła roztropnością... swego brytana: „tak rozumnie się zachował, jak gdybyśmy się oboje ludzkimi słowami naradzili względem całego planu.“ Ma się rozumieć, żezymanego przeciwnika pieś nie puścił, aż wtedy, gdy mu go sama pani nadbiegłym ludziom oddać kazała. Ujęto szczęśliwie obu znanych w okolicy rabusiów, i do sądu odwieziono. Koniec przygody zupełnie nas zadawała; przyznajemy się jednak, że to dobrowolne drzwi uchYLENIE, prawdziwie dramatyczną onego czasu przejmowało nas grozą; tworzyliśmy różne kombinacje i przypuszczenia, jakimby sposobem naprzykład owęj ostateczności można było uniknąć? Tymczasem zaś pani Belunia coraz świetniejszą aureolą bohaterstwa otaczała się przed wzrokiem duszy naszej; wyobraziliśmy w niej sobie, co najmniej, to jakąś drugą Zubrową, która z mężem wszystkie kampanie Napoleońskie odbyła, dosłużyła się stopnia majora i otrzymała krzyż Legii honorowej. Gdy prócz tego dodamy jeszcze, że raz poraz wspomiano przy nas jak Belunia całe gospodarstwo konno objeżdża, jak w dzierżawę bierze i urządza folwarki; jak na męzkim gospodarstwie zna się nie gorzej od wszystkich panów obywateli z sąsiedztwa, a pewnie trochę lepiej od swego własnego męża — gdy to wszystko dodamy, niejednen z czytelników założyłby się niezawodnie, że to pierwotny wzór chybą sławną z braci ślubnych Barbarki,—otoż wcale przeciwnie. Mało kobiet znaleźmy tak potulnych, cichych, ustępnych, więcej nawet mamy prawo powiedzieć, mało tak jak ona trwożliwych. Droga nasza pani S. żyła w ciągłych obawach, czy temu dobrze? czy tamtemu źle nie jest? czy się ów na owego nie rozgniewa? czy ta na nią o co się nie obrazi? czy do wojny w sąsiedztwie lub w Europie nie przyjdzie? Bała się narazić mężowi; gdy porosły, bała się narazić dzieciom; bała narazić przyjaciółom

znajomym, sługom — bała się plotek, bała się przyjscia chorób epidemicznych, bała rozruchów, kłótni, policyantów, bała się wszystkiego — prócz niebezpieczeństwa. Z niebezpieczeństwem dopiero następowała dla niej chwila wytchnienia i spokoju. Jakkolwiek to zbyt epizodycznie wygląda, ale dla samej osobliwości psychologicznej wielka nas bierze pokusa ten rodzaj bezzamiarowej, a na każdą niespodziankę gotowej i wystarczającej odwagi, porównać z lękliwością, która znów gotową była na każde spodziewane i niespodziewane niebezpieczeństwo się wystawić. Do „lękliwości“ z największą prostotą przyznawała się ciotka Strzeleckich, właśnie parę tu już razy wspomnianą pani Tekla. Co prawda, to w porównaniu z wielu dzisiejszemi słabych nerwów kobietami miałyby prawo za wzór mężstwa uchodzić. Nie lękała się ani bydła, ani psów, ani indyków, ani gęsiów, ani myszy nawet, okropnie jednak lękała się czasem ludzi, a ze wszystkich strasznych dla niej najwięcej lękała się Szekelęgo. Wiadomo, że był to w roku 1794 znany srogością swoją pułkownik wojsk pruskich w Poznańskim. Pani Tekla do końca swego życia głęboko wiernyła temu, że popełniał jakieś attylijskie i dzengishanowe okrucieństwa; drzazgi za paznogie wbijał, kobietom piersi obrzynał, jeńcom pojmanym bez litośne męczarnie zadawał; słowem, zwykłe, a może trochę tylko więcej niż zwykłe jego nadużycia wojenne, żołbrzymiały w jęj i w ogółu wyobraźni do nadnaturalnych rozmiarów, bo przecież to się działo w końcu ośmnastego wieku, na scenie europejskiej, tak źle więc nie było zapewne. Lecz pani Tekla wierzyła, że było, i z tą wiarą nie wahała się ściągnąć na siebie osobistego prześladowania groźnej pamięci pułkownika. Mąż jęj przyłączył się z małym oddziałkiem do obozu insurgentów, trzeba było żywności dowozić, chorych w cichsze okolice odstawiać, zlecenia różne wykonywać. Pani Tekli w głowie nawet nie powstało, by mogła kiedykolwiek, jakiegokolwiek rozporządzenia swego męża nie wykonać, chyba gdyby o post, pacierz lub spowiedź chodziło, ale we wszelkiej innej sprawie!.. ze strachem w duszy krzątała się więc gorliwie, jeździła, woziła, aż w końcu za jęj ujęcie Szekeli nagrodę ogłosić kazał. Przebrała się wtedy jak chłopka; pocziwe gospodynie dóbr szubińskich to w jednej, to w drugiej chałupie ją przechowywały, a ona ciągle przeciw Szekelemu broiła. Kiedy tak z parę tygodni upłynęło, zaczęła się już z nowym trybem życia oswajać; raz, podczas niedzielnego nabożeństwa rozległ się nagle okrzyk: „Szekeli idzie! Szekeli!“ Pani Tekla między wieśniaczkami tuż blisko ołtarza klęczała. Jak się to stało? nigdy sobie tego przypominieć nie mogła, ale w jednej chwili, w jedném mgnieniu oka była pod ołtarzem. Kto zna parafialne nasze ko-

ścioły, ten wie, że tam z tyłu, między podłogą a deskami bywa niekiedy rozstęp na dużą piędź szeroki: to też gdy popłoch fałszywym się okazał, gdy hałas przycichł, a głosu wołającej dosłyszano, niepodobna jej było z zaimprovizowanej kryjówki wyciągnąć; musiano deski odrąbywać i ludziska nadziwować się nie mogli, jakim sposobem dobrego wzrostu kobieta przecisnęła się taką szparą, przez jaką trzechletniemu dziecku trudno byłoby się wcisnąć. „Co to strach może!“ kończyła zwykle filozoficzną uwagą opowieść tego zdarzenia; „ale dzięki Bogu, dodawała jeszcze — nic mi to nie zaszkodziło, mogłam wkrótce wybrać się w drogę.“ Po wielu, wielu latach, kiedy już i Józeczka na świecie nie było, znów tak osamotniona, bez opieki w tętniącej od przechodu wojsk i huku armat okolicy, dobrowolnie zostawszy na straży szczupłego mienia jednego z najukochańszych wychowanków swoich, nowe przebywała postrachy i grozy; raz nawet bagnet już o pierś jej trącił, ale zawsze jakiś obrońca się znalazł. Widok téj cichój, pogodnie łagodnej staruszki dzikość nieokrzesanych rozbierał, z serc szlachetniejszych głębokie poszanowanie wywoływał, a zresztą ludzie czuli, że tam dla nich nienawiści nie było, tylko smutek wielki, wielka liłość, wielkie przebaczenie. Ulubiony wychowanek, a po mężu synowiec, choć sam pacierza nie mawiał, zawsze potem głęboko mistyczną wiarą wierzył w to, że jej zasługom, jej modlitwom nietylko skromnego dobytku, ale i życia ocalenie w najgęstszym gradzie kartaczy zawdzięczał. Wszyscy też koło niej, od sąsiadów obywateli, aż do chłopów byli tego samego zdania. I trudno zaprzeczyć — tkwił jakiś dziwny urok, jakiś wdzięk pocziwie czarujący w owym przełęczym heroizmie pani Tekli, równie jak w zatajonej odwadze pani Beluni. Między ciotką a siostrzenicą inne prócz tego zachodziły podobieństwa. Nie spotykamy już dzisiaj kobiet tak wolnych od towarzyskiej próżności, tak samych sobą w każdej chwili, tak swobodnie wypowiadających swoje wrażenia, tak szczerze przyznających się do wszelkich czy to domowych czy umysłowych niedostatków, tak łagodnie pobłażliwych dla tych, których kochały; tylko w pobłażliwości pani S. była przymieszka sporéj dozy macierzyńskiego egoizmu. Dla siebie — nie, ale dla dzieci umiała być ona taką pozytywistką, jak gdyby ze szkoły... juścić że pana Narzymskiego, a nie Mill'a wyszła. Lecz dość już o pani Słupskiej; ledwo mamy nadzieję, czy nam wybaczą, że zanadto. Postaramy się jednak usprawiedliwić.

We trzy lata po córce urodził się państwu Strzeleckim syn, któremu imię Piotra dali. Piotra wziął także biskup Raczyński na wychowanie i sposobił go do stanu duchownego, i znów, jak

widać fatalnie się rozminął z powołaniem swego pupilla. Piotr w r. 1809 wstąpił do wojska polskiego, odbył kampanią austryacką; w 1812 kampanią rosyjską; w 1813 Murat mianował go swoim adjutantem i ozdobił krzyżem Legii honorowej; przy boku Murata walczył Piotr pod Benevento, wzięty do niewoli austryackiej został w niej aż do 1817 roku. Nie obeszła się jego młodość bez powieściowych nadzwyczajności, lecz to wspomnienie jest wyłączną dwóch rodzin własnością; nie śmiemy go dotykać bez upoważnienia, a po upoważnieniu nawet nie wiemy do kogo zgłosićby się można. Dramacik ten zresztą nie miał żadnej z Pawłem styczności i chyba jako wspólność pewnego fatum wichrzącego młodością obu braci, przytoczylibyśmy go chcieli. W kilkanaście lat po swoim powrocie ożenił się p. Piotr z młodą bardzo miłą osobą, Raczyńską z domu. (Jakich to Raczyńskich córka, to już nam trudno rozwikłać; Raczyńscy w księstwie Poznańskim bardzo licznie rozrodzeni byli; nawet z owych siedmiu siostr Raczyńskich jedna za Raczyńskiego wyszła — obecnie z tak rozgałęzionego rodu bardzo mało już zostało odrosło, w przeciągu pięćdziesięciu lat, już z pięć lub siedm domów pamiętamy to śmiercią, to brakiem męzkich potomków, to zupełną bezdzietnością wygasłych). Gdyśmy państwa Piotrów Strzeleckich w r. 1840 poznali, ona sama była jeszcze bardzo ładną kobietką o delikatnych rysach, choć z trochę szablстым nosem Raczyńskich; dzieciaczki wszystkie prześliczne nam się wydały, a pan ex-adjutant Murata, szczupły, niskiego wzrostu, z twarzą po słowiańsku kościstą, ze świeżą, mocno śniadą przy białych włosach cerą, z oczami tak czarnymi jak gdyby je na jakim kalabryjskim Włochu zrabował, w niczem w żadnym rysie oblicza, w żadnym wymiarze postawy nie był do swjej siostry podobny; bardzo ją przypominał za to ruchami, a jeszcze więcej niewymuszonym, łagodnym, cichym usposobieniem; niktby się w nim dzielnego oficera Napoleońskiej armii długo może nie domyślił, tak jak w siostrze niktby śmiałej amazonki i zabiegłego gospodarza nie odgadł. Trudno było nam o nim więcej spostrzeżeń w czasie kilkogodzinnych odwiedzin uezierać. W rodzinie mało też zwykle o panu Piotrze mówiono, chociaż gdy się to zdarzyło, zawsze życzliwie, serdecznie i z szacunkiem o nim się wyrażano.

A teraz, kiedyśmy już na tle rodzinném bliższe panu Pawłowi rozstawili osobistości, trzeba nam wreszcie jego samego wprowadzić. Najmłodszy z dzieci państwa Strzeleckich, przyszedł on na świat w sześć lat po Piotrze, a zatem w dziewięć po siostrze swjej Izabeli. Nie wspominaliśmy tutaj o zdolnościach umysłowych

starszego rodzeństwa, bo się nad 'zwykłą miarę niczém nie odznaczyły i górowały nad niemi inne strony charakteru. Może z tych głów, jednej tak pięknie, drugiej tak zaciekawiająco ukształtowanej, silne tarcie zewnętrznej konieczności, wydobyłoby jaką świetniej promieniejącą iskierkę: to pewna przynajmniej, że czego musieli się nauczyć, tego się nauczyli. Mąż Izabeli nie lubił zajęć agronomicznych, zostawił przy sobie zarząd pieniężny, resztę zdał na głowę żony i żona bardzo prędko obeznała się ze wszystkiém. Piotr już służbę wojskową przyjąwszy, równie też łatwo z księdza wcale dobrym oficerem został. Na stosunki sąsiedzkie, na wymagania towarzyskie, na treść prowadzonych dokoła rozmów, zawsze im ten który mieli rozum wystarczał; — mogli nim zaspokoić wszystkie bieżące życia potrzeby; lecz te potrzeby właśnie dość były ograniczone. Średnio-majątkowa szlachta wielkopolska w tej epoce na bardzo małym poprzestawała; brakło więc konieczności zewnętrznej, a wewnętrzną obcą im była. Zupełnie inaczej rzeczy się miały z Pawłem. Od urodzenia przyniósł on już w sobie jakiś nadmiar zdolności, które się gwałtem zastosowania i użytkowania domagały. Bystry pojętny, z żywą wyobraźnią, z błyskotliwym jak dyament dowcipem, z nieustraszoną odwagą starszego rodzeństwa, z naturą wrażliwą i namiętną, był prawdziwie „niespokojnego ducha,“ jak to nam w przeszłych objaśnieniach napisano. Niespokojność jego wszelako błąkała się tylko pośród trudnych, lecz zawsze możliwych do spełnienia życzeń i możliwych do wykonania pomysłów. Nie widać tego, by w którymkolwiek życia ustępie kwestye metafizyczne sen mu z powiek spędzały, lub żeby wszechwładna żądza ideału, jak Habakuka za włosy ująwszy, w powietrze go wzniosła i choć na pół godzinki młodości od ziemi oderwała — nie — pod tym względem w jego biografii żadnych danych nie spotykamy. Od niemowlęctwa do późnej starości, był to ciągle umysł trzeźwy, choć dziwaczny, niezwykłemi chodził drogami, lecz ku zwykłym celom. Duch niespokojny uciszył się pierwszą pracą, która wszystkie jego władze inteligencyjne zajęła i pierwszém, ba! nawet jedyném dziełem, które mu wraz ze sławą imienia, znaczenie i stanowisko towarzyskie zapewniło. Nie od razu jednak, nieprędko na ten sposób trafił.

Siostra jego opowiadała nam, że gdy był jeszcze bardzo małym, najlepiej lubił się w „księdza“ bawić; całe dnie prawie spędzał przy tej rozrywce. Państwo Strzeleccy, jak to się już wspomniało, z wielką pobłażliwością dogadawali upodobaniom swoich dzieci. Izabelka miała swoje psy i konie; Pawełek miał swój osobny pokój, w którym mógł, ile chciał tylko nabożeństw od-

prawiąc. Urządził go zupełnie w kształcie kapliczki, z ołtarzem, z dzwonkiem sygnaturkowym na sznurze wiszącym, a szczególnie z amboną na lekkim w odrzwiach wzniesieniu. Również jakiś codzień przychodził do mszy mu usługiwać; ambona zaś codzień kazaniem lilipuciego prałata się rozlegała. Pani S. mówiła, że tym kazaniom nigdy sensu i związku nie brakło, a nie jednego starsi mogli z przyjemnością i z pożytkiem słuchać. Naturalnie, wszyscy pewni byli, że się to jakieś osobliwe powołanie kapłańskie rozwija, a to znaczyło po prostu, że księżę arcybiskup, największym blaskiem otoczony członek rodziny, największe też na umyśle chłopczyny zrobił wrażenie i Pawełek nie do kapłaństwa, tylko do godności arcybiskupiej się przygotowywał. Jak trochę podrośł, czytać i pisać się nauczył, ogarnęła go znów inna, dramatyczna mania. Po całych rankach pisywał komedyjki, a wieczorem sam je odgrywał przed domowych widzów zgromadzeniem; huczne dawano mu oklaski, co nas zresztą nie dziwi, bo te próbki musiały już być tu i owdzie prawdziwym dowcipem ożywione, a prócz tego aktor, według świadectwa wspominających, miał gest swobodny i charakterystyczny, głos dziwnie miły i giętki, prześlicznie czytał, zachwycająco deklamował i te dwa talenta, nierównie dłużej od komedyjopisarskiego, bo podobno do końca życia zachował. Sporym już musiał być podrostkiem, gdy go wyprawiono do szkół warszawskich, pod opiekę Ksawerego Kiedrzyńskiego, mecenasa. Zdaje się, że już wówczas arcybiskup porzucił swoich niegodnych zyczliwego swatania klientów. Nowa opieka nie była ani zbyt surową, ani dostatecznie imponującą nawet. Pomimo lat znacznie starszych i dość już poważnego w hierarchii społecznej stanowiska, Kiedrzyński, brat rodzono-cioteczny, sam młody, wesoły i koleżeński, mógł skutecznie dopomóc Pawłowi w dalszej jego „karyerze,” ale w żaden sposób nie mógł nań pedagogicznego wpływu wywierać, owszem pokazało się, iż niebawem on sam wpływowi swego wychowanka uległ.

Trudno byłoby może całą biografią Pawła zrozumieć, gdybyśmy tutaj nie wspomnieli o pewnej zdolności a raczej pewnej władzy odrębnej, ni umysłowej, ni moralnej, ni zasługą nabytej, ni pracą wyrobionej, ale która pewnym osobistościom jak talizman zdaje się być udzieloną i od kolebki do grobu im towarzyszy. Władzę tę pospolicie *szczęściem do ludzi* zowią. Nie chodzi ona, w parze z cnotą lub rozumem, niezawsze trzyma się wdzięku i ładnej powierzchowności. Widzieliśmy strasznych nicponiów, bardzo płytkich półgłówek, bardzo niezgrabnych i przesadzonych energumenów, którzy tę dziwną władzę i ten książęcy posiadali przywilej; zauważaliśmy-

prócz tego, że jest to niekiedy dziedziczna wspólność pewnych rodzin. Nieraz dla spokojności własnego sumienia, potrzebowaliśmy jasno zdać sobie sprawę z téj siły: przyszliliśmy nakoniec do tego wniosku, że jest ona po stronie tych, którzy mają żywszą i szybszą wrażliwość. Nie chodzi tu o trwałość tylko, o natężenie chwilowe téj wrażliwości. Są tak bogate natury, że im starczy materiału na poczucie — objawienie — i stałe zachowanie doznanego wrażenia; są inne daleko uboższe, które jednak zupełnie tak samo oddziałują jak bogate, ponieważ na pewną daną okoliczność tak samo pewną daną sumę z wewnętrznych swoich zapasów ekspensują. Bogacz rzuci sto dukatów w podarku, oni chudo-pachołcy rzucą sto, a czasem sto jeden może; dla przyjmującego, złoto niczém się nie różni od złota, hojniejsza ręka milszą się staje mimowoli. Czasu dopiero trzeba, by się przekonać, że skarbu bogacza żadne podarki i żadne obowiązkowe spłaty nie wyczerpią, gdy przeciwnie ubodzy marnotrawcy po klejnotami skrzących upominkach, nie mając czém się uiścić niekiedy z najskromniejszego złotówkowego podatku. Któżby tam jednak był do tego stopnia nieufnym, czy roztroptym, żeby ciągle miał się na ostrożności i czekał a czekał co to dalej będzie. Widzisz przed sobą człowieka, który ci się raduje, który się z tobą smuci i rozrzewnia, zachwyca się i oburza, a nie słowem tylko lub przez grzeczność salonową, lecz najszczerczej, najserdeczniej, najprawdziwiej. Choćby głos cię oszukał, to nie oszuka promienny wyraz oblicza, współczuciem lśniące oko, bledością lub rumieńcem zachodzące lica. Nie wierzyłbyś licom i oku? Przyłóż rękę do serca, weź za puls, przypatrz się drganiu mięśni — wszystko będzie rzeczywistością i wszystko jest rzeczywistością. Może on później sam siebie i ciebie wyszydzi, ale w obecnej chwili czuje, kocha, boleje, do słońca jak orzeł skrzydłami bije, do życia jak dziecię z uciechy w dłonie klaszcze. Jakiś nadmiar ciepła jego własną duszę przenika, więc i twoją ogarnia, jakiś prąd elektryczny z jego piersi się wydziela, więc i w twoją płynie. Chcesz, czy nie chcesz — przyjdzie ci co z tego czy nie przyjdzie, on koniecznie „szczęście do ciebie“ mieć musi, bo owo szczęście jest prawdziwością pięknych wrażeń i siłą ich objawu; wszystkie do koła chłodniejszej natury z wdzięcznością jęć się dają pociągnąć, zwyciężyć i opanować. Gdyby wrażenia dłużej trwały, gdyby rozwinęły się w zapowiedane gatunkiem swoim zdarzenia i czyny, toby już nie były szczęściem do ludzi, tylkoby przeszły we wzajemną przyjaźń ludzką, w sprawiedliwość, uznanie, szacunek i t. p. Otoż Paweł Strzelecki miał w młodości swoją, a pono i przez całe życie swoje sza-

lone szczęście do ludzi. Ten jeden szczegół mógłby nam już wiele stron jego usposobienia wytłómaczyć, choćbyśmy innych wskazówek nie mieli; lecz właśnie dostarczyła nam ich bliższa znajomość z wielu jego krewnymi, którzy tę rodziną niejako cechę w wyższym prawie stopniu, bo przy niższych posiadali zaletach. Szczęście Pawła mogło nikogo nie dziwić— i tutaj-to odwołać nam się wypada do rzuconego zastrzeżenia, gdyśmy się trochę dłużej o siostrze jego rozpisali. Paweł był z nią bliźnięco, jak mówiono, podobny: także same klasyczne rysy i kształty, także miękka łagodność w obejściu, także wstręt do cierpienia wszelkich stworzeń żyjących, także odwaga spokojna, powierzchownością i temperamentem zupełnie jedno drugiemu za wierny konterfekt służyło, dopiero wyrób temperamentu i charakter stanowczo jedno z drugim różnił. Pani Izabela roztaczała dokoła siebie całą błogość cichój i niewymagającej natury; Paweł przynosił z sobą wszystkie niebezpieczeństwa „niespokojnego ducha“— sam ich nie przewidywał i drudzy nie przewidywali. Łatwo można więc sobie wyobrazić, jaki to czarodziej być musiał ten Antynous, zdolny, dowcipny, kiedy mu się zdawało, że kogoś bardzo wysoko ceni, albo też bardzo głęboko kocha!

Xawery Kiedrzyński przywiązał się do niego, bodaj czy nie więcej jeszcze niż do rodzonych braci—trzeba zaś wiedzieć, że do rodzonych braci bardzo był przywiązany. Jako starszy wychowywał ich, wspierał na każdym kroku życia; dziesiątek i setek tysięcy nie żałował im w potrzebie; mówiono jednak, że do Pawła miał oprócz tego przywiązania, wyraźną jakąś słabostkę. Nie można powiedzieć, że go kochał jak syna, gdyż właśnie zupełna między nimi poufałość i równość panowała, ale kochał go jak to starsi poczciwi bracia młodsze siostrzyczki kochają niekiedy; pysznił się jego towarzyskiem powołaniem, jego pięknnością, jego rozumem, dał mu się nawet trochę zawojować i miał nadzieję, że go drogą świetnej przyszłości daleko poprowadzi — gdy wtém, jednego pięknego poranku, według francuzkiego wyrażenia, choć poranek może był właśnie słotnym i ciemnym wieczorem—jednego dnia tedy, Paweł znika. Wziął z biurka pieniądze, z szaf i kufrow co mu do ubrania potrzebne było, i przepadł jak kamień w wodę. Tymczasem trzeba na to zwrócić uwagę, że łaski jednego z najznakomitszych mecenasów ówczesnych dość miały nietylko uczuciowej, lecz i materyalnej wartości, by w pewnym kółku stosunków dużo zazdrości wzbudzić. Z różnych stron w rodzinie podniosły się głosy niechętnych, lub po prostu klepiących za panią matką pacierz:—„Strzelecki uciekł! Strzelecki okradł Kiedrzyń-

skiego!“ — Niejedna obojętna pamięć zatrzymała te słowa, bez sprawdzenia ich wiarygodności. Trudno zresztą, by każdy o każdym w razie krążącej potwarzy wyprowadzał śledztwo urzędowe; badał świadków, porównywał zeznania i t. p. Jest to wielką lekomyślnością zaiste, ale bez złej woli, bez osobistego interesu powtarzamy drugim cośmy od jednych słyszeli i... powtarzać będziemy do skończenia świata. W tej sprawie jak i w innych, ktoś z zazdrosnych do niespodzianej wieści pożądaną sobie formę przykroił, a dalsi, w dalszych stronach uwierzyli. Biedny chłopiec, co miał takie wielkie szczęście do ludzi, nie miał wśród swoich najbliższych tego drobnuteckiego szczęścia, by zapotrzebowali stanowczo się dowiedzieć, co jest prawdą, a co fałszem w tej pogłosce było. Notatka rodzonego siostrzeńca dyplomatycznie dziś nawet omawia tę chwilę z przeszłości Pawła krótkimi wyrazami: „uciekł do Krakowa“. — Co do nas, myśmy najpierw nie wiedzieć z kąd — ot, pewnie z powietrza ostrzejszą wersją w ucho pochwycili. Później, kiedy już zaczęły nas dochodzić niewyraźne posłuchy o odkryciach jakiegoś podróznika Strzeleckiego, — „Czy to nie ten Strzelecki, pytaliśmy, co Xawerego okradł i do Krakowa uciekł?“ — Na szczęście zapytanym był rodzony siostrzeniec Xawerego, blizki owych wypadków wiekiem i stosunkami. Wyraźnie oburzyło go echo tej, dawniej niesprawiedliwości; spieszenie ją odpierając: „Strzelecki, rzekł on, nie potrzebował okradać Xawerego, ani uciekać potajemnie. Xawery byłby mu chciał nieba przychylić; obchodził się z nim dziwnie po bratersku; pieniędzy mu nie wyznaczał, rzeczy swoje, jak gdyby i do Pawła należały, zawsze na wspólny użytek mu zostawiał; Paweł miał więc prawo sądzić, że wolno, gdyż rzeczywiście było mu wolno z biurka i kufrów Kiedrzyńskiego wziąć co chciał i kiedy chciał, a z sobą zrobić wszystko, co mu się podobało i kiedy podobało.“ — „Czemuż więc tak nagle tak doskonałego opiekuna opuścił?“ pytaliśmy jeszcze. — Na to nie było odpowiedzi. Strzelecki nigdy się nie wytłómaczył, lub jeśli przed kim wytłómaczył, to jego słowa nie rozeszły się tak szeroko jak słowa oskarżających. Dla czego się oddalił? zostało dotychczas nierozwiązaną tajemnicą; przez jakiś czas nawet i to było tajemnicą, że się oddalił do Krakowa.

A jednak, jednak....

Przypominamy sobie jakąś historią, którą nam bardzo oględnie pani Izabela opowiadała bez nazwisk i szczegółów w najogólniejszych zarysach jedynie. Paweł bałamucił trochę starszą od siebie męzatkę; siostra zjechawszy na miejsce, wpływem swoim

rozerwała intrygę, lub dosłowniej wyrażeniem jęj się posługując, „uratowała biedną kobiecinę“—przekonała ją—jakże to rzadko się zdarza zakochanych przekonać! Pani Izabeli ten cud się udał podobno i przekonała zakochaną, że nie warto spokoju sumienia, dobrej sławy i szczęścia całego życia poświęcać dla takiego „wietrznika,“ co nigdy w jednym miejscu dosiedzieć, ani w jednym uczuciu długo wytrwać nie potrafi. Paweł jednakże potrafił wytrwać w zażaleniu do siostry za jęj skuteczne pośrednictwo. Sama to nam kilka razy powtarzała, że „odtąd mniej ją zaczął kochać, a pierwěj bardzo dobrym dla nięj był bratem, bardzo serdecznie ją kochał.“ Teraz, kto wie, czy ów tajemny wyjazd z Warszawy nie miał pewnej łączności z bałamuconą meżatką? miarkując po chronologii późniejszych wypadków, zdaje się, że te dwa poprzednie na współczesną sobie mniej więcj przypadają epokę. Jest to wszelako naszym osobistém przypuszczeniem. Faktem stanowczo uzasadnionym jest to, że Piotr z niewoli wracając przez Kraków, odnalazł tamże Pawła w bardzo smutném położeniu i zabrał go z sobą do księztwa Poznańskiego. Obadwa przez czas jakiś u państwa S. mieszkali; boć więkzy, czy mniejszy, zniszczony, czy niezniszczony, ale zawsze taki, jaki był po rodzicach majątek, cały i niepodzielny w ręku państwa S. zostawał. (Już wtedy, jeśli się nie mylimy, sprzedawszy Głuszynę, zastawem od państwa Wołłowiczów wzięli Skubarczewo, w regencyi Bydgoskiej leżącej). Piotr zresztą mógł być pierwěj częsteczkę swoję odebrać, ale widoczną jest rzeczą, że w żadnym razie Paweł swojēj nie odebrał wcale i ówczesnym zwyczajem nimby na własną rękę co rozpoczął, osiadł przy siostrze. Wyobrażamy sobie, że takiemu Pawłowi nie bardzo gładko szło życie pod jednym dachem ze szwagrem. Mieli niektóre wspólne wady, a żadnej wspólnej zalety. Skończyło się, na tém, że—jak leżąca przed nami notatka opiewa—szwagier „oddał Pawła do wojska pruskiego“ do 6-go pułku ułanów, który to pułk wówczas polskim się nazywał. Jakim sposobem mógł oddać? namową? zastosowaniem przepisów ogólnego poboru? dzieci pana S. pewno nie pamiętają, a może nigdy nie wiedziały—dość, że oddał. Ślicznym, ale bardzo niezadowolonym ze swego losu ułanem, musiał być biedny Paweł. Służba wojskowa! z musztrą i karnością pruską, bez wojny! Toć to mogłoby dziś jeszcze do rozpachy przyprowadzić niejednego w leśnej swobodzie rozmiłowanego Kurpia, lub Litwina, a cóż dopiero takiego Magiellana in potentia, taką w nieświadomych sobie instynktach kłującą się mewę o szerokich skrzydłach, żadną powietrza, przestrzeni i oceanu!... Strzelecki długów narobił podobno, a jak tylko

na podchorążego zaawansował, natychmiast podał się do dymissy i przyjechał znowu do państwa S., i pomimo wszelakich rad, prośb przedstawień, napomnień, do wojska już wracać nie chciał. Pobyt u siostry wkrótce jednak sprzykrzył się Pawłowi; zapewne się odnowiły dawne kwasy i nieporozumienia: więc na czas jakiś oddał się, i w domu, czy też w sąsiedztwie pana T. zamieszkał. Pan T., kiedyśmy go we dwadzieścia kilka lat później znali, był już dziaduniem czworga wnucząt po synu; miał czarne, jakby węglem mocno zarysowane brwi, czarne oczy, a bielsze od mleka, po obu stronach twarzy aż na ramiona z kokieterią pewną wijące mu się włosy; szczupły, średniego wzrostu, prawdziwie, według wielkopolskiego wyrażenia, fertyczny — lubił namiętnie tańczyć, bawić się—no, i dobrze, a raczej smacznie jadać. Przypuszczamy, że przed dwudziestu kilku laty, jeszcze namiętniej lubił tańczyć, bawić się, smacznie jadać, tylko zamiast czworga wnucząt, miał jednego synka i jedną córkę Adynę. Paweł Strzelecki celował właśnie w podtrzymaniu ochoczej zabawy; towarzystwa sąsiednie na wyścigi wrywały go sobie, nic dziwnego, że i pan T. rad go widywał u siebie. Tymczasem fatum zadzierzgiwało pierwszy węzełek przyszlęż Pawła Odyssei. Córka domu, piętnastoletnia dziewczeczka, zakochała się w dwudziestoletnim gościu swego ojca; gość się zakochał w dziewczeczce. Niestety! ową piętnastoletnią, myśmy dopiero w czterdziestym roku jój życia ujrzeli! Czy piękna była?... Cudownie zachowała swego włoskiego pochodzenia koloryt, lice jakby trochę rozpuszczonego w słońcu złota, bistrem podmalowano; oczy jakby z czarnej lawy Wezuwiuszu; włosy jakby z najpożytkliwszych piór tego ptaka, co to Rzymianom od prawej strony szczęścia wróżbą bywał; ale rysy twarzy — smutna rzecz; rysom twarzy lekka tusza nadała wyraz dość gminny i pospolity. Żeby zrozumieć całą rozciągłość tej przykrości, trzeba wiedzieć że panna T. była właśnie najartystyczniejszém wcieleniem tego wszystkiego, co nie jest ani gminne, ani pospolite, co owszem wręcz jest gminnemu i pospolitemu przeciwne. Jakkolwiek jednak główka jój dałaby się na ramiona pierwszej lepszej Marysi albo Kasi obsadzić i niktby się nie domyślił, że nie jest na swoim miejscu—to znów pocieszyć się mogła, że gdyby jój nóżki i rączki choćby u Marysi w kuchni, albo u Kasi w garderobie bystry wzrok doszedził, toby zaraz każdy zmiarkował, że mu wypada z salonową grzecznością kapelusza uchylić. Prócz tego panna Adyna miała ruchy bardzo dystyngowane; niska i opiekła, robiła wrażenie drobnej, szczupłej, leciutkiej, a nadewszystko panna Adyna ubierała się bardzo rozumnie—nie cofamy tego określnika — bardzo rozumnie.

Każda młoda loretka w Paryżu potrafi się ubrać do twarzy, każda majątna kobieta przy pomocy swój modniarki potrafi się ubrać elegancko; wszystkie wielkie panie warszawskie prawem tradycyi ubierają się gustownie: — lecz mieć lat czterdzieści, szczupłe fundusze, mieszkać ciągle na prowincyi a ledwo że nie ciągle w téjże samej parafii, niczém śmiesznej pretensyi nie zdradzić, żadnym szczegółem najwykwintniejszej równie jak najskromniejszej toalety nigdy uwagi nie zwracać, i zawsze jój całością ogólnie wszystkim mężczyznom i kobietom się podobać—na to już rozumu trzeba, i to było rzeczywiście najwyższym panny Adyny rozumem; nie dlatego, byśmy inne jój władze umysłowe poniżać chcieli, tylko dlatego, że ta władza dała jój rzeczywiście władzę nad otaczającym ją światem. W trzech amtach co najmniej, w wielu zamożnych domach reszty księstwa z głosem panny Adyny, trzeba się było liczyć koniecznie. Ani jój tak chwalony praktyczny — ach! niestety! — pokazało się, że najniepraktyczniejszy właśnie rozsądek, ani gruntowna znajomość przepisów etykiety i dobrego tonu, jak znaki wolnomularskie tajemniczo od arystokratycznych pałaców i salonów przekazywana, ani sąd nieomylny w rozpoznaniu tego co wypada, od tego czego nie wypada czynić—nic może, na całą pewną warstwę towarzyską tak silnego nie wywarłoby wpływu, gdyby p. Adyna nie umiała jednocześnie sama bardzo pięknie się ubierać i drugim doradzić jak się bardzo pięknie ubierać mają. W domu brata rządziła despotycznie. Cichy to był, niewidzialny, jedwabny i aksamitny despotyzm, każdy się niemal wpraszał pod jego jarzmo, ale niech tylko raz przed nim głowę pochylił, nim się spostrzegł, już mu na zawsze ster życia z rąk się wysunął. Brat własnej żonie o interesach majątkowych rzadko kiedy słówko jakie powiedział, lecz nigdy nie omieszkał z p. Adyną o nich się naradzić. Bratowa sarknęła trochę czasem, zwyczajnie jako bratowa; gdy się zdarzyło jednak, że Adynka na dłużej wyjechała do jakiejś hrabiny ciotki lub kuzynki generałowej, to wszystkie ważniejsze sprawy bratowej: różne kupna, urządzenia domowe, projekta względem dzieci, wszystkie powrotu Adynki czekały. Tak przynajmniej ludzie nam mówili. Głos opinii powszechniej twierdził, że Adynka powypywała siostrzeńców i siostrzenice do tych i owych zakładów drezdeńskich, że ona wydała za mąż starszą siostrę, a drugą młodszą, piękniejszą, wielką faworytkę swoją z ojcem, matką i kilku milionami po babce odziedziczonemi do Paryża wywozła, na dwór cesarski odkomenderowała, na cesarskie bale ustroiwszy posłała, aż nakoniec po dwóch czy trzech latach, z bratem, bratową i siostrzenicą, znowu do polskiej, rodzinnej wioski wróciła: miliony

tylko w Paryżu zostały!... Miły Boże! ta wieś polska, tak cudnie przecież, tak cicho, zielono nad jeziorem gotyckimi wieżyczkami piętobudowany jej kościółek tak zalotnie gotyckimi cofał się za szmaragdowe trawniki, do cienistych klombów ogrodu! A w tym ogrodzie jakie gęste szpalery, jakie w labirynt wijące się ulice—ile tam lip, jesionów, nie mówiąc już o gruszach, o jabłoniach, ile modrzewi i brzoź, „co rozpuszczają sploty swych warkoczy.“ Może o której z nich właśnie Mickiewicz po raz pierwszy pomyślał te słowa, gdy całymi tygodniami w gościnnym, szczerze, serdecznie gościnnym domu tutejszym przebywając, siadywał sobie na swojej ulubionej ławeczce i słuchał śpiewu słowików. Ile bo też tu słowików na wiosnę! a jaki głos mają dźwięczny! chyba dźwięczniejszy niż gdzieindziej. Mógłby Jagiełło rok po roku przy ich koncertach bez żalu umierać. Cóż dopiero, gdy roje świętojańskich robaczek po drzewach, po trawach, po białych różach, w powietrzu, wszędzie dokoła rozprysniętą illuminacją zamigotają! Za ogrodem jak oko dosięgnie falują łany żytem i pszenicą, albo się krają w brunatne wstęgi długich, długich zagonów. Właściciel kochał te zagony, te swoje pola starannie uprawne, dumny był ze swych ulepszeń i planów gospodarskich. Właścicielka, wdzięczna, pełna szlachetnych popędów istota, zupełnie dostatecznie szczęśliwą się czuła w swoim świetnie urządzonym pałacu, gdzie miała przepyszne kwiaty, najświeższe książki, stopy nót Haydna i Beethovena, od czasu do czasu wesołe zebrania krewnych i znajomych, a na chwile nieuniknionej w tym życiu troski miała—coraz dziś rzadszą—wyłączną, osobistą przyjaźń kilku serc zacnych i prawdziwie ją kochających. Nikt więc w domu tak bardzo do życia wśród obcych, zwłaszcza do stosunków z rodziną Bonapartych nie tęsknił. Co najwięcej, to jakaś artystyczna ciekawość do paryżkich teatrów, nadreńskich ruin i włoskich muzeów nęciła — ale spadła successya; p. Adyna uznała, że wyjechać trzeba i wyjechała. Dziwnym bo trybem sprawy ludzkie się toczą! Obok p. Adyny, w innym zamożnym rodzie wielkopolskim, żyła niezamężna także, a trochę od niej starsza kobieta. Każdy byłby przysiągł, że gdy o kierowanie losem najbliższych swoich chodzi, to owa kobieta w stokroć szczęśliwszem i odpowiedniejszem ku temu znajdowała się położeniu. Wyższa zdolnościami umysłowemi, wyższa ukształceniem naukowem, wyższa miłością prawdy chrześcijańskiej, wyższa zasługami czynnego i pełnego poświęceń życia, wyższa ogólnym, nietylko całej prowincyi, lecz i kraju całego szcunkiem, niedość na tém—kobieta bogata „tante à succession“ co

się zowie—i ta kobieta przy najusilniejszych staraniach nie mogła swoich siostrzenic i siostrzeńców z salonów i stajen powyprowadzać: gdy przeciwnie panna Adyna tak łatwo nie pragnących tego, na dworskie uroczystości i książęce księcia Plon-Plon bale wprowadził

Cóż czynić! niech jej sąd ludzki lekkim jednak będzie jak brabancka koronka! Raz gdy sentymentalno-zartobliwą rozmowę „o zamążchodzeniu“ toczono, słyszeliśmy ją szepleniącą własnymi koralowemi usteczkami te słowa: — „Jeśli bym nie kochała, to bym się krokiem nie ruszyła, a jeśli bym kochała, to bym się odważyła i za ocean do Ameryki popłynąć“... Według niepewnie dolatujących wieści Strzelecki miał być jeszcze w Ameryce podówczas. Nie zapomniała więc o nim! Po długich latach rozstania i bezlistownego milczenia, ona w swém sercu szanowała zawsze pierwszą, dziecinną miłość swoją!... Te kilka słów naiwnie rzuconych osobom, które mogły się domyślać ich rzeczywistego znaczenia, przejęły nas głębokiem dla mówiącej współczuciem. Ileż to kobiet nietylko byłoby z pamięci wymiotło romans, ale byłoby starało się wszelkim sposobem uroczyście awanturze zaprzeczyć. Panna Adyna lepszą drogą poszła. Nie wstydziła się tej chwili swój przeszłości i témsamem nie dała się nią także nikomu zawstydzać. Co do nas, przestaliśmy się od tej chwili dziwić miłości Strzeleckiego. Może go zrazu próżność pociągnęła: świetne koligacje, wykwintne ułożenie, czysta francuzczyzna—bo chociaż panna Adyna szepleniła po polsku, jej francuzkiem akcentowi nic nie było do zarzucenia—pan Paweł nigdy zapewne piękniejszego w całej rodzinie swojej nie słyszał; — może więc te wszystkie podrzędne dodatki najpierw wyobraźnię jego rozkołysały, lecz wkrótce musiał go potężniejszy urok ogarnąć. Ta ciemna, z pączka zaledwie wychylająca się różyczka, sama przez się już głowę zawrócić mogła; ale gdy jeszcze prawdziwém ukochaniem rozbłysła, jak płomykiem najcudowniejszego z owych niedawno tu wspomnianych świętojańskich latawców — to chyba czoło tylko przed nią schylać, a ręce ku niej wyciągać. Strzelecki byłby ręce do gwiazdy na niebie wyciągnął. Między różyczką a ubogim podchorążym, co gorzej nawet: między różyczką a zadłużonym podchorążym, przepaść niezgłębiona leżała: Strzelecki już i wtedy żadnych przepaści się nie lękał, on, co miał kiedyś w jednej z australskich trzy dni i trzy noce bez wody i pożywienia spędzić; więc najpierw sięgnął śmiało.

Bawila przy panie Adynie jakaś młoda guwernantka, prawdopodobnie jakaś Francuzka, boć innych wtedy panienki z mo-

dnego świata nie miawały nigdy; tę guwernantkę zjednął sobie szczęśliwy do ludzi chłopiec. Guwernantka wzięła na siebie pozor celu i przedmiotu wszystkich jego nadskakiwań, grzeczności i westchnień—aż tu raz, niespodzianie elewka zniknęła. Pan Paweł wykradł pannę Adynę. Spostrzeżono dość wczesnie jej nieobecność; odkryto zaraz powód; pospieszono za uciekającymi i w kilka godzin kochankę kochankowi wydarto. Bardzo podobny wypadek przed półwiekiem wpłynął na losy Kościuszki: terazniejszy o losach Pawła rozstrzygnął. Było to jedyne pono między tymi dwoma ludźmi podobieństwo. Cały dalszy ich życia kierunek różnicami chyba dałby się w parallelę ująć.

Po nieszczęśliwem z panną Adyną zajściu, młodzieniec „niespokojnego ducha” w świat się rzucić potrzebował jak rozbitek z potraskanego okrętu w morze. Siostra obiecała mu pułkowe długi jego spłacić i dała 400 talarów na drogę, Piotr dał drugie czterysta, a Paweł po raz drugi z oczu ludzkich zniknął. W ostatnich latach, kiedy już rodzina coraz ciekawiej o niego dopytywać się zaczęła, pani S. wspominała niekiedy swym dzieciom, że jeszcze z Karlsbadu, dokąd udał się naprzód, odebrała od niego list bardzo długi i serdeczny, w którym ją za wszystkie uchybienia swoje przeproszał i za spłacenie długów dziękował. Był to pierwszy list po rozstaniu, a ostatni w życiu. Staruszczyzna nigdy jednak nie chciała wierzyć zupełnemu zobojętnieniu swego brata: „Niech tam co chcą gadają, że się z niego Anglik zrobił i że wstydzi się swojej rodziny; ja wiem, że gdyby mię zobaczył, toby się bardzo ucieszył“... Nie raz słyszeliśmy od niej te słowa—ha! może miała słuszność; lecz wróćmy do poprzednich zdarzeń.

Działo się to wszystko roku 1821. Po różnych kółkach towarzyskich naszego kraju wyczerpały się, a raczej ogadały się już wtedy ważniejsze wieczornych rozmów temata; nowe jeszcze się nie nasnuły, więc od każdej ploteczki głośniejsze, zwyczajnie jako w pustkach, rozlegało się echo. Wykradzenie panny z ojcowskiego domu nie było na ową epokę zbyt wielką osobliwością; lecz zaszła drobniutka okoliczność, która posłużyła do nadania wykradzeniu p. Adyny szczególniej właśnie „osobliwego“ rozgłosu. Podobno, że gdy biedne dziewczątko—mówimy „biedne dziewczątko“ nie dla tego że się w Pawle o niespokojnym duchu zakochała, nie dla tego nawet, że pójść za niego nie mogła, ale dla tego, że ją rozwód rodziców macierzyńskiej opieki pozbawiwszy, na opiece tak wesoło bawiącego się ojca zostawił,—biedne dziewczątko więc, gdy bawialny pokój opuszczało, by się na oznaczoną do ucieczki godzinę stawić, może tkliwszym niż zwykle głosem do ojca przemówiło, może go

niespodzianie ze wzruszeniem w rękę pocałowało, może też on się zdziwił, może tak po prostu z przypadku i bez myśli zapytał: „Gdzie idziesz?” — „Idę na podwieczorek“ (czy na kolacyą? nie rezygnujemy za ten szczegół). — „A co tam macie?” — „Mleko z klusieczkami,“ i oddaliła się prędko. Pan S. sam bardzo lubił mleko z klusieczkami; po kilku chwilach, jakkolwiek to nie była zwykła jego pora do wieczerzy, wybrał się wszelako za córką. W jadalnym pokoju ani córki, ani klusieczek z mlekiem nie zastał; ztąd zadziwienie, poszukiwania, odkrycie tajemnicy i dwom życiom wyrok na losy nieznanne.... W całym sąsiedztwie rozeszły się szczegóły chybionego porwania. Mleko z klusieczkami uszczęśliwiło zaraz wszystkie prowincjonalne harfy eolskie; niezadługo potem, jako synonim przygód romansowych za granicę księztwa się wysunęło; po Królestwie kongresowém długo się tułało w anegdotkach o dwudziestu czterech przynajmniej innych pannach wykradzonych; przepłynąwszy Wisłę bez imion własnych, zmieniło się na różne kuchenne wyroby: piwko grzane, drobną kaszkę, wodziankę i t. p., aż nakoniec, po latach kilku, czy kilkunastu, wiatr ulamki tego wspomnienia aż nad brzegi Willi uniósł i koło uszu młodego akademika niemi powionął. Akademik w lot przytrzymał zabawną historyjkę, wpakował ją między inne humorystyczne obrazki, wydrukował na bibuła stym papierze pod tytułem: „Książeczka do zapalania fajek,“ i w świat między ludzi puścił. Czy pan J. I. Kraszewski przypomina sobie to dzieciątko bez opieki, bez przyznanego ojcowstwa w świat wyprawione? Spotkaliśmy je przypadkiem na stoliku u byłego kolegi autora z czasów jeszcze szkół białskich, a spotkali w czasach, które na trzy, czy cztery lata uprzedziły powiększenie formatu Gazety Warszawskiej. Niepozorna dziecina tak wesoło szczebiotała, że przez parę tygodni była ulubionym przedmiotem rozrywki, żartów i przytoczeń dla licznie na jakieś święta zebrałej krewnych i przyjaciół drużyny. Pan Kraszewski pewnie już zapomniał o téj swojej broszurce; nie ma jej osobno wymienionej w zbiorowém wydawnictwie wszystkich dzieł jego; a przecież, choć to dzieła ważniejsze, piękniejsze, choć więcej wpływowe, wątpimy, czy które z nich miało tak świetne powodzenie, czy się tak zespoliło z życiem swoich czytelników. Ludzie chyba wtenczas tylko umieją czytać jak się należy, kiedy nic lub prawie nic do czytania nie mają. W książeczce np. był paragraf, który się tak zaczynał: — „Są ludzie konie, są ludzie woły, psy, koty...” a kończył się wyborném rozgatkowaniem ludzi osłów od ludzi cieląt. — Wszyscy dokoła przekomarzali się, zaczepiali, drażnili jedni drugich szeregiem tych porównań — a ktoś na nutę

ludowej piosenki zanucił: — „Przyszła do nas nowina—talent nam się narodził...” I nie omylił się augur, choć tylko z kilku bibulastych kartek wróżył. Ostatnie kartki zajmowały mniej już szczęśliwie przytoczoną dykteryjkę o klusieczkach, bodaj ażali na kaszkę już nie przerobionych. Mimo przeróbki główna treść jednak pierwotne swoje rysy dość wyraźnie jeszcze zachowała, by niektóre osoby z towarzystwa natychmiast je rozpoznały. Po raz pierwszy wtedy zasłyszeliśmy o przygodach Pawła Strzeleckiego. Ktoby nam był powiedział, że kiedyś, kiedyś, autor *Książeczki* sam na siebie, z własnej głowy i własną ręką, napisze więcej tomów niżejmy ich we wszystkich razem wziętych całego powiatu bibliotekach widzieli — albo że Strzelecki na znakomitość wyjdzie — albo szczególnie, że my o nim do druku pisać będziemy—że do druku choćby nie o nim zresztą — tegośmy nigdy nie przypuszczali..

Strzelecki zmuszony księstwo Poznańskie opuścić, udał się najpierw do Karlsbadu, jak mówi notatka; do Włoch, jak nam ktoś z obiegających w swoim czasie pogłosek wspominał. Na skrzydłach wiatru zaleciała pana Kraszewskiego wielkopolska anegdota; na skrzydłach wiatru zaleciał nas dowcip wielkopański: — „Sapieha przywiózł sobie z Włoch papugę, małpkę i Strzeleckiego...” Można wszelako z Karlsbadu jadąc po drodze do Włoch wstąpić. Taka marszruta pogodziłaby sprzeczne podania. Bądź co bądź, we Włoszech czy w Karslbardzie, to pewną jest rzeczą, że książę Franciszek Sapieha zapoznał się ze Strzeleckim. Jak niegdyś Xawery Kiedrzyński, jak później różne kółka towarzyskie, jak guwernantka, panna Adyna, a chwilowo sam jej ojciec nawet, tak też książę rozmiłował się w szczęśliwym do ludzi młodzianie, zabrał go z sobą do kraju i oddał mu w zarząd wszystkie swoje dobra; a miał ich według ówczesnej taksy na 30,000 dusz podobno. W gubernii Mohylowskiej w kluczu Bychowskiem 12,000; w gubernii Grodzieńskiej w kluczu Dereszyńskim 12,000; na Żmudzi w Szkudach 6,000. Być pełnomocnym rządcą takiego małego państewka, dla dwudziestokilkoletniego człowieka, ślizkie to i pełne pokus położenie, zwłaszcza gdy ani jemu pierwój nikt, nigdy, z niczego rachować się nie czuł obowiązany, i gdy on sam przez długi czas widzi, że nigdy, nikomu, z niczego także rachować się nie potrzebuje. Ślepa ufność starego księcia jeszcze zgubniej niż onego czasu braterska pobłażliwość Kiedrzyńskiego, wpłynąć musiała na tę bogatą umysłowo, a dziecięcą zaledwie w moralném wykształceniu naturę. Kiedy widzimy władzę nad cémkolwiek w ręku dziecka, a miecz w ręku szalonego, to zawsze

strach nas bierze o tych, co blisko stoją; lecz równa niemal przejmując niespokojność o dziecko i o szaleńca. Blisko stojący mogą się bronić; mogą ucieczką ratować. Oni sami od siebie nigdzie nie uciekną; sami przed sobą bronić się nie potrafią! Ten czas plenipotencyi jest najmętniejszym ustępem w biografii Strzeleckiego.

Kto temu winien?

Oto w pół na pół — książkę Franciszek i... poczty.

No tak, poczty. Nie wszędzie dochodziły; po całych miesiącach list z prowincyi do prowincyi niosły, a do odległych wiosek i miasteczek ledwo czasem raz lub dwa razy na rok go przesyłały. Ludzie zwyczajni byli nie pisywać do siebie; po pewnym czasie przywykali nic o sobie nie wiedzieć. Mnóstwo znaleźmy rodzin, po większej części nawet kochających się rodzin, które tym sposobem w zapomnienia falach potopiły najbliższych członków swoich. Jedna matka z owej epoki przez dziesięć lat nie wiedziała o śmierci swego syna, właśnie dla tego, że był jój ulubieńcem wśród innych, i ci inni złą wieścią martwić jój nie chcieli. Takie rozluźnienie stosunków serdecznych, takie usunięcie wpływów, do których osobistości bezwiednie w pierwszém zaraniu życia już się nałożyły, musiało szkodliwie oddziaływać na obie strony. Paweł z Karlsbadu wdzięczném słowem do siostry się odezwał, lecz słowo to czytała po raz pierwszy, gdy już Pawła dawno w Karlsbadzie nie było. — Więc gdzie go szukać?... Paweł drugi raz się nie zgłosił: pani Izabella nie wiedziała gdzie się zgłosić, i odtąd już się na zawsze z oczu stracili. Jemu ubyla jedyna możliwa kontrola: t. j. wspólność rodzinnej odpowiedzialności—jój także trochę rodzinnej cnoty z serca ubyło, za nadto się oswoiła z tą myślą, że „Paweł gdzieś przepadł“ — i nie szukała go w chwilach gdy koniecznie godziło się poszukać.—Istotnie, dobrze urządzone poczty są nader umoralniającą instytucją.

Do jakiego stopnia zubożenia rodzinnego dojść można było wtedy, najwymowniej zaświadcza ta drobna okoliczność, że gdyśmy się teraz u siostrzeńców i siostrzenic niektórych objaśnień dopominali, nikt nie umiał nam powiedzieć u jakiego to Sapięhy i jak długo ich wuj. przebywał. Ze świata niegdyś słyszeliśmy, że mu jego pryncypał tysiąc dusz w testamencie zapisał, że spadkobiercy prześladowali go za to, i że on przecież ze wszystkimi dał sobie radę. — Rzecz zdawała nam się dość prosta. — Jeśli co prawda zapisujący miliony (1,000 dusz liczyło się w wartości miliona) jeśli tedy zapisujący pryncypałowie są wielką osobliwością, to gniewający się na zapis prawni spadkobiercy, są tak pospoli-

tym i naturalnym wyrobem społecznym, że temu jedynie dziwiłoby się wypadało, gdyby ich przy odpięczeniu testamentu zabrakło. Spadkobiercy prześladowali Strzeleckiego—od czegoż byli możnymi panami? Podburzyli przeciw niemu opinią całej prowincyi. — Cóż łatwiejszego!—Plenipotent i nadużycie, nie są to koniecznie w słowniku blizkoznaczące wyrazy; ale plenipotent i nadużycie tworzą silne stowarzyszenie pojęć w umyśle ludzkim, „association d'idées“ tak chemicznie spowinowacaną, że nic łatwiejszego jak wzmianką o jedném, hipotezę o drugiem wywołać. Znajomy nasz dobry, pewny obywatel wołyński, gdy sam jechał do Bobrujska, spotkał się w drodze z wiezionym do sądu Strzeleckim, na własne oczy widział, że był w dyby zakuty; wymiñeli się dość szybko — lecz widział dyby i mocno był tém zgorzszony. My się przyznajemy, że nie byliśmy zgorzzeni. Nam inna znów kombinacya szybciej jeszcze tworzyła się w głowie, niż połączenie plenipotenta z nadużyciem: kombinacya nadużycia z siłą — z siłą wszelkiego rodzaju Maćkowej pięści, Rotszyldowskiego złota, książęcej na gronostajowym płaszczu mitry. Przyjemnie nam też było usłyszeć, że pan Paweł, obcy przybysz, bez krewnych, bez przyjaciół szczerych, nie pozwolił zgnieść się na miążgę można-pańskiej ręce, i gdzie stu innych byłoby z kretesem przepadło, on jednak na wierzch wypłynął; widać że nie od kształtu, nie dla tego tylko iż była piękną, głowę na karku nosił. To było nasze przekonanie od r. 1843 aż prawie po chwilę bieżącą. Pragnęliśmy tylko poprzeć je w niniejszém wspomnieniu nazwą geograficzną miejsca i chrzestném imieniem owego księcia Sapiehy. Jedna z notatek wcale nam pod tym względem zadość nie uczyniła, ale przynajmniej utwierdziła nas w zaufaniu ku dawniejszym tradycyom i wnioskom. Sapieha był z Wołynia:—„Paweł przy swoim „naturalnym rozumie, chęci i woli wyprostował i uregulował in-„teresa księcia, co tenże zawdzięczając zapisał mu *jeden klucz(!)* „w dożywocie; lecz młodzi książęta nielubiący Pawła, ułożyli się „z nim wypłaciwszy mu gotówką 12,000 dukatów, i temi to pi-„niędzmi zaczął robić w Petersburgu bankierskie interesa.“ — Rzecz tym sposobem przedstawiała się dość czysto, nawet interesa bankierskie, o których znów w innéj formie płaćtało się podanie, tutaj na właściwém miejscu się znalazły, by początek majątku starczącego na high life w Anglii wytłómaczyć.—Szkoda, że tak nie było! ach! jeszcze większa szkoda, że było trochę ba, zupełnie inaczej. Z sąsiedztwa rodzonej siostrzenicy pana Pawła przyszła notatka obejmująca bardzo smutne, lecz datami i nazwiskami objaśnione szczegóły.

Najpierw pokazuje się według notatki, a raczej według świadectwa kolegi, który niegdyś z Pawłem razem w administracji księcia służył—i nawiasem mówiąc, dziś jeszcze starszek powtarza, że nigdy nie widział piękniejszego od Pawła mężczyzny — że ksiązę protektor był księciem Franciszkiem, a żadni młodzi księżęta nie mogli być jego dziedzicami, bo zostawił jednego tylko syna po sobie, księcia Eustachego (1). Pierwsza wzmianka o księciu Eustachym już nas bardzo z tropu zbiła. Niechaj cierpliwość czytelników raz jeszcze krótki epizod przebaczy. Wielu z nich pewnie domyśliło się, że nie jesteśmy wciąż zbyt głęboką dla starych rodów naszych historycznych przejęci. Jeśli do wspólni ze ś. p. Bartoszewiczem nie mogliśmy kochać Jezuitów, to do wspólni przynajmniej, on ze swojej niewyczerpanej, my z naszej ograniczonej i bardzo niedostatecznej wiedzy dziejowej, złożyliśmy się na to przekonanie, że wszystkie rody ciężko w końcu zawiniły, i wszystkie według energicznego wyrażenia pana Juliana „w strzępki“ za to poszły, lub pójdą. Choćby nawet i wszystkie, to ksiązę Eustachy niezawodnie odznaczający się wyjątek stanowił. Może zresztą nieodznaczający się—właśnie to było główną jego charakterystyką, że się nie odznaczał: ale niemniej przeto był ciekawym, szczególnym wyjątkiem, był wyjątkiem prawdziwie szacunku godnym, choć nie odznaczającym się. Istotnie, ostatni potomek hetmańskiej linii Sapiechów ani portretowo ani legendowo nie przywodził na myśl swych przodków. Zdarzyło nam się kilka razy siedzieć w tym samym gdzie i on był pokoju, nie zapamiętaliśmy rysów jego twarzy choćby w tak grubszym szkicu jak pamiętamy rysy np. pana Piotra Strzeleckiego, którego przecież jeden raz widzieliśmy; zdaje nam się, że był ledwie średniego wzrostu, szczupły i dobrze już szpakowaty, lecz gdyby kto powiedział, że miał czarne lub blond włosy, nie śmielibyśmy się z nim sprzeczać. Jakkolwiek zapomnieliśmy rysów, wybornie za to niektóre słowa pamiętamy: „Och! my z księciem, tłumaczył komuś, nie lubimy się spotykać od ostatniej naszej rozmowy w Warszawie.“ Na pierwsze jego wezwanie co prędzej pędzę, przedstawiam się. „A ty tu po co?“ z frasobliwą miną pyta mnie ksiązę. Po rozkazy WKsiążęcej Mości według odebranego pisma. Wcale niepotrzebnie, wielcy właściciele ziemscy jużby powinni wiedzieć o tém, że ich pierwszym obowiązkiem majątków swoich nie tracić...“ i t. d. „Wszystko to

(2) Ksiązę Eustachy miał braci, ale przyrodnych, choć wspólnego nazwiska Sapiechów, z inną jednak zupełnie linią.

prawda, lecz mnie się zdawało, że co kto swoim nazwiskiem podpisuje, to bez domyślnych wyjątków za swoje przekonanie przed każdym uznać jest gotów...“ W innej znów okoliczności wielka pani z jego świata pytała: „Objasnijcież mnie, co to jest ten jakiś Lamennais?“ (przepraszamy za złą polszczyznę naszą, ale rozmowa szła po francuzku i chcielibyśmy wiernie jej charakter zachować). „Lamennais, odrzekł książę Eustachy, to bardzo znakomity człowiek, najlepszy dziś pisarz we Francyi.“ „Słyszałam, że waryat i podżegacz—un fou, un incendiaire.“ „Cóż znowu? nieposzlakowanej prawości, można się z nim na niektóre rzeczy nie godzić, ale częściej jeszcze słusność przyznać mu trzeba. Znakomity człowiek“—raz jeszcze powtórzył.

Mniejsza jednak o słowa; w księciu Eustachym ceniłiśmy zajęte przez niego stanowisko. Umiał nie być. Gdzie inni się krzątali jak muchy przy wozie, na wyścigi się tłoczyli w pierwsze rzędy i przed oczy—ach! nie miło dziś wspominać—bardzo niechętnych lub zupełnie o czem innem myślących widzów — on z godnością stał na boku, nigdzie się nie cisnął — i nic, a szczególnie za rozgłosem nie ubiegał. Może było w tém trochę zmęczenia życiem, trochę gnębiącej tęsknoty. W krótkim rozstępie czasu dwa ciosy na serce mu padły: śmierć żony i strata ogromnego dziedzicznego od wieków majątku. Żal po ogromnym dziedzicznym majątku mógł być wspólny nie jednemu zresztą w jego sferach, lecz żal po żonie młodej i pięknej córce bankiera, angielskiego, którą z miłości poślubił, to już stanowiło wyłącznieszą osobistość jego właściwość. Rzecz widać była niezwykła, gdyż niezwykle daleko nawet i wysoko budziła współczucie. Kiedy kosztowny jego skarbiec do Petersburga przywieziono, a w jednej szkatułce znalazła się przesłiczna miniatura nieboszczki ze złotym puklem jej włosów, cesarzowa osobiście tę drogą pamiątkę przesłać mu do Londynu kazała. Była też to jedyna podobno, która mu z wielu innych po ukochanej została, gdyż rzekł się dobrowolnie zapisanych sobie w jej testamencie milionów. Przypuszczamy więc, że ciche odosobnienie księcia przypadało z razu do jego żaloby, a potem do jego przywyknień, jednak wyglądało też na jedyną dumę nękającym rodom stosowną: „Hetmanem być nie mogę, ani kanclerzem, ani wojewodą nawet, niechże lepiej nic o mnie ludzie nie wiedzą.“ Podobno, że dopiął swego celu, i ludzie bardzo mało o nim wiedzieli; bodaj czy dzisiaj wiedzą choćby cokolwiek. Nie słyszeliśmy nawet, czy książę Eustachy Sapieha dobroczynnością zasłynął; kilka razy wspomniano nam tylko, że wyborny z niego w potrzebie i nieszczęściu kolega bywał.

Teraz wróćmy do Strzeleckiego. Mały autor i aktor Głuszyńskich komedyek zaczyna niebezpieczne przedstawienie dramatu pod tytułem: „Niewierny Szafarz,“ według lekko zmienionego tekstu ewangelicznej przypowieści. Stary książę Franciszek około r. 1828 polecił mu rozprzedanie dóbr Bychowskich. „Strzelecki sprzedawał bardzo tanio, przyjacielom swoim, żeby mieć z nich współników; prawie darmo porozdawał folwarki: Józefowi Szaniawskiemu Dunajek, Sławińskiemu Zołotnie, Kiersnowskiemu Sahadów, sam dla siebie pod imieniem Miłosza wziął Horodźce.“ Już takim sposobem 9,000 dusz rozposażono, gdy książę Franciszek umarł za granicą, a dziedzic jego książę Eustachy, przestrzeżony o marnotrawstwie pełnomocnika, osobiście do Bychowa zjechał. Tutaj zająć miała gwałtowna scena. Książę Eustachy dopominał się o księgi kassowe; Strzelecki nie chciał mu ich złożyć; książę sam je wziął ze skrzyni; Strzelecki przy pomocy kassyera Kiersnowskiego wydarł je z rąk księcia i... i na tém się skończyło. „Strzelecki po tych zajściach z księciem z małym funduszem wyjechał do Warszawy. Darowizny od księcia (pewnie Franciszka) nie otrzymał żadnej. Sądownie pociągany nie był.“ Dwa tu szczegóły nie przypadają ani do innych świadectw, ani do miary rzeczywistych natury udzkiej objawów. Najprzód, o ile co w tém życiu nieprawidłowém, kometarném, dowieść można, to prawie dowiedzioném się zdaje, że w tym czasie zamętu i dziejowych przełomów Strzelecki nigdy nie był w Warszawie, sprawy bychowskie przeszło dwa lata czasu mu zajęły; w kłopoty z ich powodu zawikłany, przedewszystkiém o własnym musiał myśleć ratunku... Aby go też do sądu nie pociągnano, to rzecz po prostu niepodobna. W razie nawet gdyby awantura z księgami kassowemi mniej brutalną miała formę, jeszczeby książę Eustachy łatwiej przeniewierstwo pieniężne, niż osobiste uchybienie wybaczył. Wszelkie okoliczności zdają się więc potwierdzać to, cośmy od wołyńskiego obywatela o podróżnym spotkaniu ze Strzeleckim słyszeli. Zapewne wypadki z roku 1830 i 31 położenie jego na lepsze zmieniły; przeciwnik się oddalił, sprawiedliwości ręce bezczynnie opadły; a ludziom uszy na wieści tego rodzaju stępiały, wielu się nie dowiedziało nigdy, inni zapomnieli.

W skrusze serca przyznajemy się czytelnikom, że mamy wielką ochotę na tych dwóch niedokładnościach całą obronę Strzeleckiego ugruntować. Wiernie aż po tę chwilę trwaliśmy w bezstronności naszej, lecz im dalej brnąć nam przychodzi po tych bajorach nierzetelności, a w bawełnę nie obwijając, po tych kałużach prostego oszustwa, tém goręcej wzdychamy do jakiejś by też

najwęższej ścieżyny, przez którą z nim razem moglibyśmy na otwarte pole się wydostać. Jednak on później w rządzie najczystszej sławy bohaterów stanął—jako bezkrwawy zdobywca ziem, skarbów i prawd nowych zabłysnął; choćbyśmy nie chcieli jego samego, to w nim jeszcze potrzebujemy uszanować godność nauki. A kto wie zresztą, czy mamy prawo go potępiać? Stawione przeciw niemu oskarżenia, na całej kuli ziemskiej przy wszystkich rozprzedażach i zakupach, przy wszystkich rozdawnictwach i obdzieleniach się słyszy, czy o dobra bychowskie, czy o zupełę rumfordzką chodzi. Jesteśmy pewni, że gdyby współczesny Józefowi Egipcjanin pamiętniki swoje w jakim sarkofagu lub w jakiej piramidzie zostawił, toby w nich było dowiedzionem lub raczej dowodzonem, że Józef na rozprzedawaniu zboża a skupowaniu gruntów egipskich, z krzywdą Faraona wyborne robił interesa. Każdy gotówby był przysiąc, że jego sąsiadowi pełniejsze worki, zdrowszém i piękniejszém ziarnem nasypuje, dla swoich własnych widoków. Od sąsiada do sąsiada niechęć się rozszerza, coraz głośniej szemrać zaczyna—w tém, wyobraźmy sobie—Faraonowie się zmieniają, syn po ojcu na tron wstępuje—zwykła podejrzliwość następcy przeciw ministrom poprzednika łączy się z naciskiem opinii publicznej—upokorzenia gradem kamieni sypią się na pyszną głowę Józefa—Józef jest hardy, zuchwały niecierpliwy... ostatecznie biedaka w dyby zakuwają. Powieść się gładko jak z płatka rozwija—wierzylibyśmy jój silniej niż kto kiedykolwiek przez siebie samego wysłędzonej powieści uwierzył—gdyby—już w 1831 r. Strzelecki dość bogatym z Petersburga nie wyjechał, by najdroższą (pod względem utrzymania) Anglią zamieszkać, trzy lata między wyższą jój szlachtą spędzić i nakoniec w podróż na około świata się wybrać. Bankierskie interesa pierwszej notatki usprawiedliwiłyby późniejszą zamożność—lecz to strapienie nasze właśnie, że od 1828 do 1831, czasu jak najwyraźniej do innych, prócz bychowskich i sądowych interesów brakuje. Odłóżmyż wszystkie razem na bok z dobrodziejstwem niezupełnie rozgmatwanój wątpliwości, i wraz ze Strzeleckim nową kartę zacznijmy.

(Dokończenie nastąpi.)

O PAWLE EDMUNDZIE STRZELECKIM

WEDŁUG RODZINNYCH I TOWARZYSKICH WSPOMNIENÍ

przez

NARCYŻĘ ŻMICHOWSKĄ.

„De mortuis aut veritas, aut nihil.“

II.

Każda rodzina ma w swoim łonie jakiegoś „ducha niespokojnego,“ który ją przez lata całe pod grozą hańby lub nieszczęścia trzyma; tyle razy przynajmniej i w tak wielu już rodzinach spotykaliśmy się z tą plagą, że dla pośpiechu wyjątki pomijamy i spostrzeżeniem naszym ogół obejmujemy. Cóż ogółowi na zażegnanie wspólnych niebezpieczeństw poradzić? Gdyby to można znać i rozumieć naturę owych tajemniczych bolidów, znalazłoby się jakiś środek ratunku; lecz w tém biada właśnie, że więcej nierównie wiemy o składzie z nieba spadłych lub jeszcze po niebie krążących meteorów, niż o którymkolwiek z owych wcielonych kłopotów domowego ogniska. Zkąd się to wzięło? pytają trwożnie zdumieni rodzice, bracia i siostry, stryjowie i ciotki. W kogo się to wdało? Syn takich poczciwych i spokojnych ludzi! Córka tak starannie wśród samych dobrych przykładów wychowana!.. Co tu począć z nimi? a jeśli nic się nie pocznie, to co z nich będzie? Tak — najgłówniejsze zapytanie właśnie, co z nich będzie? Tego nikt a nikt przewidzieć nie może, temu żadna a żadna próba pedagogiczna nie zapobieży. Bywają z nich rozbitki, bywają grzyby zjadliwe wydzielające miazmata, bywają różne gatunki paszytytów roślinnych lub zwierzęcych, czasem bywają chmury i pioruny, ale też czasem dyamenty. Nie wolno wprawdzie spuszczać się na tę ostatnią wygraną. Między duchami niespokojnymi, za-

wsze więcj Kartuszów niż Kortezów; „utrapienie domowe“ stokroć częściej w szpitalu na delirium tremens kończy, niż śladem Hastingsów wielkorządztwo Indyi obejmuje, jednak zdaje nam się, że wartoby mu tę furtkę losu uchylić. Dla córek nie mamy jeszcze wyraźnie sformułowanój kuracyi. W każdym razie zjawisko bywa rzsadsze, bardzo rzadkie; ale dla synów to już nieraz przychodziły nam pomysły, które w obecnej chwili przełomu biografii Strzeleckiego żywiój niż kiedykolwiek nam się uprzytomniają. Czy chcecie wiedzieć co z synami zrobić? Łagodność ich uzuchwała; surowość rozwściekla; źli towarzysze podniecają, dobrzy śmieszają ich lub psują się od nich: nie ma innój rady, tylko do Anglii z nimi! do Ameryki! do Nowój Hollandyi! Tam jedynie będą się mogli rozwinąć w konsekwencyi ze swojają niewiadomą, niezbadaną, niepojętą samėj sobie naturą. Jeśli nic nie ma w nich do odratowania szybcj wyczerpią się i znikną — jeśli jest choć atom jeden szlachetny i niezarażony, łatwiój na wierzch się wydostanie, zsilnieje i nad zlemi pierwiastkami zapanuje. Złe ma wielkie uroki swoje, nęci, olśniewa. Trudno temu zaprzeczyć; złe niezłych nawet ciągnie ku sobie, lecz nie zdajemy sobie dość jasno sprawy z tego, że i dobre ma wielką władzę pokusy. Niepodobna wyspekulować takich warunków położenia, w którychby człowiek nie miał sposobności, gdy zechce złe broić; wszystko na tém zależy, by mu dostarczyć warunków, w których gdy *zechce*, natychmiast będzie miał sposobność dobre spełniać i tworzyć. Wolności! wolności czynienia dobrze dostarczcie dzieciom waszym — to jedyna deska zbawienna przeciw łatwości czynienia źle. Społeczeństwa starego ładu ciężko pracować musiały nad ugięciem rozkiełznanych sił barbarzyństwa, sił dzikości nawet; jak wstąpiły na drogę obwarowywania grubemi szańcami występku, tak i cnotę do twierdzy wsadziły. Za morzami, za oceanami, na stepach, w puszczech i górach może ona dopiero szeroko skrzydła rozwinąć, wysoko aż ku szczęściu wzlecieć i zasłużonym blaskiem wzrok wahających się oczarować. Więc za morza, za oceany, w puszcze, w góry duchy niespokojne!

Strzelecki zaczął od tego, że pojechał do Anglii, naturalizował się jako poddany angielski i podobno wstąpił do uniwersytetu oxfordzkiego (1).

Coby to za dobrodziejstwo było dziś dla nas, gdybyśmy przez

(1) List jego własnoręczny z 1873 roku 15 Maja zawiera te słowa: Quant à ma nationalité, je suis sujet anglais depuis 45 ans.“

szczelinę chociaż jednego drobnego szczegółu, jednego słówka, jednej wzmianki ubocznej, spojrzeć mogli w te lata chemicznego procesu, gdy się podejrzanego charakteru plenipotent książe na dżentelmana angielskiego, na geografę, eksploratora i odkrywcę przekształcał. Czy mu kością w gardle stanęły gorzkie owoce niesuniętej lekkomyślności? czy chciał tylko z początku oczy ludzkie tumanić, a potem zwolna sam się w służbę prawdy zaciągnął? Czy smutne przejścia, zdrady zauszników, potępiające głosy uczciwych ludzi napędziły mu lepszych myśli do głowy i poważniejszą stronę życia przed oczy mu stawily? Nigdy się tego nie dowiemy. Pisał on wprawdzie pamiętniki swoje według najlepszej metody: dzień po dniu, wrażenie po wrażeniu, na gorąco, jak było w chwili bieżącej—ale pamiętniki spalono! historia ich, do historii testamentowej już należy. Wiemy jedynie, że istniały; że mogły najciekawsze i najpożyteczniejsze—ma się rozumieć nam, nie Anglikom—przekazać wskazówki, —lecz to wszystko stracone. Z najważniejszego rejestru została gdzieniegdzie ogólna summa wyraźnie odkreślona; cyfry jej składnikowe na zawsze tajemnicą będą. Sam pobyt w Oxfordzie naprzykład; piszą do nas, że tam trzy lata spędził, zdał egzamin i stopień doktorski otrzymał. Wszelkie okoliczności odpowiednio się z tém składają. Przy największych zdolnościach młody człowiek, który szkół nie skończył, a choć mógł wiele czytać w czasie swego wezyratu na Litwie i Białorusi, to pewnie o naukach przyrodniczych nadzwyczaj mało czytał: przy największych tedy zdolnościach nie potrafiłby tak od razu siłą intuicji, natchnienia i zapału w geologa się przedzierzgnąć. Intuicya, natchnienie, zapał, niezawsze i w lingwistyce poważniejsze studia zastąpią. Wyborne i konieczne do praw etyki, na nic się choćby przy gramatyce nie zdadzą. Mickiewicz bez zaprzeczenia znał „wielkie prawdy nieznanne dla tłumu,“ jednak się w etymologii asyryjskiej pomylił trochę. Cóż tu dopiero o matematyce, o chemii, o fizyce wspominać! Strzelecki jednak opanował te wszystkie wiedzy ludzkiej podwaliny i stopy; musiał jakiś czas życia wyłącznie na to odłożyć i musiał się uczyć. Według udzielonych nam wiadomości, miał przez czas jakiś na oxfordzki czy też na edymburski uniwersytet uczęszczać. Mielśmy onego czasu sposobność jeśli nie bezpośrednią, to bardzo blisko pośredniczącą drogą, zapytać go o dokładniejsze w tym względzie szczegóły. Nie wyzyskaliśmy owę sposobność... dla tej samej przyczyny, dla której i ty szanowny czytelniku i ty szanowna czytelniczko nie wyzyskaliście tej, co wam się zdarzyła: wtedy... no, już sobie przypomniałiście łatwo. Wspólny to nam stary obyczaj.

Udało nam się wszelako zdobyć jeden pewnik przynajmniej na własnym świadectwie Strzeleckiego oparty: wkrótce po swoim do Anglii przybyciu wybrał się na zwiedzenie północnej Szkocji, a wybrał daleko więcej, jak się zdaje, w charakterze obeznanego ze swym przedmiotem agronoma, niż rozkoszującego się pięknnością krajobrazów turysty. Mógł zaiste być jednym i drugim, lecz nie mamy dowodu, aby się zachwycił skałami, po których bohaterowie Walter-Scotta jelenie ścigali, aby we mgły tumanach, przy blasku księżycowym o Fingalu i smętnej Malwinie rozmyślał. A przeciwnie mamy dowód, że mu się bardzo podobało jedno owczarniane gospodarstwo (sheep-farm) i zaraz na miejscu ważne, treściwe, znać bystrym okiem zebrane spostrzeżenia do swjej książki notatkowej zapisał.

O tym szczególe dowiedzieliśmy się z VIII części „Opisu Nowej Południowej Walii,“ gdyż sławny eksplorator zastanawiając się nad uprawą, rodzajem i sposobem wyzyskania rozległych obszarów jej gruntu, względem pastwisk, hodowli owiec i możliwych ulepszeń rady swoje podaje. Przypuszczamy w tej chwili, że jeśli który z panów gospodarzy czytać będzie niniejszy życiorys, to właśnie owe rady zaciekawia go trochę; całego ustępu jednak niepodobna tłómaczyć dla braku miejsca; a dla braku kompetentnego sądu, jeszcze niepodobniej wybrać głównejsze punkta dość trafnie, by dały jasne i wierne o rzeczy pojęcie: najogólniej więc tylko wspomnimy, że Strzelecki zaleca osadnikom jakość wyżej od ilości cenić; niech o pół mniejsze będą ich stada, ale o dwa razy zwiększona każdej sztuki, co do mięsa i wełny, wydajność. Wskazuje odpowiednie ku temu środki, i przy sposobności chwali bardzo urządzenie owczarni pana Patryka Sellara z hrabstwa Shutherland: „Runa jego owiec od 4 do 5 funtów, a ćwiartki jego baraniny w gorszym gatunku od 12 do 17, w lepszym od 18 do 26 funtów ważyły!“ Strzelecki wielkim wykrzyknikiem zakończy to sprawozdanie; dla nas biograficzną wartość mają tylko wstępne jego słowa 1845 roku drukowane:

„Piętnaście lat temu (a zatem 1831 r.) kiedy piszący zwiedzał północną Szkocję, zwiedził także Tongue i owczarniane gospodarstwo (sheep-farm) Strathnaver, wzdłuż Loch-Naver i rzeki tegoż imienia leżące. „Co się tycze urządzenia samejże fermy, książeczka notatkowa podaje mu następujące fakta:

„Wzgórzysta okolica Strathnaveru żywo rozbudza o Szlązku wspomnienia..... (kropki są autentyczne i alinea wiernie zachowana).

„Pastwiska dla owiec przeznaczone, również jak w okolicach

Leszna lub Wartenberga, podzielone na rań letnią i zimową.“ (Opuszczamy dalsze specjalnej treści szczegóły, nie opuścimy jednak wyrazów, które o kilkanaście wierszy niżej stoją). „Główny tu nacisk kładą na dobór tryków i sortowanie jagniąt; staranniej się to odbywa niż na Szlązku, lub u nas w Księstwie Poznańskim.“

Jak naturalnie z pod pióra mu się wysunęło owo: u nas! Gdy po latach piętnastu notatkę przepisywał jeszcze dla niego „u nas“ znaczyło wielkopolskie kraje!

A nam teraz sama notatka, co znaczy? Do pewnego stopnia znaczy: akt uniewinniający księcia Franciszka. Jakimkolwiek mógł być pan plenipotent, to pewna przynajmniej, że pan rządca był wybornym agronomem—już przed rokiem 1830. Z drugiej strony czy ksiązę Eustachy miał słuszność, czy nie miał słuszności w zarzutach plenipotentowi czynionych, to także jest pewnym, że tej sprawy przed sądy cudzoziemskiej opinii nie wywlekał i ziomka swego w pokoju zostawił. Rzecz zdaje się niez dumiewająca; po prostu godziwa tylko. Nie przeczymy, że godziwa tylko, ale niemniej zdumiewająca. Według statystycznych obliczeń naszego doświadczenia, sto razy łatwiej coś bardzo dobrego pomimo wielu trudności dokonać, niż czegoś złego ludziom, gdy siła i okoliczności po temu, nie zrobić.

Ksiązę Eustachy właśnie siłę i okoliczności miał za sobą; cała arystokracja, najznakomitsze potęgi finansowe Wielkiej Brytanii, jak solidarnie się między sobą trzymają, tak solidarnie byłyby księcia Eustachego poparły. Z pierwszą na równi go stawiało prawo urodzenia, z drugimi przez małżeństwo swoje bliższe zawarł stosunki; i tu i tam zrzeczenie się majątku po zmarłej żonie, głęboki szacunek, prawie rzecby można ogólną popularność mu zjednało: słowo, pół słowa księcia Eustachego, a zamknęłyby się przed Strzeleckim złociste podwoje magnatów, nawet gościnne dwory prowincjonalnej „gentry:“ tego półsłowa ksiązę Eustachy nigdy nie wymówił. Nieraz bezwątpienia doszła go wzmianka o dawnym ulubieńcu ojcowskim; coraz podobniejszą ewentualnością stawało się spotkanie go w domu u którego ze wspólnych znajomych—mogło się zdarzyć, iż przy tymże samym stole, z téjże samej butelki portweinu do szklanek naleją im kiedy—nie zdarzyło się ani razu, lecz zdarzyć mogło; rachunek prawdopodobieństwa ciągle groził summą téj nieprzyjemności, a przecież ksiązę milczenia dochował.

Jakim sposobem Strzelecki już w pierwszych latach swego pobytu, znalazł drogę do arystokratycznych kółek najarystokratyczniejszego w Europie społeczeństwa? to chyba jego szczęściu

do ludzi przypisać musimy. Rozstąpiono mu się dlatego właśnie, że był tak zupełnie innym od drugich; potem zatrzymano go dlatego, że był tak zupełnie do drugich podobnym, ale to podobnym z ruchu, z postawy, z wyrazu twarzy, z zasad i sposobu życia, a nawet podobnym do najlepszych—z zasługi. Pierwszy byle jaki domorosły parweniusz, między Wartą a „szumnym“ Dniestrem anglomanią cierpiący, niezawodnie poprzestałby na życzliwej protekcyi jakiej lady, a przyjaźń prawdziwego lorda zenitem szczęściaby mu się wydała. Strzelecki głębiej jeszcze angielszczyzną się przejął; istnie po angielsku rozumiał on to, że najżyyczliwsza protekcyja nie wzniesie tak wysoko i tak bezpiecznie, jak udowodnienie osobistej wartości, a niczyja przyjaźń nie zastąpi prawa. Za przykładem ambitnych czystej krwi Anglików, wziął się do nauki, do pracy, założył sobie cel wzniosły, a dla Anglii użyteczny, wśród trudów, z narażeniem życia go osiągnął, i został takim dżentelmanem, że niktby się w nim cudzoziemca nie domyślił, zatrzymał tylko polskie nazwisko i galicyjski tytuł hrabiego. „Co do tytułu, pisze w ostatnim liście swoim z 23 Sierpnia 1873 roku, tak się rzeczy miały: Podczas méj nieobecności w Europie, starszy mój brat dziś już nieżyjący, odnalazł w papierach naszych rodzinnych, że należymy do galicyjskiego szczepu tamtejszych hrabiów Strzeleckich i że słuszném prawem podobnyż tytuł nam się nosić godzi. Dzienniki z Poznańskiego, w którym zamieszkiwał, i berlińskie także, wzmiankując o postępie mych odkryć i podróży, podniosły to twierdzenie, a gdy angielskie je powtórzyły — ten pierwszy głos z Poznania echem po echu się odbijając, doszedł Anglii, jój osad i mnie samego jako fakt spełniony. Za powrotem moim 1844 roku ogłoszenie czynionych w Australii poszukiwań, zbyt mię zajęło i czasu mi nie starczyło, by koniec położyć tym, które na polu genealogiczném przedsięwzięto. Spostrzegłszy później, że starania mego brata, pierwéj nim formę legalną uzyskaćby mogły, wymagają umyślnych agentów w Poznaniu, we Lwowie, w Wiedniu i w Berlinie, że łożonym kosztem, praktyczna wartość spodziewanych korzyści nigdy nie odpowie, bez wahania opuściłem ten interes, témbardziej, że prawo angielskie i nie zna i nie uznaje obcych tytułów, poddanym swoim nadawanych. To też kiedy w roku 1845 wydałem swoją książkę o Australii, nazwisko tylko moje krótko i bez dodatków na nią położyłem. Z grzeczności jedynie, w roku następnym, lord Colchester, prezes Towarzystwa (geograficznego) przyozdobił je tytułem hrabiego.“

Pan Piotr, pani Izabella, zawsze jednak utrzymywali, że

pierwsze „poszukiwania genealogiczne“ w skutku wyraźnych życzeń Pawła przedsięwzięt.

Jeśli rzeczywiście Paweł zgłaszał się kiedy o coś podobnego, to już chyba po roku 1839 nastąpić musiało. Przez długie lata poprzednie, rodzina nic prawie o nim nie wiedziała. Czasem bardzo groźne, czasem bardzo świetne dolatywały o nim wieści; za czystą prawdą nikt zbyt pilnie nie gonił. To jego zwyczaj, mówiono sobie na uspokojenie sumienia, on tak ciągle raz poraz znikną, i znów się niespodziewanie wynurza. Miano słuszność. Paweł znów się niespodziewanie wynurzył, a do tego, wynurzył ze Stanów Zjednoczonych!—Wracało ztamąd kilku tułaczy naszych, rozpowiadali wesoło o swoich biedach i kłopotach — wszyscy młodzi jeszcze byli — żartowali opowiadając, lecz tam w Ameryce nie o żarty chodziło. Tam okropna tęsknota po starym łądzie trapiła, a powrót bez pieniędzy niemożliwy, a pieniądze niemożliwe bez zarobku, a zarobek trudny bez stosunków i znajomości języka, co gorzej, zarobek zmuśny dla dotkniętych nostalgią. Los szczęśliwy zdarzył, że spotkali jakiegoś Polaka, Strzeleckiego, on ich wziął w opiekę, miał też jakieś z bankierami stosunki, niektórym znalazł umieszczenie; dla wszystkich takim serdecznym, przyjacielskim, uczynnym się okazał! Im samym pomógł wrócić do Europy! „Jakże wygląda ów Strzelecki? z kąd rodem?“ pyta jeden ze słuchaczy. Z kąd rodem? nie wiedzą, nigdy się o tém nie zgadało, o różnych stronach kraju wspominał i każdą znał równie dokładnie. A jak dokładnie! Rzadko się widzi tak ze wszech miar pociągającego człowieka: wzrost, postawa na piedestał, oczy szafirowe wprost do serca schować, prześliczny mężczyzna!—To niezawodnie Pawełek! woła wtedy pytający, rodzony siostrzeniec Kiedrzyńskiego, ten sam właśnie, co lepiej znał od innych historią warszawskiej ucieczki. Istotnie spotkany przez wychodźców sympatyczny przyjaciel, był Pawłem Strzeleckim. Siostrzeniec Kiedrzyńskiego, przy zdarzonej sposobności ustną wiadomość o nim z Francji w Poznańskie wyprawił, Może tam inną drogą inna jaka doszła, a spotkawszy się w przelocie, obie od wzajemnego uderzenia zmętniały; to pewna, iż gdyśmy niezadługo na miejsce spotkania przybyli, już ze wszystkiego razem ułożyła się wyborna keepsakowa powiastka. Co najdziwniejsze to to, iż w głównej jój części u księcia Eustachego trochę się zapożyczono. Według powiastki, Strzelecki pracował w banku jakiegoś Amerykanina, ożenił się z córką jego jedynaczką; dostał milion dolarów posagu; stracił wcześniej żonę, która mu wszystko zapisała, a teraz w nieutulonym żalu pogrążony, nigdzie sobie rady dać nie może i na jakąś Ahasweru-

sową wędrowkę się wybiera. Dziś już wiadomą jest rzeczą, że Strzelecki nigdy nie był żonatym, po żadnej bankierównie nie dziedziczył, a więc swoje miliony winien był—w każdym razie nie żonie; wędrowki też nie rozpoczynał, bo już ją dawno rozpoczął, a szczególnie w żadnym smutku nie był pogrążony, bo właśnie najpiękniejsze chwile jego życia snuły się nitką wybawczą z niejasnej przeszłości, ku blaskom wszelkiego rodzaju trwałym i znikomym, akademickim i dworskim. Strzelecki podróżował. Jak się ludzie rodzą z krwistym lub żółciowym temperamentem, tak niezawodnie Strzelecki z temperamentem podróżniczym się urodził. I nietylko z temperamentem, ale śmiało można powiedzieć z instynktem. Miał on wszystkie zalety dla podróżników niezbędne: miał silne zdrowie, nieustraszoną odwagę, wielką przytomność umysłu w przygodach, zręczność gimnastyczną obok siły muskularnej, hartowność, zdolną w potrzebie ze spartańską obojętnością głód, upał i zimno znosić; a prócz tego miał jeszcze prawdziwy, co się zowie jaskółczy pociąg do wylotu; jak Beduin, jak Kirgiz potrzebował zmiany miejsca, ruchu i przestrzeni. Musiało to być jakieś dziedziczne, rodzinne usposobienie. Kilku osobom z jego bliższego pokrewieństwa było ono także właściwe; nie mogło na tak szeroką skalę działania swego rozwinąć, nie spotkało równie przyjaznych okoliczności, lecz niemniej przeto zaświadczyło się czynami, które bodaj czy nie większych wymagały ofiar. Jego siostra do najpóźniejszego wieku zachowała taką łatwość do przejechania się o mil kilkadziesiąt gotowość, jaką się dziś rzadko u daleko od niej młodszych spotyka. Widzieliśmy ją po raz ostatni w Warszawie, nie mogliśmy się nazadrościć świeżości jój wrażeń i nieustrudzonej energii; wszystkiego była ciekawa: teatru, wystawy, cyrki, wszystko ją zajmowało, i po wszystko chodziła... piechotą — a pewnie już jój wtedy ósmy krzyżyk się kończył. Z pośród jój wnuków, jeden chłopiec ze szkół, listem tylko pożegnawszy rodziców, w świat ruszył i przepadł bez wieści—jedna znów młoda osoba przy szczupłych z własnej pracy funduszach, całą Europę lub przynajmniej Europę od Bałtyku nad Tyrreńskie morze zwiedziła. Jakiś brat jój cioteczny, młodziutki marynarz, rozbił się na okręcie do Strzeleckiego właśnie należącym i utonął. Wszyscy mniej więcej z tego szczepu pochodzący, objawiają pewną skłonność do wychodźstwa, przesiedlania się w da'ekie okolice; nic ich to nie kosztuje urodzić się nad Notecią, a zamieszkać nad Ręnem lub Dźwiną, nad Wieprzem lub Szeszupą. Czyżby w nich dotychczas duch pierwszego pana Piotra, ciągle jakąś Dziewankę naddniestrzańską opuścić pragnął?

Tymczasem, gdy w Poznańskim różne o panu Pawle kleiły się podania, on rzeczywiście takie—mniej romansowe, a pono bardziej dramatyczne przebywał koleje. Po trzech latach stałego w Anglii zamieszkania, zwyczajem Anglików wybrał się na ląd stały i czas jakiś w Neapolu przepędził. Czy później wprost z Neapolu wybrał się w swoją podróż około świata? czy jeszcze wstąpił do Londynu? nie wiemy. Przypiskom tylko gdzie-niegdzie w opisie Nowej Walii porozrzucanym i kilku słowom dedykacyjnej podzięką, winniśmy to, co po chwilę obecną o kierunku jego wędrówek napisać można. Zaczął od Ameryki nadatlantyckiej; wzdłuż z północy ku południowi. Koło 1835 roku po sawannach się błąkał, zasypiał pod cieniem indyjskich wigwamów, a w wielkich miastach ludzi ucywilizowanych, spotykał czasem, jako wiemy swych ziomeków i cieszył się ze spotkania. Dnia 22 Stycznia 1836 roku był w Rio-Janeiro i widział okręt handlarzom niewolników przez angielskiego kapitana odebrany. Buenos-Ayres w Sierpniu tegoż roku nawiedził, i był świadkiem rozstrzelania 110 krajowców z rozkazu dyktatora Rozasa. Jakie wrażenie te dwa obrazy na nim zrobiły, to się z załączonego nieco dalej tłumaczenia przekonać będzie można. D. 23 Kwietnia 1837 roku był w Meksyku; prowincya Sonory z niespodzianki w niespodziankę, z zadziwienia w zadziwienie go wprawiała. Według książek i opowieści sądząc ten zakątek hiszpańskiej Ameryki, wyobrażał go sobie schronieniem dzikich Indian, puszcza i samotnią, aż tu wszędzie spotykał ludzi białych w ucywilizowane społeczeństwa połączonych, gościnnych jak chcą przepisy Koranu, moralnie i umysłowo rozwiniętych jak ci, którym niepodległość na oścież wrota postępu rozwarła i do pracy zachęciła. Hacienda de Los Labores wydała mu się najpiękniejszą ze wszystkich jakie zwiedził w Meksyku. Gdzieindziej, panowie dla zysku tylko zarządzali rolném gospodarstwem swojém; nie mieszkali w niem nawet; od czasu do czasu przybyli jedynie, by zobaczyć co się dzieje, ściągnąć dochody i znów do miasta wracali. Tutejszy gospodarz miał prawdziwe zamiłowanie swego powołania, jak drzewa jego ogrodu nie byłby mógł się oderwać od gruntu, na którym wyrósł, od ziemi, która go żywiła. A śliczny to był i rozległy kawał téj ziemi, cała dolina, wszystkie otaczających ją gór pochyłości, jedno z drugiem ośm mil (franc.) kwadratowych wynosiło. Kiedy wieczorem Don Joaquim de Astiazera gościa swego na pole wyprowadził, obcy wędrowiec nie mógł dość się nalubować rozwiniętym przed jego oczyma widokiem. Po jednej stronie łąny pszenicy równéj jak aksamit strzyżony, po drugiej obszar kukurydzą falujący; wszędzie gromady

wesołych pracowników zbiorem obfitych plonów zajęte—wszędzie wśród gromad kobiety i dzieci pilnie upadłe kłosa zbierające. Cudzoziemiec agronom, natychmiast ten ogtatni szczegół zauważył, bo nigdzie pierwój z nim się nie spotkał w Meksyku: „A więc pan zużytkowałeś ręce kobiet i dzieci, choć to w ogóle za niemożliwe tutaj uważają. Prawdziwie cudu, pan dokazałeś!“ odzywa się do swego przewodnika; lecz przewodnik uśmiechając się trochę dumnie z błędu go wywodzi. „Dla siebie oni pracują, do nich kłosa spadły na mocy odwiecznego zwyczaju należy. Żniwiarze moi wiedzą jak ten zwyczaj szanuje; za każdą sposobnością umyślnie przysparzają żonom swoim i drobnej dziatwie roboty. Czwartą część sprzętu można liczyć na ten niby przypadkowy ubytek, a że drugą czwartą w zapłacie im daję, więc równo po połowie się dzielimy. Bóg dobry, nie zrujnują mię oni przecież, co rok mi ziemia bogatsze żniwa rodzi.“ Nic a nic się nie zgorszył nasz podróżnik takim Boozem nowożytnym. Starannie zapisał sobie ile korcy czego jaka przestrzeń gruntu wydaje: jakich narzędzi używają przy orce, jakich małych sierpów przy żęciu, jak młóca kopytami koni wpędzonych na klepisko, zapisał po czemu zboże sprzedają, ile każdemu słudze od głównego dozorca do najmniej użytecznego wyrostka płacą; wiele niedokładności skrytykował, wszystko chłodnym, praktycznym objął poglądem, a w końcu znowu biblijnie hojnemu gospodarzowi pełen współczucia ustęp poświęcił. Ten doskonały pierwowzór wiejskiego obywatela, z dobrém sercem i hojną dłońią, nęci go ku sobie. Ten monarcha ośmiu mil kwadratowych, tak spokojnie w szczęśliwój jednostajności gładką przedzę dni swoich snuje! tak niedba o chwałę i zaszczyty! tak ciągle jest w zgodzie sam z sobą i z otaczającym go światem! „O wy centraliści i federaliści stołecznego Meksyku, choćbyście w massach powstali, wiedzcie o tém z góry, że jeśliby nawet echo zgiełku waszego odbiło się o ściany tych wiosek zacisznych, nie rozbudziłoby nigdzie ani ciekawości do spraw waszych, ani żalu nad waszemi klęskami, ani nawet uwielbienia dla waszych tryumfów.“

Przytoczyliśmy w skróceniu ten wyjątek z dość długiej notatki, posługując się o ile to być mogło, własnymi Strzeleckiego wyrażeniami. Przy braku ważniejszych materyałów, znajdzie się i tutaj dosyć treści na niejedno przypuszczenie, i na bardzo wiele psychologicznych wniosków. Oryginalném jest np. owo bezłączone zestawienie faktów i liryki, tęsknego rozrzewnienia z trzeźwością statystycznych spostrzeżeń; jak gdyby kto różnogatunkowe ilości do dodawania przedstawił: 3 worki z mąką, 8 jaskótek, 12 foteli,

I stara lipa i t. p. Zakończenie szczególniej uwagi godne. Ten olimpijskiej obojętności majestat wobec li tylko politycznych zawichrzeń Rzeczypospolitej Meksykańskiej, jest sam przez się historycznym z dziejów piszącego dokumentem. Anglik pewnie miałby jakiś powód na stronę centralistów lub federalistów sądlaskawszy przechylić; Strzeleckiemu „powodu“ brakowało. Biedny! chyba on westchnąć musiał, gdy kreślił te słowa o ziemianinie Sonory, co tak ciągle „był w zgodzie z sobą samym i z otaczającym go światem.“ Piszący nie zaznał równie błógiego stanu; zawsze coś w nim było w niezgodzie albo z nim samym, albo z otaczającym go światem. Może dopiero wtenczas, kiedy ze szczytu gór Błękitnych mógł na wszystkie swoje błękitne diabelki rybunalskim krzyknąć głosem: „Uciszcie się wacpanowie!“ Eureka, eureka! diabelki rzeczywiście się uciszyły, a pitagorejska harmonia sfer ziemskich i niebieskich opłynęła go... przynajmniej na cały czas jego pobytu w Nowej Hollandyi, z dodatkiem czasu, w którym dzieło swoje o niej pisał i drukował.

Między Meksykiem a Sydneyem Strzelecki dwa lata był w drodze. Innych dat chronologicznych, ani też innych szczegółów o tém dwuleciu nie mamy; jedyném objaśnieniem, po dedykacji do sir Johna Franklina, osobna kartka wynurzająca głębokie uznanie dla tych wszystkich oficerów królewskiej marynarki, którzy mu w różnych stronach kuli ziemskiej z pomocą i ułatwieniem wszelkiem spieszyć byli gotowi. Parę imion wspomina, wylicza niektóre miejsca i nam ztąd łatwiej miarkować gdzie to nasz podróżnik bywał. „Szczególniej musiał on wyrazić kapitanowi Jerzemu Gray’owi wdzięczne uczucie swoje za niestrudzoną i gorącą (warm) dobroć, jakiej od niego blisko przez dziesięć miesięcy doznawał na pokładzie „Kleopatry,“ okrętu Jego Królewskiej Mości, podczas gdy statek ów zwiedzał wybrzeża Ameryki Południowej od strony Oceanu Spokojnego, międzyChili a Kalifornią. Następnie kapitanowi Russellowi Elliot’owi, dowódcy statku JKMości „Fly“ (mucha) za to, że mu dozwolił korzystać ze sposobności zwiedzenia Marquizów, Sandwich i Wysp Przyjacielskich.“ W dalszym ciągu dzieła rzuca kilka słów o bytności swojej na Jawie i innych znaczniejszych wyspach archipelagu malajskiego. Wszystko to było przedwstępniem niby ćwiczeniem do najważniejszego czynu jego życia. O mało co nie napisaliśmy: do najważniejszego zadania jego życia. Któż jednak ręczyć może, czy to było istotnie z góry obmyśloném zadaniem, czy tylko nieprzewidzianą, choć konsekwentną wynikłością stosownych okoliczności? Wiemy, że Living-

stone umyślnie się wybrał na poszukiwanie źródeł Nilu, lecz czego poszukiwał Strzelecki? Mniejsza o to. Znalazł kopalnie złota, odkrył i zbadał ziemię Gipp'sland'u.

W Kwietniu 1839 r. przybija on nakoniec do brzegów Nowej Hollandyi, pierwszą noc spędza pod dachem w Sydneyu, i pierwsze wrażenie swoje zapisuje... humorystycznie: „Od chwili mego przybycia, ciągle sam siebie zapytuję: czy ja na prawdę jestem w stolicy owiej „*Botany Bay*,“ którą przedstawiają: jako *reszę lotrów jako najniemoralniejszą ze wszystkich osad, które są i były w dziejach ludzkości znane, jako posiadłość, co raczej brudem płami, a nie blaskiem podwyższa świetność korony Wielkiej Brytanii.*“

„Niech autorowie tych wszystkich określników przepętniających liczne ich dzieła o Nowo-Południowej Walii, winszują sobie serdecznie: dałem się im zmistyfikować. Wieczorem wylądowując w Sydneyu, zachowałam największe jakie mi na myśl przyjść mogły ostrożności. Woreczek i zegarek zostawiłem na okręcie, wziąłem tylko kij w rękę i szedłem naprzód gotów walczyć z koniecznym, nieuniknionym niebezpieczeństwem!..

„Tejże samej nocy jednak zaraz przekonać się mogłem, że na ulicach Sydneyu większa spokojność i przyzwoitość panuje, niż w jakimkolwiek innem mieście portowem trzech zjednoczonych królestw. Ani pijaństwa, ani bójek skłóconych majtków, ani żadnego śladu rozpusty nigdzie widać nie było.“ Zdumiewają go wspaniałe gmachy, pysznie urządzone sklepy, zdumiewa ład, czynność, rzeźkość i energia mieszkańców osadników. Może sobie przypominał owych chorobliwie do Europy stęsknionych, duchem i ciałem upadających rozbitków losu, których przed kilku laty w Stanach Zjednoczonych spotkał, bo w dalszym ciągu dziwne porównanie mu się nasuwa:

„Osobliwsza to rasa! (mówi o Anglikach). Jeden, jedyny lud, który—że się fachowym uczonych wyrażę językiem—zdaje się podlegać stałym, od zmian klimatu zupełnie niezależnym prawom atomicznym. Skupia się przyciągającą siłą swych molekuł zawsze w tym samym porządku; choć rozproszony, układa się w te same kształty społeczne, na każdym miejscu zachowuje skłonności, uzdolnienie, dążność swego pierwowzoru.

„Inne rasy (tu przypuszczamy, że obraz zniedołężniałych wielkim smutkiem na myśli mu stanął), inne rasy, prawdziwe dzieci gruntu, na którym wyrosły, jednoczą się z nim zupełnie, z niego czerpią utrzymanie, potęgę, narodowość swoją, jego tylko ojczyzną zowią, jak ojczyznę kochają i cenią nadewszystko, przy jego łonie tulić się gotowi kosztem swobody, własności, dobrobytu

i życia nawet. Wypnani z niego, są to już tylko błędni wędrowcy po szerokim świecie; prędko bardzo się wyradzają, jak owa róża alpejska, co choćby w łagodniejsze przeniesiona strefy, wszystkie pączki wnet traci i kolce tylko wydaje. Tęga natura anglo-saxońskiej rasy, żadnego przesiedlenia skutków się nie lęka; jęj narodowość, jęj charakter nie od gruntu zawisły; gdzie Anglo-saxon flagę ojczystą rozwinie, tam i cjczyznę swoję odtwarza.“

Na trzy lata może przed chwilą, w której Paweł Strzelecki zapisywał sobie to spostrzeżenie, po morzu Jońskim płynął Juliusz Słowacki wraz z młodym Grekiem Zantejczykiem. Grek na naukach w Genewie dwanaście lat spędził i wracał do domu, do rodziny, a był taki spokojny, jakim poeta nigdy być nie miał za życia. I uderzyła ta różnica Juliusza, i jemu przysła myśl porównawcza, tylko przysła inaczej i inaczej ją wypowiedział:

„Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną... co nieraz nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanej marli!“

Jak widzimy, poeta i uczoney spotkali się w tém samym wrażeniu. Poeta maluje, uczoney nazywa; ale wspólną treścią prawda być musi i prawda jest. Są jedne rasy do nostalgii skłonnniejsze, są mniej skłonne drugie—są z wręcz mniejszym instynktem koczoowniczym. Trzeba przyznać, że Strzelecki miał talent do bystrych spostrzeżeń; ani przewidywał jak własnym przykładem stwierdzi je kiedyś. Żył właśnie pełnią władz swoich, apoteozą téj najlepszości swojęj, do której każdy choć raz jeden w jednej chwili dobrego usposobienia się wznosi. Strzeleckiemu nawet dobre usposobienie na długo, bo na kilka lat przynajmniej sądzoném było. Częściej niż kiedykolwiek w tym czasie zwraca się jakąś uwagą lub przystosowaniem, to do stron rodzinnych, to do swego położenia; jeszcze się czuje trochę obcym między obcymi.

Raz naprzykład (26 Grudnia 1839 r.) zwiedzał Camden, rozległą i wzorowo urządzoną posiadłość pana Mac-Arthura. Znalazł tam wszystko, co zwykle tylko w miastach do przyjemności i rozrywki znaleźć można. Dobrane towarzystwo, książki, dom wygodnie urządzoney, śliczny ogród, pyszne owoce, a zwłaszcza uprzejmego i wykształconego gospodarza. „Pomimo nagromadzenia tylu rzadkich bardzo w świeżo zamieszkanym kraju warunków,

spotkało mię tu jednak zdarzenie, które zamąciło trochę swobodę ich użycia i smutny wpływ jakiś na mój umysł wywarło.

„Wyszedłem z moim gospodarzem oglądać folwark, pola i winnice. Przy winnicy stało szeregiem sześć schludnych, czyściutkich domków; każdy domek z warzywnym ogródkiem dokoła i w każdym jedna rodzina niemieckich uprawiaczy winogrodu. Przed dwoma laty wyemigrowali oni do Nowej Południowej Walii czy to koniecznością przyciśnięcia czy złudzeni nadzieją, że po za morzami i oceanami znajdą bogactwo, szczęście, spokój — a może wolność i sprawiedliwość. Kilka słów powitania, które w niemieckim języku do bliżej stojącej gromadki wymówiłem, jak uderzenie dzwonu całą kolonią natychmiast w ruch wprawilo. Ojcowie, matki, dzieci, wszystko to ze wszystkich stron biegło, aby widzieć, pozdrowić, usłyszeć tego pana, co z Niemiec przybywał. Wzięli mię za swego współrodaka i najszcześniejsi byli, że mogą wypytywać się o Niemcy, o Ren, o swoje miasto ojczyste. Nie wywodziłem ich z błędu. Szczere, pełne serdeczności uściski tych rąk wyciągających się ku mnie dlatego, że mię Niemcem być mniemano, głęboką przejmowały mię rozkoszą, i nie miałem odwagi rozwiązać błogiego złudzenia. Rzeczywiście też czułem się ich przyjacielem; radowała mię ich radość, gdy mię ziomkiem swoim zwali, gdy częstować zaczęli plackiem świątecznym z Bożego Narodzenia, gdy wskazując mię dzieciom swoim mówili: „Patrzcie, ten pan z Niemiec przyjechał, ten pan jest Niemiec tak jak i my!“ a dzieci się kłaniały, dygały, całowały po rękach... i uśmiech był na wszystkich twarzach, a przecież w rozpodgonionem każdego obliczu ostrzegałem jakiegoś nieokreślonego wyrazu, czegoś co bliżej ze smutkiem niż z wesołością graniczyło. Wsparłem się na werendzie, oni gromadnym kołem mię otoczyli i z najgłębszą uwagą słuchali tego, com na ich pytania odpowiadał. Zdawało się, że kobiety zapomniały o niemowlątkach, które przy piersi machinalnie tylko podtrzymywały; mężczyznom fajki pogasły, wszystkie oczy do moich oczu przyłgnęły, jak gdyby zatrzymać mnie chciały, żebym nagle nie zniknął przed nimi, jak gdyby ze wzroku mojego tajemnicę swoich przeznaczeń odgadnąć próbowały. Gdyśmy już o wielu rzeczach się nagawędzili, — „Ależ pan tu z nami zostanie! zawołali jednogłośnie pod wpływem jednoczesnego wrażenia. „O zostań pan! zostań! *nie będziemy już wtedy tacy osamotnieni!*“

„Nigdy nie zapomnę wyrazu, jaki się odbił na ich twarzach, gdy przeczącą usłyszeli odpowiedź. Spojrzeli jedni po drugich, a to spojrzenie dość wyraźnie mówiło: „Powinniśmy to rozumieć,

on musi mieć swoje powody, wie po co wraca do Niemiec; *my* niestety! wiemy tylko, dlaczegośmy z Niemiec oddalić się musieli.“

„A jednak ze względu materyalnego się zapatrując, są teraz w daleko szczęśliwszem położeniu. Mają obfitość, zdrowie, pewność jutra, swobodę, sprawiedliwość — mają zapewnione wszelkie korzyści, które w kraju rodzinnym z imienia ledwie znali.“

„Jest to wrodzone uczucie żalu, jakiego każdy wychodzca doznaje spoglądając za siebie ku ojczystej stronie; do tego żalu łączy się jeszcze uczucie osamotnienia, to właśnie, które tak ciężko serca i tych biednych winiarzy uciska. Kiedy się ludzie przesiedlą gdzie w liczbie dostatecznej na utworzenie odrębnego społeczeństwa, lub odrębnej gminy przynajmniej, łączą to i o bardzo wiele zmniejsza złe skutki emigracyi; lecz zawsze opuszczając kraj własny dla innego, w którym otaczający nas ludzie żadnej łączności z nami nie mają, prócz tej najogólniejszej, wspólnego człowieczeństwa, opuszczając kraj ów musimy wyrzec się naszej narodowości i plemienności naszej — dwóch rzeczy, których nie dano jest nikomu dowolnie według potrzeby lub chwilowej fantazyi się zrzekać. Język, wytwór narodowości, — charakter, wytwór plemiennego pochodzenia naszego, nigdy nam się z innymi w doskonale połączenie chemiczne zamalgamować nie dopuszczają i w ciągłym odosobnieniu trzymać nas będą. Charakter niby nagniemy i upodobniony do charakteru ziemi, która nie jest *naszą* ziemią; język doskonale niby przyswoimy sobie i biegle niby wyrażać się będziemy mową, która nie jest mową naszą macierzyńską — mimo to najdrobniejsza okoliczność wnet nam przypomni, że obcymi jesteśmy, żeśmy od rodzinnego gruntu oderwani.

„Już nieźle po angielsku gadać zaczynamy, mówili Niemcy, zawsze przecież trudno nam tak się wytłómaczyć jakbyśmy chcieli; nikt tutaj niemczyzny nie rozumie. Ach! gdyby pan Mac-Arthur, który jest taki dobry! gdyby pan Mac-Arthur, który jest taki szlachetny! mógł rozumieć, przynajmniej wiedziałby wtedy jak mu wdzięczni jesteśmy.“

„Ileż to, ile razy — cel dobroci dla drugich na obcej ziemi — ja sam byłem w ich położeniu i takichże jak oni doznawałem uczuć! Ileż to, ile trudności zważyłem, niżem sobie pozdobywał języki żadnego z moim ojczystym niemające powinowactwa! Mimo to przecież, niech tylko serce zadrgnie, niech się dusza wzruszy, jakże mi trudno wydobyć z nich najprostsze wyrażenie, tego co mię wzruszyło! W chwilach to podobnych, budzi się przypomnienie ojczyzny i poczucie narodowości ożywia.“

(M. S. Dziennik Autora).

Wszak prawda, że przeczytawszy ten ustęp, chciałoby się zaraz do oddalonego napisać, posłać mu choć kawałek opłatka za ten placek świąteczny, którym z biednymi kolonistami się łamał? Ale trzeba to było natychmiast zrobić, na lata nie odkładać, bo później — ha! później, serce podróżnika regularniej biło, dusza się nie wzruszała, a szczególnie *wrażliwość* się przytępiła.

Wtenczas koło 1840 roku jeszcze do tego nie przyszło. Owszem zdaje się, że niektóre niteczki wiążące go z krajem rodzinnym silniej mu się niż kiedykolwiek koło serca owinęły. Dla nas przy najmniej widocznym jest pewne stopniowanie w owę tęsknocie do swoich. W Meksyku ledwie budzić się zaczyna, urągając filozoficzną przymówką kiełkuje dopiero, w Sydneyu już naukową definicyą się objaśnia, w Camden dochodzi najwyższego kresu termometrowej podziaki: smuci się i współczuje. Przez pierwsze lata swego oddalenia, pamiętał zapewne Strzelecki o przykrościach doznanych, o słusznych zarzutach i niesłusznych potwarzach; wiedział, że po za sobą zostawia tylko pełno niechętnych, dobrą sławę podzarpaną, zobojeźniałą rodzinę, niepewną przyszłość — czegoż miał żałować? Tu zewsząd go życzliwość otacza, świat się przed nim rozszerza, dla zdolności jego nowe drogi się otwierają, czuje się zacniejszym, bo czuje cenionym za to, co w nim jest prawdą nie blichтром, rozumem nie głupotą: nic dziwnego więc, że rozbił namiot swój i chciał tam zostać. Lecz obecnie zstępują nań myśli jakieś inne, wracają obrazy dalekiej przeszłości glorią fata-morgany promieniejące, wydobywają się z dna serca pamiętki i pragnienia—kształtują w niewyraźne jakieś nadzieje i zamiary—gdyby jedno słowo właściwe, we właściwej chwili powiedziane, los człowieka na innąby stronę się przechylił. Tylko że usłyszy on może jedno słowo, lecz niewłaściwe i w najniewłaściwszej chwili.

Nakoniec dostał się Strzelecki w góry Błękitne. Poobjeżdżał znaczniejsze fermy, przypatrzył się ziemi młodej, dziwacznej jak rozkapryszona dziewczyna, a już przemysłem John Bulla zhołdowanej jak niewolnica czerkieska; teraz, stanął na ziemi zupełnie ludziom białym nieznaną, ludziom czarnym niewszędzie dostępną, ptakom tylko i opossom wdzięczącą się mile. Rzeki tu bez ujść i źródeł, wąwozy bez ścieżek, pasma gór bez oznaczonego kierunku, wszystko razem bez nazwy. Strzelecki prawem biblijnego Adama rzekom, górcom, wąwozom kazał się odtąd nazywać, i wszystkie ich, z woli swojej nadane im imiona, wypisał na karcie którą sam układał, rysował, a później w Londynie pod swoim dozorem odbić kazał. Rozłożyliśmy przed sobą tę kartę,— długo, długo bardzo z imion wyczytywaliśmy dzieje, stosunki, myśli

i wpływy działające na autora. Jest tam przedewszystkiém, najbliżej—ma się rozumieć, że tylko względnie najbliżej—trochę ku północy, *M-t Adine*, a bardzo daleko ku południowi *M-t Kościuszko*. Kto wie, czy od północy ku południowi nie snuła się pającza tkan-ka pod myśl tego przyrównania, któreśmy poprzednio sami już zrobili! Bezwątpienia na tych szczytach, Strzelecki przyszedł do samopoznania własnej wartości. Jeśli dawniej przeceniał się czę-sto, a nie doceniał czasem, jeśli nie mógł sam w sobie zrozumieć własnych upadków ani własnej siły wywyższenia; to w owych chwilach rozumiał się, przebaczył sobie i zaufał, w owych miej-scach miał prawo marzyć o jakiejś tryumfálnej rehabilitacji, o poklaskach, odezwach, zaprosinach przejętych uwielbieniem ziomek; niósł im w dani ustaloną sławę odkrywcy, eksploratora, geografą, geologa, antropologa. Wracający z dalekiej drogi, nie może prze-cież świetniejszego przywieźć rodzonej matce gościńca. Dzisiaj pewnie choćby wynagrodzić nie zdołano, toby się przynajmniej całém sercem potrafiło z tój kosztowności ucieszyć: lecz wtedy trafił na bardzo niekorzystną chwilę. Wspominaliśmy o nadsyła-nych przez niego do dziennika poznańskiego artykułach. Wyobra-żamy sobie z kilku przypisków, że musiały być warte czytania (1); lecz wtedy—wtedy Poznańskie zajmowało się Heglem, Wersalem, panną Molińską (2), i świeżo założonemi czasopismami. Starczyło wiórków na podpałkę ploteczek kumoszkom, starczyło treści ży-wotnej na zaprzątnienie uwagi i pochłonięcie czasu ludziom zacnym, rozumnym i pracowitym: Strzeleckiego opisy niewielkie zrobiły wrażenie. Owszem, przywiodły na pamięć dawniejsze jego spr-awki; znajomi, dalecy kuzynkowie i dalekie kuzynki, bliżsi pokre-wni nawet, gdy jego nazwisko usłyszeli, wnet wyciągali z mętnych wspomnień niedokładne historyjki o jego osobistości, bo przecież nierównie ciekawszém było dla nich to, co niegdyś zrobił, niż to czego wówczas dokonywał. Słyszano z boku, że podobno kopalnie złota odkrył: ale ktoby temu wierzył, kiedy on przecież pisuje nie kopie!

W publiczności, która pierwszy raz i bez uprzedzenia spoty-kała się z nazwiskiem Strzeleckiego, nazwisko to geograficzne tylko

(1) Sami tych artykułów nie czytaliśmy z powodu nieobecności naszej; gdyśmy we dwa lata później odczytać chcieli, już niepodobna było starych numerów odszukać, a co prawda, nie wzięliśmy się do tego ze zbyt wielką gorliwością.

(2) Julia Molińska, późniejsza Wojkowska, jedyna z wykształconych kobiet na-szych, co próbowała nietylko umysłową, ale obyczajową i kostiumową zaprowadzić u nas emancypacyą—ale też jedyna co umiała dla ludu o ludowych pisać sprawach.

mogło budzić zajęcie; geografów zaś—choćby zresztą lichych amatorów geografii—jeszcze mniej było wtenczas, niż pod datą 1876 r. Bo to jedno prosimy państwa, co mogło kogo obchodzić, że na zachód gór Błękitnych w Nowej Hollandyi, rozciągają się płaszczyny zdolne do uprawy gruntu: a no, przecież w Europie i koło nas i wszędzie płaszczyn pełno, nie dziwota, nie osobliwość! nic nam z tych tam nie przyjdzie, nic do tych tam nie odejdzie. Żaden wróżbita nie przepowiedział, że przyjdzie kiedyś ogromnie dużo wełny, która na jarmarki świętojańskie, na zapłacenie dzierżawy, na podwyższenie procentów od pożyczanych pieniędzy, despotyczny wpływ wyrze niezadługo. Mogła wprowadzić ta pocziwa publiczność do osobistości wędrowca żywsze w sobie rozbudzić współczucie. Gdyby jój kto był przedstawił człowieka, co po trzydziestu latach, bogactwa się dobiwszy, zamiast, jak toby mnóstwo innych na jego miejscu zrobiło, hulać, zbyt kować, paradować—nie paradował właśnie, nie zbyt kował, nie hulał, ale zaczął się uczyć jak student, aż się nauczył tyle, ile mistrz umieć powinien, zaczął zwiędzać najlepiej urządzone gospodarstwa, aż mógł w końcu o gospodarskim losie całych krajów stanować: przypuszczamy, iż byłoby to wielkiem uszanowaniem słuchaczy przejęło. Niechby jeszcze dodano niektóre objaśnienia wykazujące śmiałość, dzielność zimną krew z niebezpieczeństwem walczącego zucha, toby i serca po bratersku zadrgnęły i uśmiech twarzyby różpogodził: „A widzieć Niemcy, jakich my to miewamy uczonych!“—Lecz na nieszczęście nikt o tych szczegółach nie mówił, bo nikt o nich nie wiedział Strzelecki dla pewnych koteryi był podejrzanym; dla ogółu był niedojrzanym wcale. Z całą rodziną, ze wszystkimi znajomymi Paweł zupełnie zerwał stosunki. Małeńki pod tym względem wyjątek brat jego Piotr stanowił. Co dwa, czasem co trzy lata, ku wielkiemu zdumieniu urzędników zjawiała się na poczcie spokojnego, cichego Trzemeszna, koperta z mnogimi stemplami miast o jakich tam pierwój nic lub bardzo mało słyszano, i z nadpisem „Monsieur Pierre Strzelecki à Brzozowiec“. W kopercie był list oryginalnie zawsze treściwy i lakoniczny. Listów takich przez lat blisko czterdzieści zbierało się podobno dwadzieścia. Mamy jednego z nich odpis pod ręką:

„Kochany Piotrze, jestem w Nowej Hollandyi, jutro wyjeżdżam do Chin, za dwa lub cztery lata będę u was.

„Tout à vous, Paul“.

Niezawodnie w chwili, gdy pisał: „u was“ znaczyło Poznań, Głuszynę, Brzozowiec; późniejsze, do dziś dnia nie wyświetlone okoliczności na zmianę tego planu wpłynęły. Czy był w Chinach,

nie wiemy; żadnej wzmianki do Chin się odnoszącej w dziele jego nie ma; to pewna jednak, że Paul już nigdy *u nas* nie był. Zupełny brak faktów tłómaczących takie postępowanie, można jednak do pewnego stopnia zastąpić wnioskami z bliższej znajomości charakteru wysnutemi. Na mocy tych wniosków przypuszczamy, że głównym powodem nagłej niechęci i wielu do końca życia trwających dziwactw Strzeleckiego, był: „chybiony efekt“ powrotu przypadłego w najnieodpowiedniejszej chwili.

Wszyscy czytelnicy nasi nieraz już pewnie mieli sposobność na przyjaciół swoich i nieprzyjaciółach przestudyować różne miłości własnej odcienie; z żywych przykładów znają każdy jój synonim, i my też nie potrzebujemy żadnego już objaśniać, gdy mówić będziemy o niektórych w usposobieniu Pawła szczególniej przeważających. Zrozumiemy się bez definicyi. Paweł Strzelecki łączył w sobie krańcowe punkta téj skali blizkoznaczników: dumę posuniętą aż do ambicyi i poczucie swój wartości zestępujące aż do... nie napiszemy: „próżności,“ bo ktoś z subtelniejszym talentem różnicowania, miałby prawo nam zarzucić, że próżność próżni się tylko czepia, a więc ludzie z talentem, z materyałem umysłowym, nie mogą być tak próżni jak pusto-głowy np. i sztucznie powietrzem nadęte baloniki: dlatego też choć wyraz uarty, poszukamy innego i napiszemy: poczucie własnej wartości zestępujące aż do chwalby. Gdyśmy przy początku zaraz wspomnieli, że Strzelecki był wyborym etnograficznym okazem, prócz zalet czysto narodowych i plemiennie-słowiańskich, mieliśmy jeszcze na myśli ową mieszaninę wiernie przedstawiającą zalety i wady dwóch typów prowincjonalnych po ojcu i po matce: mieszaninę Galicyanina z Wielkopolaninem. Zdradliwa to rzecz i najtrudniejsza do ściśłego wywiedzenia, te ogólnikowe przymówki, które okolica okolicy, kraj krajowi odrzuca, któremi przekomarzają się tak często szczerym afektem i najlepszą zażyłością połączeni przyjaciele, któremi wymyślają sobie zwaśnieni przy kieliszku sąsiedzi, lub które w prywatnym zatargu, jak broń rdzawą, wywłóczą przeciwnicy. Jednak, to nie bez pewnej zasady historycznej potworzyły się takie wyrażenia, jak: ślepy Mazur, chytry Litwin, zakuty Żmudzin i t. p. Nie bez pewnej zasady historycznej dzisiaj Galicyi dumę i pańskość, Księztwu Poznańskiemu gaskońską chwałbę i zarozumiałość przypisują. Istotnie Galicya jest ziemią, która najwięcej nam zrodziła naszych dumnych, ambitnych, wielkich ludzi, co wielkimi panami zostali; nie magnatów z genealogii, nie oligarchów z kolebki, ale takich właśnie, którzy to chcą być, i umieją stworzyć się możnowładcami, którzy ojców swoich gości na jakim parafialnym cmen-

tarzu pochowali, ale sami mieć będą pyszną marmurowe w katedrach nadgrobniki, przez synów hetmanów lub kanclerzy wzniesione. Tacy Zamojscy, Żółkiewscy, Sobiescy, wszystko to z ziem ruskich galicyjskich wyszło. Tkwi tam w gruncie jakaś niewyczerpana żywność na wysoko rosnące umysły i wysoko sięgające dłonie. Każdy też gruntowy krajowiec na świat z sobą przynosi właściwe ku temu uzdolnienie, lub przynajmniej właściwe skłonności. Wśród najniekorzystniejszych warunków, przy zaniedbanem od stu lat wychowaniu publicznem, nigdzie może nie rozwija się tak wiele w różnych kierunkach talentów—a talenta owe jeszcze wśród innych odznaczają się jakąś właściwą sobie werwą, rzeźkością, jakimś zapachem świerku i macierzanki. Co jest wszelako bogactwem dla talentów i znakomitości, co jest koniecznym dopełnieniem dla wysoko rosnących umysłów: wysoko sięgające dłonie—to zużożenie i śmiech ludzki małuczkim sprowadza. Piękną bywa ambicya, do pięknych rzeczy przywiązana; komiczną przy drobiazgach wydaje się zawsze. Na nieszczęście w Galicyi wszyscy są ambitynymi. Historia, literatura, sztuki wyzwolone, z tego prowincjonalnego usposobienia prędzej czy później zbierają śmietanę na wyborne masło, ale tłum dni powszednich rozlewa się przed oczyma w stawy, jeziora lub sadzawki prostej serwatki jedynie. Z czem Sobieski wyrośnie na króla, Szajnocha na otoczonego czią powszechną dziejopisarza, a panowie X. Y. Z. na niepospolitych prawników, nauczycieli, mówców i t. p.,—z tém panowie A. B. C. wyrosną na baronów wiedeńskiego autoramentu, na sportsmenów, giełdowiczów, i w przysłowie już przeszłych galicyjskich hrabiów, słowem wszystkich kandydatów na wielko-pańskość, z wielką dumą bez wielkiej ambicyi. Strzelecki długo bardzo, przez całą pierwszą młodość swoją, miał dumę i dumne zachcianki, brakowało mu tylko bodźca, wskazówki i wyraźnie określonego celu dla tych zachcianek, lecz gdy w odpowiedniejszych stanął warunkach, znalazło się to wszystko, i on co tylko dumnym mąciwodą kraj opuścił—w kilka lat później ambitnym już mężem z Europy wyjechał.

Poznańską teraz rasowość na uwagę biorąc, rzeczy tak się mają. W Poznańskim nigdy się możnowładztwo nie mogło zakorzenić, jak w Małopolsce naprzykład, ale tém silniej właśnie rozwinęła się oddziaływająca przeciw niemu szlachetczyzna „obronna,” jest to przecież powszechnie już znany i wiadomy komunał historyczny. Istotnie, trzeba było Wielkopolanom bardzo się trzymać, żeby im w kaszę nie dmuchano,—„chociaż ty Krakowianka, a ja Wielkopolan, nie będę ja czapki schylał do twoich kolan.”—Raz

po raz musieli przypominać Krakowowi, że Kruszwica kolebką państwa była, a Poznań kolebką chrześcijańskiej wiary narodowej, a Gniezno stolicą narodowego katolicyzmu. Zład szermiersko-rzecznicze przywyknienia, a w kolei wieków i zdarzeń, wzmocnione jeszcze naciskiem obcej plemienności, co gorzej, naciskiem bezwójnym. Gdzie sąsiedzi porąbiają się i pokiereszują od czasu do czasu, serdeczna estyma możliwsza. Niestety mieć chciało, że od Byczyny Maxymilianowej, aż po Szczekociny Kościuszkowskie, ni razu prawie nie szczęknęła polska szabla o niemiecki pałasz. Niby to się trochę czubiono z Sasami za Augusta, lecz czubiono po domowemu, jako dzieci tegoż samego ojca choć z innej matki. Ojciec prawdę mówiąc—no, nie mamy czasu prawdy mówić, każdy musi tam z własnej uprzejmości domyślić się jej—powtarzamy tylko, że takić, co się zowie, uczciwój wojny z Niemcami nie było, a jednak i Prussy i Wielkopolskę ogromnym od zachodu ku wschodowi nagiętym łukiem zalewać oni i zasypywać poczęli. Przemysłny to był żywioł, pracowity, wytrwały; trzeba mu oddać sprawiedliwość kiedyć swego dokazał, ale w żaden sposób przyznać nie można, żeby artystycznie był piękny, eposowo rycerski. Pod wodzą frankońskich Konradów lub Barbarosów okropnieć bezwątpienia, lecz inaczej to wyglądało. W obec siły, co biegunowo jest przeciwległa zauważanej przez Strzeleckiego siłę Anglo-Saxonów, i nie składać, lecz przedewszystkićm rozkładać według atomicznych praw musi,—wyrobiło się w jej ofiarach żywsze odczucie własnej godności, rozbudziła potrzeba i konieczność ciągłego praw własnych zaświadczenia. W warstwach dziejowych, to odczucie i ta konieczność przeobraziły się na butność szlachezną i na czujną a drażliwą dobrój czci swojej pieczę; w warstwach podkładowych rozpleniły się chwałbą i tak dziś zwaną blagerją. Niezawodnie Poznańczanie to (rodzeni i przyrodni bracia Dąbrowskiego) byli ci, o których Ségur pisał: „Ils se disent plus qu'ils ne sont, mais pas plus qu'ils ne peuvent être... ils mettent leur honneur à rendre vrai ce qui d'abord n'avait été ni vrai, ni même vraisemblable.“ Otoż przy najprzyjaźniejszych okolicznościach, ledwo garstka drobnitka ma sposobność, a sta tysięcy nie mają sposobności „w prawdę zamienić tego co nie było ani prawdziwem ani prawdopodobnem,“ i dlatego też o miedzę sąsiedzi druhowie, wesolo żartują sobie ze wszystkich razem, z ich wielosłownych przechwałek, z ich naiwnego lekceważenia postronnój zasługi, z ich ciągle wartującej na straży przeciw domniemanym uchybieniem obraźliwości. Strzelecki od alfy do omegi był ze krwi i z ducha Poznańczaninem w tym względzie. Urodził się na stanowisku

„obronném“—wprawdzie nie mogło mu ono wystarczyć, choćby go nikt w dół nie spychał, on jeszcze pędziłby w górę z galicyjską bujnością swoją—lecz niestety! jak prawdziwy z Czerwonój Rusi Galicyjanin nie poprzestałby na wyniesieniu, na władzy, na poczuciu swój wartości i potędze, tylko szczerze po Wielkopolsku tęskniłby jeszcze do przyświadczenia drugich, i od czasu do czasu potrzebowałby wykrzyknąć: „Patrzcie! gdzie to ja zaszedłem!“

Nie wiemy czyśmy dosyć jasno objaśnili nasze psychologiczne prowincjonalizmy Strzeleckim, a Strzeleckiego naszymi psychologicznymi prowincjonalizmami; to pewna jednak, że za ich pomocą łatwiej można sobie zdać sprawę z dalszego toku jego biografii. W Camdenie z wrażeniem rozrzewnienia, łączy się jakieś wspomnienie krzywd doznanych; widocznie ciężki to kamień na jego sercu, bo między korzyściami, nie wymieniłby dwukrotnie *sprawiedliwości*; alboż to nadreńskim kolonistom innéj oprócz losowej chyba, *sprawiedliwości* brakowało? toć właśnie słynęły wówczas te strony Niemiec najwyższém poszanowaniem prawa. Musiał on myśleć tedy o innych stosunkach; może „o oddaniu swojém do wojska“—może o niektórych okolicznościach zająć swoich z księciem Eustachym, o plotkach ludzkich—w każdym razie jest głośny podźwięk egotyzmu w tém przypuszczeniu, że uprawiacze winnic nietylko dobrobytu, lecz i *sprawiedliwości* aż w antypodach szukali! Na szczytach gór Błękitnych odżyło w jego sercu? w jego wyobraźni? wspomnienie panny Adyny. Nikt przecież z czytających nie jest tak romansowy, by mógł uwierzyć, że przez lat dwadzieścia kilka rozstania, od szalów młodocianych po wiek męzkich prac i męzkich celów, nasz piękny ziomek przeciągnął łańcuch wierności stałej i niezmiennéj; właśnie dlatego, iż tak nie było, imię Adyny wypisane na jego karcie geograficznój, świadczy nam o jakimś wewnętrzném zmartwych-powstaniu, o wskrzeszeniu różnych dawnych myśli i wspomnień, o tém pierwszém, jedyném może wyciągnięciu rąk ku ziemi ojczystéj, któreśmy i w notatkach jego zauważyli. Na wierzchołkach alpejskich południa, staje przed oczyma duszy jego postać Kościuszki, postać prześladowanego, co do ojczyzny bohaterem wrócił, on, wróci sławnym! reszta goryczy topnieje w rozrzewnieniu najprzód, a potém w nadziei. Zaczyna Strzelecki dzielić się z krajem owocami swoich poszukiwań. Co też o nich rodacy rzekną? nadstawia ucha—milczenie. Zapewne z Poznania do Sydneyu zbyt daleko; dosłyszec trudno. Lecz wkrótce wraca bliżéj. Już jest w Londynie; wydaje pomnikowe dzieło swoje, i natychmiast pysznie oprawny egzemplarz do biblioteki hr. Raczyńskich w Poznaniu przesyła. Jesteśmy

prawie pewni, że mu pokwitowanie z odebrania tego upominku przesłano nawzajem; czy dołączono żywsze słowo współczucia i uznania? wątpimy. Były to czasy między 45 a 46 rokiem, hrabia Edward Raczyński, właściciel, a przynajmniej wszechwładny opiekun darowanej miastu biblioteki, rozdrażniony, skołatany przeciwnościami i chorobą, myślał o tém jak sobie życie odebrać, lub już odebrał je sobie; inni pracownicy biblioteczni myśleli o hrabi Edwardzie, lub o przyczynach, które śmierć jego spowodowały; a przytém filologowie, bardzo umiarkowanie cenili sobie książkę wyłącznie kwestyami przyrodniczymi zajętą. Postawmy się teraz na miejscu Strzeleckiego, jak niespokojnie, ciekawie a niedowierzająco wygląda jakiego bądź sygnału, coby mu życzliwe powitanie i bezpieczeństwo przybycia zwiastował. Wiemy przecież z rozlicznych przykładów, jak to oddaleni, wracając, we wrażeniach swoich wracają zawsze niby nazajutrz po chwili wyjazdu. Co zapomniane, to oni pamiętają, co zestarzało, to oni młodém widzą, zwłaszcza też co wówczas było ważnem, to im się zdaje, że na tych samych miejscach jeszcze ważnem być musi. Widzą oni, że sami się zmienili; do tego jednak były powody; los ich toczył po drogach świata jak kamień po lodnikach przedhistorycznych—tam zaś wszystko stało na miejscu, wszystko być musi po dawnemu: więc pulkowe nieformalności, oburzona panny Adyny rodzina, białoruskie awantury, o tém wszystkiém ludzie gadają. Trzeba się mieć na baczności, trzeba pierwej dowiedzieć się czy australskie nowiny, złotopióre rajskie ptaszki, nie zagłuszyły pogłosek szarych wróbli z nad strzechy domowej. Strzelecki czekał—wreszcie napisał list do panny Adyny. Zbyt dumny, by się na cień niepewności narażić, sam nie przyjechał, wskazał tylko miejsce gdzie do wód w Niemczech udać się zamysła, i panna Adyna pojechała do niego.

Gdyby kto miał osobisty interes w zatrzymaniu Strzeleckiego na obcej ziemi, toby go nie mógł w pewniejsze złożyć ręce. Panna Adyna była zaopatrzoną we wszelkie wiadomostki najskuteczniej w tym celu działające. Już to ręczylibyśmy za nią, że to mu tylko mówiła, co za prawdę uznawała, lecz właśnie téj części prawdy przez nią podanej, aż do zbytku starczyło na zupełne odstręczenie Strzeleckiego. Słyszała nieraz opowiadanie wołyńskiego obywatela, słyszała dość lekceważąco odzywających się dawnych jego znajomych; krewnych nie słyszała, bo ci jako pierwej, tak i teraz po dwudziestu kilku latach nie przestąpili progów jej eleganckich koterynek, ale przy sposobności mogła dać zrozumieć Strzeleckiemu, że mu przeszłość pamiętają; że terażniejszości nie

cenia, to on już sam się domyślać zaczynał—co zaś najgorzej ze wszystkiego, mogła odjąć nadzieję, by ją kiedyś w przyszłości oceniono, i niezawodnie odjęła. Powiedziała mu, że Poznańskie na wskroś demokracją przesiąkło... sto przeciw zera, że powiedziała; zdaje nam się, jakbyśmy akcent niektórych jej wyrażeń słyszeli. Paweł z ducha potomek owych czerwono-ruskich magnatów in potentia, okropnie demokracji nie lubił. W Anglii najserdeczniejsi i przyjaciele do stronnictwa wigów należeli: od wigów jednak do demokracji co za spadek! Według jego mniemania Poznańczykom tylko o demokracją chodziło: a według jego i wielu nawet w bliższym sąsiedztwie przesuujących się podróżników, nie wyłączając wieszczów naszych, demokracja znaczyła jedynie tłumy spółstwa cisnące się do salonów: kowali—takich zasmolonych! którym trzeba ręce ścisnąć—parobków—takich spotniałych i nie pomytych!—z którymi całować się trzeba. Jeśli nie chcesz? Terroryzm! Istotnie, czém była demokracja w politycznych sferach ówczesnych, nie mieliśmy sposobności dokładnie się o tém przekonać; dziś wiemy, że jest arystokracją przeciwległą arystokracji; arystokracją wszelkich dóbr ruchomych, przeciw wszelkim dobrom nieruchomym. Ale wtedy nie wiedzieliśmy o tém, a wnioskując z tego, czém była w sferach towarzyskich, czém była w rozmowach, w drcbnych zastosowaniach swoich, to się zdawało, że bardzo pięknie, daleko piękniej niż stronnictwo polityczne wygląda. Dziwi nas mocno czemu estetyczna panna Adyna upodobania naszego nie dzieliła? Kiedy np. rozweselony syn obywatelski z chłopem rozmawiając, używał innóstwa nie do wydrukowania na tej ćwiartce wyrażeń, a starszy brat, czy nie brat, dość że jakiś starszy zgromił go za to: „Przecież z ludem trzeba mówić ludowym językiem—tłumaczył się gromiony—mówić prawdziwie demokratycznie.“ „To nie ludowy język—poważnie objaśniał starszy, to nawet nie karczemny, ale szynkowniany tylko, i z ciebie mój drogi nie tęgi demokracja, kiedy się starasz o to, by mówić jak chłop, nie zaś o to, by chłop mówić, jak mówią wszyscy ludzie przyzwoci.“—„To była pierwsza nasza—ma się rozumieć z boku tylko podsłuchana—lekcja demokracji. Nie ma w niej nic genialnego, lecz jest przynajmniej wierna próbka chwili. A jeden ze znajomych p. Adyny? mówiono sobie, że do frontowych filarów demokracji należy: Jędrzej Moraczewski, co miał po sobie niedokończone Dzieje Rzeczypospolitej zostawić, wtedy jeszcze gospodarował na rodzinnym Zielądkowie. Raz, w zimie mroźnym rankiem, wbiegają do jego pokoju: „Panie! kopiec z kartoflami rozrzucony! wszystko przez noc zmarzło! złodziej niegodzijas dla marniej ćwiartki, tyle korcy zmarno-

wał.“ Pan Jędrzej wychodzi z oskarżającymi na pole; szkoda jest, kopiec rozrzucony, nie pokryto go później, ale na śniegu widać ślady—ślady od bosych nóg.—Pan Jędrzej głową pokręcił. „Och! widać, że biedakowi strasznie głód musiał dokuczać, kiedy aż tak daleko i boso po garść kartofli chodził. Nie przepatrujciez tam za nim i nie dochodźcie mojej krzywdy; jak się dowie, że nie nastawałem na niego, to drugi raz już wprost do mnie, a nie do kopca przyjdzie.“ Słyszeliśmy znowu opowiadanie tego zdarzenia, i wszyscy przytwierdzali, że demokraci nie powinni być inaczej postąpić, że gdyby inaczej postąpił, toby stanął w sprzeczności ze swemi zasadami.. czemu wtedy wierzyliśmy wiarą niezachwianą. Panna Adyna miała wiele życzliwości dla rodziny Moraczewskich; bardzo szanowała Marcinkowskiego i pannę Emilią Szczaniecką—ale demokraci tak nie lubią jak sam Strzelecki. W jej opisach musiała poznańska zwłaszcza trochę czarniej wyglądać od tego, co to przecież nie jest takim czarnym, jak go malują. Wszystko się spiknęło na rozwianie lepszych usposobień wracającego. Nikt z przyjęciem nie czekał; panna Adyna nawet dawne wspomnienie raczej, nie zaś nową sławę witała, a w kraju—demokraci rej wiodą! To coś niedorzeczniejszego jeszcze od meksykańskich centralistów i federalistów w stosunku do Don Joaquima de Astiazara. Jeśli się zżymał na tamtych, którzy mu nic złego nie zrobili, jakże ramięmi pogardliwie wzruszyć nie miał na tych, którzy go w utajonych, lecz niemniej może gorących pragnieniach zawiedli. Ci ludzie nie umieją gwiazd swoich przewodnich rozpoznawać. Gdzie tu szukać między nimi miejsca właściwego dla wynalazców, odkrywców, mistrzów wiedzy lub sztuki? Kto się na najbieglejszych pozna? kto ich zapotrzebuje? kto uczci i wynagrodzi? Tym ludziom ciasnych pojęć, niewykształconych upodobań, głęboko zakorzenionego lenistwa, na nic się nie zda ziomek, choćby akademicką aureolą otoczony u obcych. Tym ludziom albo niczego się nie chce, albo chce się tylko szaleństw i niepodobieństw. Chartyści!

Przypominamy czytelnikom, że to wszystko jest tylko szeregiem prawdopodobieństw i wniosków, któremiśmy połączyli fakta udowodnione, t. j. notatki australijskie, nazwy gór i artykuły przesyłane dziennikom poznańskim, z zawieszeniem wszelkiej dalszej korespondencji, z nieodwiedzaniem stron rodzinnych, choćby przez prostą ciekawość i z unikaniem rodaków swoich, choćby tak jak on między Anglikami się snujących. Po emigracyi osoby, jest to nowa i zupełniejsza emigracya serca. O ile z towarzyskich i rodzinnych podań miarkować możemy, czuć się w niej daje jakies z siłą woli wykonane przedsięwzięcie, jakaś manifestacyjna uro-

czystość. Z jedną panną Adyną tylko zachował przyjazny stosunek; widywali się to w Paryżu, to u wód niemieckich, bo co rok zawsze na łąd stały zjeżdżał; pisywali też do siebie, ale w Anglii, w Londynie, nigdy noga żadnego Polaka nie przestąpiła progów jego domu. Komitetowi lorda Dudleya Stewarta po 300 franków rocznie składał na polskich wychodźców; jeśli zaś który z krewnych morze przepłynął, aby się łasce wujaszka polecieć — fama albowiem o jego skarbach szeroko się rozchodziła, a skarby rosły w stosunku kwadratów z odległości,—jeśli tedy przyjechał, to pod wiadomym z listów pana Piotra adresem, odbierał tylko wskazówkę, w którym klubie, o której godzinie z sir Edmundem widzieć się może, i dostawał kilkaset funtów sterlingów wraz z dobrą radą, żeby czasu napróżno nie tracił, lecz coprędzej do domu wracał. Raz tylko przyrzekł, że się zaopiekuje młodym wnukiem, po starszej siostrzenicy swojej, Archibaldem Duglasem —kto wie, czy go nazwisko nie pociągnęło trochę—wyprawił uszczęśliwionego chłopca na morze, swoim własnym, jak powiadają, okrętem—lecz okręt się rozbił, chłopiec utonął, a dobrodziejstwa dla rodziny w żadnej od tego czasu nie objawiły się formie. Kilka lat temu jednak, w roku 1873, zgłosiła się do Strzeleckiego jakaś daleka powinowata, namawiając go, aby tu w Królestwie, od jej męża majątek ziemski nabył. Czy to, że list mu się podobał, czy że przedśmiertna jakaś tęsknota znowu myśl jego bezwiednie ku ojczystym pędziła stronem; dość że na zgłoszenie się powinowatej odpowiedział nadzwyczaj grzecznie, choć trochę sztywno, a zupełnie odmownie. W przypisku tylko, zaczepiając się o jakąś niedokładność adresu—niedokładność, która nawet wyprawienie jego własnej odpowiedzi trochę spóźniła—podaje adres właściwszy, starannie odrysowywał kształt koperty i wypisuje rozmieszczenie tytułów osoby, nazwisk miejsca i t. p. Jest to prawdziwie kobiece Post Scr. ze swoją główną, a niedopowiedzianą myślą. Tak je sobie tłómaczymy przynajmniej. Kwestyą interesu rozstrzygnął już przecież sam, nie ma nic więcej do powiedzenia; jako szczerzy Anglik powinienby życzyć sobie nawet, aby jemu nic już do powiedzenia nie miano; lecz on przeciwnie, uchyla furtkę losowi, może się nią jeszcze słówko jakie z tych wschodnich stron przeciśnie, w każdym razie niech będzie, jakoby się tego spodziewał. I rzeczywiście było, jakoby go w ten sposób zrozumiano. Nawiasowo wspomnieć musimy, że Strzelecki pisał po francuzku, łatwą, obfitą w wyrażenia, ale niezbyt poprawną francuzczyzną. Gdyby się wziął na to, by z doskonałą wiernością naśladować błędy przez Anglików popełniane, nie mógłby chyba trafniej umierzyć tego stopnia, na któ-

rym Anglik śmiesznym być przestaje, a wcale nie zaczyna rodowitego Francuza udawać: jest to coś gładko z angielskiego przetłómaczone. Prawdę mówiąc, nie spotkaliśmy się ani w Saskim ogrodzie, ani w bawialnych pokojach tutejszych z taką ściśle odważoną dozą francuzczyzny; albo nienaganna, albo też nie *z polska*, chyba z węgierska przekładaną bywa. Mniejsza o to zresztą. Korrespondentka odmową się nie obraziła, tonem listu ująć dała, i pisząc powtórnie prosiła o przysłanie sobie fotografii znakomitego podróznika. Fotografia nadeszła z krótkim, jeszcze grzeczniejszym i prawie wesołym listem. Zwrotną drogą dziękując, zażądano znowu dzieł autora. W Królestwie nigdzie nie można było ich dostać; znano je tylko ze wspomnień i cytat po innych książkach umieszczanych. Autor dzieła, lub raczej jedyne najważniejsze dzieło swoje o Nowej Południowej Walii, w kilka tygodni nadesłał, a przy dziele był list znacznie dłuższy od poprzedzających, nie na jednej już ćwiartce skończony, ale na drugą stronicę drugiej zachodzący. Jest tam ciekawe objaśnienie co do możliwej, a raczej co do niemożliwej obecnie komunikacji przesyłkowej między Warszawą a Londynem. Tygodnik *Illustration* przetłómaczył ten ustęp: jest tam lekko, bardzo lekko dotknięta kwestya hrabiowskiego tytułu: cośmy znowu w tym szkicu biograficznym przetłómaczyli. Wszystko to wypowiedziano chłodno, urzędowo niejako „businesslike fashion,” lecz ze wszystkiego, nawet z owego potrącenia o sprawy rodzinne, jasno widać, że starzec powoli, z przyjemnością zaczyna się rodzinnem powietrzem zaciągać, że lżej mu się zrobi kiedyś, gdy z piersi jakkolwiek wygodnie dopasowaną, żelazną koszulkę swoją będzie mógł odrzucić. Ha, nie odrzucił jój; czasu zabrakło; w końcu 1873 roku dzienniki o jego śmierci doniosły. Czémże ten przeciąg od 1845 do 1873 roku zapełnił? Przez pierwsze cztery lata miał jeszcze piękne i odpowiednie swojej żywo współczującej naturze, swoim administracyjnym zdolnościom zajęcie.

Głód okropny trapił Irlandyą. W Anglii, w Szkocyi, we wszystkich osadach Wielkiej Brytanii, natychmiast listy składkowe pokryły się mnogiemi zapisami i uzbierano 600,000 funt. ster. czyli 15 milionów rubli, co znaczy na dzisiejszą wartość pieniędzy ze dwa, jeśli nie ze trzy razy tyle. W różnych naukowych i nie-naukowych dziełach, spotykaliśmy się nieraz ze wspomnieniami i opisami téj fenomenalnej klęski. Ekonomista rozważał przyczyny, które ją spowodowały; lekarz badał hygieniczne warunki, wśród których się rozwinęła; powieściopisarz malował jój dantejskie okropności; a wszyscy razem kończyli mniej więcej tą pochwalną uwagą, że jeśli niebezpieczeństwo było nadzwyczajem, anglosaxońska rasa

zdobyła się też na nadzwyczajną sprężystość w zapobieganiu jego; skutkom, w wynajdowaniu środków ulgi i ratunku. Bo prawda nas samych oburzała społeczność bogata, szczęśliwa, potężna, a jednak zdolna dopuścić, by taka otchłań nędzy i rozpaczy pod najpiękniejszą z jej trzech pięknych koron się rozwarła; mimo całego oburzenia jednak, musieliśmy sami przed sobą wyznać, że w głębi serca zazdrościmy tej społeczności. A nie jej bogactw, nie jej szczęścia, nie jej na krzywdę drugich użytej potęgi—zazdrościliśmy tylko jej wielkiego do ocalania drugich talentu. Fundusze milionowe z niepospolitą szybkością zgromadzone mniej nas dziwiły, niż praktyczność ich użycia. Trzeba pamiętać, że miano do czynienia z ludnością dziecinnie lekkomyślną, od kilku wieków na stare biedy zubożyła, przeciw nowej i niespodziewanej biedzie moralnie i fizycznie bezbronną. Energiczniejsi uciekali do Ameryki; inni opuszczali ręce i marli z głodu lub z tyfusu, po swoich w ziemię zapadłych lepiankach. Wnet wszelako pod kierunkiem głównego komitetu zawiązało się mnóstwo komitetów miejscowych; otwierano szpitale, zakładano kuchnie bezpłatnie wydające ciepłą strawę; stosownie do odległości zamieszkania, stosownie do charakteru, częstokroć niegotowaną żywność wydzielano jednodniowymi lub tygodniowymi porcjami: a to wszystko z wysmienicie urządzoną kontrolą, z zabezpieczeniem szanującej niedolę względności—wszystko składnie, pocziwie, rozumnie, jak przystało na prawdziwą jałmużnę religijną dla niedołążnych. To jedno dobre. Drugie dobre jeszcze lepszym było. Zaczęto wznosić rządowe i municypalne gmachy, bić drogi, sypać tamy, stawiać mosty, osuszać niektóre bagna, dostarczać zewsząd zarobku, sprowadzeniem zboża zakup jego uprzystępniać; znów wszystko składnie, pocziwie, rozumnie, jak przystało na wsparcie prawdziwie społeczne dla słabych lecz nie upadłych jeszcze. Zrobiono wszystko, co tylko ogół mógł zrobić, by w jednostkach siłę ducha podtrzymać, ochotę do samopomocy rozbudzić. To mądre zagospodarowanie obfitością wśród zniszczenia, ta szkoła zabieźności, pracy, energii otwarta tuż nad zrębem wielkiego grobu — no, i choć trochę uczniów swoich kształcąca; zawsze to nas dziwną tęsknotą, a głębokiemi przejmowało poszanowaniem. Aniśmy się domyślali nawet, że w planie, kierunku i przeprowadzeniu tak trudnego zadania ziomek nasz Strzelecki główną odgrywał rolę (1). List jego dopiero po raz pierwszy nam to objawił.

(1) Tę główną rolę własnem zdrowiem opłacił; dostał głodowego tyfusu i do końca życia śladów jego pozbyć się nie mógł.

Rysując i wypisując ów adres, który nas powiódł na pokuzszenie domysłów, Strzelecki zamieścił cały szereg majuskułów, niby ogon komety przy gwiazdzie swego nazwiska; zapytany o ich znaczenie, bardzo zręcznie korzystał ze sposobności—może zresztą nie myślał o korzystaniu i na zręczność się nie brał, tylko w prostocie ducha, bawiąc się nieświadomością dalekiej korespondentki, przesłał jój w wykładzie znaków, treściwy szkic zarazem swojej biografii, od epoki podróżywój zacząwszy, ma się rozumieć. Ciekawe jest to świadectwo samemu sobie wydane, dlatego bez tłumaczenia je podajemy:

Je ne m'étonne nullement, que les initiales qui suivent mon nom vous eussent intriguée; car il n'y a qu'en Angleterre qu'elles sont requisés par l'usage et qu'on s'entend sur leur signification. Ainsi dans la page que j'ai détachée du „*Guide de la Cour*“ ci-joint exprès pour vous satisfaire, vous trouverez aisément la rue où je demeure et mon nom, que j'ai souligné en crayon rouge. Or, en prenant lieu *les lettres K. C. M. G.* signifient: l'Etoile de l'ordre de St.-Michel et St.-George, conferée par la Reyne (sic) pour mes explorations de 5 années en Australie, pour la découverte de l'or—la découverte de nouvelles régions accessibles à la colonisation et finalement pour les constructions des cartes topographiques et géologiques, basées sur des observations astronomiques.

Vient C. B. une abréviation comme la précédente de l'Ordre de Bain, qui me fut accordé par la Reine pour mes services de 4 ans en Irlande pendant la désolation de ce pays en 1846 par la famine et maladies contagieuses et où j'administrais les souscriptions de 15 milions de roubles (600,000 livres sterling) que l'empire (sic) a souscrits, et que le Comité de la Cité de Londres et le gouvernement m'ont confiés pour le secours et le soulagement des populations indigènes.

D. C. C. veut dire: „Docteur en Droit Civil,“ distinction académique et dont l'Université d'Oxford m'a honoré pour mes services.

F. R. S. dénote: „Membre de la Société Royale de Londres“ (analogue à l'Institut de France), à laquelle je fus élu en conséquence des recherches scientifiques.

F. R. G. S. dénote: „Membre de la Société Royale Géographique“ — élection due à l'ouvrage, que j'avais publié en 1845: „Physical Description of New South Wales and Van Diemens Land“ et que cette Société a couronné par une médaille d'or.

Je suis presque honteux de vous en avoir parlé tant de moi même, mais vous m'avez demandé l'explication des signes presque cabalistiques pour vous, et forcé de vous les donner dans toute leur étendue. En même temps je vous prie de croire que quelque (sic) soit la valeur de ces distinctions dont on m'a honoré, loin d'être des témoignages des faveurs ou de la cour, ou du public anglais, elles ne font que représenter une série des services et des travaux bien sérieux et fatiguants et qui me réduisent au moment, où je vous écris à l'état d'une cartouche épuisée. Voilà, Madame, ou j'en suis."

Wracając teraz do irlandzkiej missyi Strzeleckiego, sama nieobecność jego nazwiska bardzo wymownie świadczy, że nie „faworom publiczności angielskiej“ winien był otrzymaną nagrodę. Publiczność poprzestała na wymiarze ścisłej sprawiedliwości; był wprawdzie i naddatek maleńki. Towarzystwo angielskie ofiarowało mu srebrny serwis do herbaty, na pamiątkę uśmierzonego głodu w Irlandyi; ale faworu nie było. Żaden rozgłos nie utrzymał jego nazwiska w pamięci trochę dalej krążących tłumów. A stało się to przypadkowym zbiegiem okoliczności; nie podstawiono innych nazwisk i nie poprzekręcano faktów, jak przy opisie bitwy pod Samo-Sierra, nie odepchnięto oczywistości, nie zaprzeczono prawdzie, jak to się jeszcze przed Kopernikiem i jeszcze po Sobieskim działo: w tém głuchém przemilczeniu żadnego nie miały udziału ani zazdrość narodowa, ani uprzedzenia plemienne; stało się tak po prostu dla tego, że nikt na całej powierzchni Wielkiej Brytanii, ze wszystkimi przyległemi jęj wyspami, nie czuł najmniejszej łączności osobistego interesu względem tęg cudzoziemskiej nazwy. Ani sercowa potrzeba, ani kusząca próżność nikogo nie podjęły do wydzielenia jęj z ogólnego tła wypadku, bo któż się nią pochłubić, kto pochwalić mógł przynajmniej wobec drugich? na kogożby jęj blasku spłynęło odbicie? Najrzetelniejsze ogłoszenia sprawozdań nie dadzą przecież rozgłosu. Rozgłos prawdziwy ze swoim hałasem, ze swojemi owacyami—och! nie owacyami jednéj godziny lub wieczornego fakelcugu, ale temi, co trwają przynajmniej na całe życie następnego pokolenia — taki rozgłos idzie echem od serca do serca, pierwéj nim od ucha do ucha płynąć zacznie. Sam piękny czyn nie wystarcza; nie wystarczy nawet jawne piękności jego uznanie, jeśli słowa uznania w przelocie swoim nie potracą o pierś jakąś szczerze kochającą człowieka, lub nie zatargną szpagatu, co we wspólny egoizm gromadkę jakąś lu-

dzi z owym człowiekiem obwija. Strzeleckiemu tych dwóch warunków brakowało jedynie.

Gdyby łaska dworu mogła rzeczywiście tak fantazyjnie szafować zaszczytami, jak nie może właśnie, to prawdopodobniej trochę, dałoby się o względność pewną i słabostkę dla Strzeleckiego posądzić. Strzelecki ciągle bywał u dworu, bywał co tydzień. Zdaje się, że to stanowiło główne jego zajęcie po powrocie z Irlandyi. Jakkolwiek w jednym ze swoich listów pisze, jakoby wyłącznym zadaniem jego życia, „wyłącznym celem wszystkich jego usiłowań było bezprzesłanne zdobywanie wiedzy i badanie możliwych jój zastosowań;“ z tych ostatnich lat kilkunastu wszelako, żaden ślad poważniejszej pracy jego nas nie doszedł. Zostały same tylko gawędkowe i rodzinne o nim ploteczki.

Z gawędek tedy i ploteczek wiemy, że co tydzień bywał u dworu, że był dobrze widziany, królowa nawet bardzo go lubiła, a on względem królowej nadzwyczaj się okazywał lojalnym. Kiedy najstarsza jój córka wychodziła za dzisiejszego księcia następcę tronu Cesarstwa Niemieckiego, według zwyczaju panów angielskich, złożył młodej oblubienicy podarunek z brylantów wartości kilku, mówiono nawet, że kilkunastu tysięcy funtów sterlingów. Równie kosztownymi upominkami obchodził każde małżeństwo, każde imieniny w licznej rodzinie królowej przypadające. Długo bardzo utrzymywała się w Poznańskim pogłoska, że uroczyście zrobił testament, na mocy którego JKMość królową W. Brytanii Wiktoryą, ogólną swoją spadkobierczynią mianował. Wiadomość ta po jego śmierci dopiero okazała się fałszywą (1). Przed śmiercią poprzedziła ją inna, daleko dziwniejsza. Opowiadano sobie, że Strzelecki nietylko z łask wypadł, ale ściągnął na siebie surowe oburzenie królowej za to, że bałamucił jedną z młodych jój panien honorowych; lecz że to było mniej więcej około tego czasu, gdy sam o sobie pisał: „à mon age 76 ans bien sonnés,“ przypuszczamy, że gdyby coś podobnego zdarzyć się mogło, to królowa raczej na swoją frejlinę gniewać się była powinna, że jój wiernemu i rycerskiemu staruszkowi spokój serca zakłóca, a nie na siwo-włosego „bałamuta.“ Bałamut, co prawda, wcale jeszcze zgrzybiało na swojej fotografii nie wygląda, a był w nader przyjaznych stosunkach ze sławną (nawet bałamutnie sła-

(1) Tu i owdzie dawało się też słyszeć, że całe mienie swoje przybranemu synowi przeznaczą, lecz znów potem odwoływano te wieści.

wnęj) pamięci Palmerstonem. Drugostronnie jednak przed podejrzliwością czytelników może go osłonić do śmierci zachowana życzliwość arcybiskupa westminsterskiego, Manninga, osoby wysokie znaczenie mającej w katolickim kościele, a przez różne stronnictwa angielskie, dla charakteru swego, wysoko także w Anglii poważanej. Ta wzmianka jednak, że istotnym zasługom a nie łaskom dworu nagrody swoje zawdzięcza, daje nam trochę do myślenia. Z tego co wiemy o sir Edmundzie, nie przypuszczalibyśmy najlżejszej niedoceny łask dworskich, och! przeciwnie. Lecz co nam do tego! chcemy tylko faktów się trzymać. Faktem jest, że Strzelecki zajmował na Savile Row Nr. 23 w Londynie bardzo wspaniałe pomieszkanie, miał piękną galeryą obrazów, czterech służących, wykwintne powozy, dwa konie pociągowe, jednego wierzchowca, i lordowskie życie pędził, z tém ułatwieniem, że nie potrzebował w izbie lordowskiej bywać, do późna w noc czasem nad billami rozprawiać, a z izbą gmin o prawa i przywileje się sprzeczać. Zimą 1872 roku i początek 1873 dla poratowania zdrowia na południu Europy spędził. W Maju do Anglii wrócił, dnia 20 Sierpnia ostatni do swojej korespondentki i zapewne ostatni do kraju list napisał; 6 Października umarł.

Skoro tylko dzienniki o śmierci Edmunda Pawła Strzeleckiego doniosły, licznie rozrodzeni pobrać i siostrze prawni spadkobiercy—w ciągłej wątpliwości za życia swego stryja i wuja trzymani, różnemi pogłoskami—jeszcze bardziej zaniepokoił się, gdy ich nowa teraz doszła pogłoska, że ten krewny wszystkie swoje krezusowe skarby jakimś obcemu indywiduum zapisał. Podróż do Anglii z perspektywą może dość długiego pobytu w Londynie, wcale nie jest przystępną rzeczą dla bardzo średnio-majątnych osób: złożono się jednak na kosztą podróży, wyprawiono wspólnie uwierzytelnionego pełnomocnika, i rozpoczął się ciekawy w swoim rodzaju proces. Krewni, jako poddani pruscy, w ambasadzie niemieckiej pierwszy punkt oparcia znaleźli, a wkrótce też znalazł się i prawnik miejscowy, podejmujący się własnym kosztem interes prowadzić. Idzie ni mniej ni więcej tylko o dowiedzenie fałszerstwa testamentu, lub w najlepszym razie opanowania umysłu i przymusowego działania, na złożonego chorobą zapisodawcę. Przez te dwa lata wykryto jedynie, że istotnie przystęp do chorego był pilnie strzeżony; nawet arcybiskup Manning, pomimo dwukrotnych odwiedzin, nie był do umierającego wpuszczony. Lady Herbert, wdowa po jednym z najbliższych przyjaciół Strzeleckiego, przebojem doń tylko utorowała sobie drogę, lecz podobno ani długo, ani szczerze, w obecności czuwającego dozorczy rozmawiać nie mogła i nie chciała.

Prócz tych dwóch szczegółów, wszystko zresztą mgła tajemnicy pokrywa, zwłaszcza też, jaki majątek? gdzie on? ile go? tego nikt z rodziny, choćby w przybliżeniu na domysł oznaczyć nie może. Z pomieszkania, ze sposobu życia wnioskować łatwo, że był dostatni, z vox populi sądzićby można, że większy niż Syndbada z Bassory. Okręty jego kupieckie zawijały do portów wszystkich pięciu części świata; do Indyi Wschodnich i Zachodnich, do Ameryki Północnej i Południowej, do Rygi i Liverpoolu; wydzierżawione placery i łąki Gipp'slandu strumieniami złota płynęły do jego szkatuły; ajakby na potwierdzenie tych rojeń z Tysiąca nocy i jednej, przed niedawnym czasem do mieszkających kędyś nad Dżwiną dwóch braci rozbitego na morzu Archibalda, zgłosiła się jakaś spółka przemysłowców angielskich, trudniących się zakupem lasów w głębi Rosyji, i ta spółka o wytoczonym procesie powziąwszy wiadomość, dała znać panom Duglasom, iż większą część jój kapitału obrotowego stanowią akcye przez sir Edmunda Pawła Strzeleckiego zakupione. Jednocześnie prawie strona przeciwna wystąpiła z oświadczeniem, że gotowa jest po tysiąc funt. st. na każdą głowę w rodzinie zapłacić, od najstarszych do najmłodszych licząc. Jest tych głów dzisiaj coś około sześćdziesięciu według naszego rachunku. Wszystkie się na to zgodziły, by sprawę dalej popierać.

O Dikensie! Dikensie!

Przysłano też nam trochę niedokładnie, gdyż bez daty—i trochę niegładko, gdyż przez wychowanek niemieckich pensyi, wespół cudzoziemkę tłómaczony odpis z testamentu nieboszczyka; podajemy go tutaj, nadzwyczaj oględnych, tylko językowych pozwalając sobie poprawek. Brzmi on jak następuje:

To jest ostatnia moja wola. P. E. Strzeleckiego, Savile Row Nr. 23.

Postanawiam, aby natychmiast wszystkie moje długi były zapłacone.

Daję i przekazuję lady Herbert of Lee of Wilton House Salisbury: srebrny serwis do herbaty, zamknięty w dwóch szkatuleczkach z różanego drzewa, serwis, który dostałem od angielskiego towarzystwa za uśmierzenie głodu w Irlandyi 1847 r. Proszę lady Herbert, aby raczyła to przyjąć, jako od prawdziwego przyjaciela sir Sidney Herbert'a (ministra wojny). Również proszę lady Herbert, aby wybrała sobie z mojej galeryi obrazów i z mojej biblioteki to, co jój się będzie podobało.

Daję i przekazuję wiernemu służącemu mojemu p. Hen-

rykowi Stokes 1,000 funtów ster., które mają mu być wypłacone w miesiąc po mojej śmierci. Zapisuję mu przytém moją garderobę, bieliznę, pościel i łóżko; reszcie zaś służby, która będzie obecną méj śmierci, zapisuję roczną pensyą po 200 funtów sterlingów.

Obowiązuję, mianuję, rozporządzam i postanawiam mego serdecznego przyjaciela p. Johna Lamps-Saverá, prokurenta firmy Charles Devaux i Spółka, na King William Street Nr. 62, na mego ogólnego spadkobiercę i egzekutora testamentu.

Resztę mego majątku (pewnie *resztę* znaczny tu prócz zapisów) w złocie, srebrze, papierach, w assekuracjach, meblach, powozach, koniach, brylantach przekazuję na wyłączną własność pana Johna Lamps-Saver'a.

Proszę egzekutora mego testamentu wszystkie moje papiery, pamiętniki, notatki, wyciągi, listy do mnie adresowane, małe odcinki, zgoła wszystko, co nosi nazwisko papieru, zaraz po mojej śmierci spalić.

Żądam przytém od przyjaciela mego, aby pogrzeb mój był jak najskromniejszy, a pod żadnym warunkiem, aby na grobie moim nie było żadnego pomnika, ani kamienia, któryby nosił moje nazwisko: ponieważ śmierć jest zapomnieniem, a więc kawałek darniny najstosowniejszy będzie.

Odwołuję wszystkie moje dotychczasowe rozporządzenia.“

Między temi rozporządzeniami była niezawodnie i pensya, którą wiekowej wdowie po swoim bracie wypłacał, i o której w pierwszym z trzech wspomnianych listów swoich wspomina!

Nieraz już w życiu układając bilans trosk i pomyślności naszych, przyznawaliśmy, że jakiegokolwiek spotykały nas w tych ostatnich niedobory, zawsze jednak dwa wielkie szczęścia mieliśmy prawo pod ich rubrykę zaciągnąć: nie urodziliśmy się tam, gdzie termometr po za 30^o Réaumura niżej zera spada; i nie mogliśmy być sędzią żadnego trybunału. Skazywać winnych zdaje nam się jakąś przerażającą odpowiedzialnością; ale między dwiema stronami spierającemi się o pieniądze wyrokować: która z nich ma słusność? to już w naszym przekonaniu—mądrość Salomonową przechodzi. Król judzki tylko dwie matki klójące się o dziecko rozsądził. Tu, prawa właścicielka niezawodnie owo dziecko więcej od nieprawej kochała; lecz pieniądze? czy prawi, czy nieprawi właściciele pewnie je równo kochają, a tak dowodnie jakoś bronią, że nigdybyśmy nie zdołali sprawiedliwego lub przynajmniej zgodnego z prawem ogłosić im sądu, zawsze nam się widzi, że

obie strony „mają rację“ i że obie strony „nie mają racji.“ I w tym procesie o spadek po Strzeleckim nie pozwalamy sobie uprzedzać domysłami przyszłego jurysprudenicy angielskiej wyroku; czy testament zupełnie sfałszowany, podrobiony, czy przerobiony tylko? z ciekawością prawnego rozstrzygnięcia téj kwestyi czekamy, ale ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że kwestya „papierowa“ przez dotychczasowego spadkobiercę już roztrzygniętą została, i rzeczywiście wszystko, co się papierem zwało—spalono! W tym zawziętym nakazie bezwarunkowego zniszczenia wszelkich śladów osobistego życia, jeśli nie tkwi w głębi doradzona przez prawnika ostrożność, to przebija niezawodnie gorzki żal jakiś do ludzi, coś jakby świeża uraza, może boleść nowa i niespodziewana. Przypuśćmy na przykład: utrata łask dworu z podanego w gawędkach ludzkich powodu? Trudno zaprzeczyć, że i stawione *przyjacielowi* żądanie, aby „pod żadnym warunkiem“ nawet płyty kamiennéj z nazwiskiem na grobie jego nie położono, ma raczej akcent wielkiej do świata niechęci, niż akcent filozoficznej obojętności, albo głęboko chrześcijańskiej pokory. Słowa testamentu wtórują niejako ostatnim słowom ostatniego listu: „Mes tendres veux pour votre bonheur, suppose qu'en effet il y eut du bonheur sur notre globe...“ Bez wykrzykniku, ale kropkami myśl niedopowiedzianą, w nim samym dalej się snującą, zaznaczył. Pod piórem innego człowieka byłby to najpospolitszy z pospolitych komunałów, lecz tutaj oryginalną wartość nadaje mu osoba piszącego: czy jest szczęście na naszym globie? Zwiedził on ten glob na wszystkie strony, opłynął go do koła, ale żegnając się z tobą, w przestrodze niby, zwątpienie twoje chce rozbudzić; on sam dla siebie z pewnością już wie, że szczęścia nie ma, tylko na pociechę dowiedział się także, iż „śmierć jest zapomnieniem“, i w ten smutek starości, niby w całun hadesowych cieni owinięty, głowę odwracając, na wieczny spoczynek w łono ziemi zstępuje. Niechże ta ziemia, choć obca, lekką będzie smutnemul

Spostrzegamy się, że choć pisaliśmy o rodzinnych i miejscowych pierwiastkach osobistości Strzeleckiego, wszakże dłużni jeszcze jesteśmy pewne objaśnienie względem tego, cośmy nazwali „jego wiernie przechowaną plemiennością.“ Co do rodzinnych pierwiastków, jużesmy tu napomknęli, że przez dziecięcą prawie i bezsądną obojętność swéj matki, zasięgnął on trochę usposobienia dawnych, z czasu swego dziadka, Raczyńskich. Nie miał ich dodatniej, że tak powiemy, zdolności w bardzo ujemnym niestety! kierunku, ale miał bardzo ujemną w kierunku dodatnim. Nie szkodziłby on krajowi, ten syn „świętej pani“, poczciwie prostomyślnéj kobiety, lecz, nie pojmował też jak ona nie pojmowała, że ma do spełnienia

w tym kraju pewne obywatelskie obowiązki. Łatwo mu było oddalić się, naturalizować się w obcej ziemi, żyć z obcymi, słowem miał zdolność *wychodźstwa*. Co do miejscowych usposobień, niektóre osobliwości jego wad i zalet—wad szczególnie—wytlómaczyły nam się resztkami dwóch prowincjonalnych, a połączonych w nim typów. Główne tło życia wszelako, główny charakter pism jego, tylko z tła i charakteru narodowej plemienności zrozumieć możemy. Bo też ze krwi i z nerwów, z niedostatków i z bogactwa natury swojej był Strzelecki wybornym, jako się rzekło, okazem słowiańsko-polskiej rasy. Przedewszystkiemi miał jęj młodocianą *niekonsekwentność*, to jest: brak spójności między charakterem przez ciąg życia „wyrabianym,” a dziedzicznie z klimatu i najdalszej przeszłości otrzymaną naturą. Gdyby miał naturę odpowiednią charakterowi, toby nie porzestał na kilkunastu latach wycieczek i czterech latach służby publicznej. Anglik na jego miejscu zostałby wice-królem Indyi, albo założyłby gdzie nową Pensylwanią dla Irlandczyków, albo z jaką wyprawą podbiegunową popłynąłby na odszukanie swego przyjaciela sir Johna Franklina, albo w głębi Afryki połączyłby się z Livingstonem—a musimy tu zaznaczyć pobieżną tylko uwagę, że całe królestwo Wielkiej Brytanii głośniej uczciło odkrycia Livingstona niż Strzeleckiego, choć mu bez zaprzeczenia Strzelecki odkryciami swemi, przynajmniej po chwilę bieżącą, daleko większe materyalne zabezpieczył korzyści. Livingstone oddał za to ważniejsze nauce przysługi; trzeba ztąd wnioskować, że poddani JK.M. królowej Wiktorji mają prawdziwie idealne zamiłowanie wiedzy dla wiedzy, a mniej cenią wiedzę dla zysku: niech i tak będzie. Wracając do Strzeleckiego, gdyby on miał charakter odpowiedni swęj naturze, toby znów może wstąpił na drogę Szamotulskich lub Beniowskich; a może też zasiadłby przy jednym stole biurowym z księciem Lubeckim, może Staszica górnictwo na szeroką skalę rozwinął; lecz tęg odpowiedniości doskonałej, tęg konsekwencyi, zdolnościom jego brakowało. Miał natomiast w wysokim stopniu dobre, po słowiańsku dobre serce, po słowiańsku łagodną naturę. Używamy tych wyrażeń, póki antropologia nie uświęci naukowych jakich określników dla pewnego stanu duszy i organizmu, w którym to stanie, czuje się wstręt do cierpienia... nietylko zwierząt, ale i współblźnich, coś wręcz przeciwnego okrucieństwu i rozkoszy pastwienia się nad drugimi. Skłonność ta cechowa nie bardzo świeci w dziejach ludzkości, nie kieruje ich sterem, nawet się nigdzie monumentalnym dziełem nie upamiętniła; bo też jest dopiero w zawiązku niby,

w przededniu jakiejś stanowczej ewolucyi. Na dziś—z dnia wczorajszego nic jeszcze nie wytworzyła, ani cyklu zdarzeń historycznych, ani państwa, ani ustawy. Buckle stanowczo przeczy jęj cywilizacyjnemu znaczeniu. Michelet nawet za niepotrzebną, szkodliwą dla rządzących ją uznaje; według niego Ludwik XVI przez dobre serce, ponieważ nie mógł bez przykrości patrzeć na smutnych, do rozpacz przywiódł tych wszystkich, którzy zbyt daleko od niego stali. Jest to prawdziwe jak rachunek matematyczny, tylko w matematyce przecież nie znają takiej liczby, do którejby jeszcze jedną jedność dodać nie można było; w ewolucjach dziejowych, nie znamy także ewolucyi, któraby stanowczą erę nowych usposobień i pojęć zamknęła. Lecz dajmy pokój hipotezom—faktem jest to: że między człowiekiem jaskiniowym, któremu jak się pokazuje ze szczątków spalonych kostek, mięso dzieci łakotką było, a człowiekiem, który bez wzruszenia płaczu dziecka słyszeć nie może, a na krwi rozlew wcale patrzeć nie lubi, już w organizmie samym wyraźna ewolucya zajęć musiała. Że najwybitniej w rasie słowiańskiej się rozwinęła, *ujemnie* zaświadcza to jęj tyło-wiekowa bezradność i bezbronność wobec ras mniej łagodnych—ba! wcale niełagodnych nawet, a *dotatnio* zaświadczają wszystkie jęj prace umysłowe, tok ich pojęć, mózgowy mechanizm ich logiki. Wyrażenia układają się Słowianom w ten szyk anti-kanibalizmowy, zasady w ten porządek, wynikłości snują się ciągle z tegoż wspólnego na ludzkie mięso niesmaku. Zresztą nie przesadzamy, czy to piękne i zbawcze, czy niedorzeczne i zgubne? to inna kwestya, na którą miejsce w krótkim życiorysie bardzoby się nie właściwem okazało; widzimy tylko, że tak jest. Gdy jedno i to samo np. spostrzeżenie humanitarne podbudzi do nowych wniosków bystry umysł człowieka, dajmy na to, że skandynawską plemiennością, i człowieka z plemiennością słowiańską—przy równej mierze zdolności, wykształcenia, zasobów naukowych—jeden temu spostrzeżeniu inne, a drugi pewnie inne wskaże zastosowanie.

Otoż Strzelecki nietylko w wypowiedaniu własnych wrażeń, ale i w sądach swoich, w radach podawanych angielskiej społeczności, jest nawskroś Słowianinem. Cały rozdział, załączony tu w tłumaczeniu, najwymowniej tego dowodzi; szczególniej ostatnich wyrazów 5-go przypisku żaden uczoney Got ani Celtby nie napisał, ale napisał nasz ziomek, pomimo że sam pierwszy wysledził przyczyny i w prawo antropologiczne, przez uczonych *Strzelecki's law* zwane, ujął warunki znikania z powierzchni ziemi słabszych ras i plemion. Cóż miał na to poradzić? wszelkich starań dokła-

dał, żeby się na Anglika zamienić, a *taki*, jak mówią Ukraińcy, słowiańskie serce głośno mu w piersiach uderzało, aż do głowy biło.

A niechże nas kto nie posądzi przynajmniej, jakobyśmy powiedzić chcieli, że się w Anglika nie zamienił dlatego, iż miał dobre serce; owszem już nadmieniliśmy tutaj, że gdyby jako Anglik miał takie dobre serce, toby dla nieszczęśliwych nowe części ziemi podkrywał i urządził. Lecz on miał tylko prawdziwie dobre słowiańskie serce, a nie po angielsku; nic mu na tém nie zależało, by jego popędy praktycznie spożytkować; zdaje nam się, że niekoniecznie lubił dobrze czynić, mówimy tylko, że złe na drugich spadające, złe w kształcie krzywdy, okrucieństwa i cierpień, było mu wstrętne. W Anglii mógł właśnie jeszcze wyżej ten instynk swój podnieść, mógł go pożyteczniej uszlachetnić, nie on mu też Anglikiem być przeszkadzał. Przeszkadzało Strzeleckiemu to, co sam własnymi wyraził słowami: pochodził on z narodu przyrosłego do swój ziemi; miał zdolność wychodzącą, nie miał zdolności osadniczej; miał wielkie powodzenie, nie miał drobnego, maleńkiego, na swoją własną domową potrzebę szczęścia—jako róży alpejskiej, w cieplejszy nawet klimat i żyźniejszą glebę przesadzonej, wszystkie pączki opadną, a ciernie tylko zostaną: tak jemu odpadły niektóre najpiękniejsze kwiaty radości z drzewa jego życia, a został wiecznie odradzający się cień mimowolnego żalu i zaprzeczonej tęsknoty. Gładkim wspaniałym przez świat kroczył gościńcem; ale na tym gościńcu jednak pozostał on zawsze „błędny wędrowcem“ tylko: mybyśmy zaś powiedzieli „samotnym przechodniem.“

*

*

*

Jeśli niewiele osób dotychczas z nazwiska znało Edmunda Pawła Strzeleckiego, to bardzo maleńka liczba wśród znających nawet, wiedziała stanowczo, jakie w dziedzinie naukowej położył zasługi, a bodaj czyby się u nas choć kilku takich znalazło, coby już dzieło jego czytali osobiście, nie ze sprawozdań naprzykład. Zapewne i potem nikt czytać nie będzie; musiałaby chyba nauka geografii bujnym kwiatem w kraju naszym zakwitnąć, żeby się znalazł jaki uczony, coby rzeczywiście zapotrzebował tak drobiazgowo źródłowej o Nowej Hollandyi pracy. Ostateczne jej wyniki dawno już spożytkowane zostały i w summę ogólną rozpowszechnionych wiadomości wsiąknęły. Nie chcemy jednak, żeby czytelnicy życiorysu, na wiarę lub na nieufność przyjęli wszystko, cośmy

o zdolnościach i ważności odkryć naszego ziomka napisali; dlatego też, równie jak dla rzeczywistej wartości, przetłumaczyliśmy cały rozdział, o którym autor tak się wyraża: „Je crains que pour la généralité des lecteurs l'ouvrage présente peu d'attraction, excepté peut-être les notes dispersées par-ci, par-là, et qui sont extraites de mon journal inédit. Il y a aussi l'article sur les Indigènes de l'Australie et des autres pays, qui se recommande par le côté triste de leur histoire, qui se borne à constater le fait „qu'ils furent et en peu de temps ne seront plus“—la cause de leur décroissance est aussi curieuse qu'importante au physiologiste: je l'avais avancé il y a 26 années et supporté par une multiciplité des observations et des faits. Depuis cette cause fut examinée dans toutes les parties du globe et se trouva constatée et passe comme une nouvelle loi physiologique portant mon nom.“ Rzeczywiście w kilku dziełach spotkaliśmy się ze wzmianką o tém prawie i z zachowaniem mu nazwiska Strzeleckiego. Czy tak jest ciągle, czy tak dalej będzie, toby mógł tylko ktoś wyłącznie fizyologią uprawiający zaświadczyć i wywnioskować. Tymczasem, aby czytelnicy sami mogli sprawdzić bez żadnego wnioskowania, jaka rzeczywistość była zasługą piszącego, podajemy najpierw tytuły rozdziałów tylko — z ich ustawienia najlepiej każdy się przekona jak wszechstronna bacność eksploratora przed trzydziestu laty wzniosła się już na wysokość dzisiejszego stanowiska nauki— a gdy jeszcze dodamy, że każdy przedmiot téj bacności najściślej został określony, zważony, zmierzony, obejrzany, słowem zbadany tak dokładnie, iż dziś jeszcze całe dzieło jest powagą dla geografów, badaczy i eksploratorów miejscowych: gdy to dodamy, a czytelnicy sami się przekonają, iż mówiliśmy im prawdę — to nam prędkiej wybór życiorysu i wykonanie jego przebaczą.

Fizyczne opisanie Nowej Południowej Walii i ziemi van Diemen,

z dodaniem mapp, sekcyj i odrysu znajdujących tamże szczątków organicznych.

Za godło dziełu swemu położył autor następujące słowa:

„Rzeczywisty nasz obowiązek polega, nie na zbijaniu doświadczeń, które inni porobili; nie na śledzeniu usterek, które w dowodzeniach swoich popełnić mogli: ale na

zdobywaniu prawdy. Smutnym to jest faktem, że ludzie nauką i talentem uposażeni tyle czasu, tyle energii nieraz marnują na to tylko, by jedni drugim wzajemnie błędy i pomyłki wytykali.“

Z chemii rolniczej Liebig'a.

W dalszym ciągu pierwszą kartę zajmuje przemowa do sir Johna Franklina, któremu autor dzieło swoje poświęca w dowód głębokiego szacunku i osobistej wdzięczności: za gościnne przyjęcie, za chętnie udzielane pomoce naukowe, za wszelkie możliwe w przedsięwziętych wycieczkach ułatwienia i za inicjatywę do chlubnej dla piszącego składki upominkowej. Istotnie sir John Franklin w czasie przybycia naszego ziomka, był właśnie gubernatorem Ziemi Van Diemen, a sam najlepiej mogąc zasługi nowego podróżnika eksploratora ocenić, zavezwał miejscowych obywateli, by ich uznanie na angielski sposób wyrazili. Z jego tedy natchnienia zebrano naprędce 400 funt. ster., i te zaraz z bardzo pochlebnym listem, jako też podpisami wszystkich składkujących, Strzeleckiemu do Nowej Walii przesłano.

Następuje potem krótkie podziękowanie dla oficerów marynarki królewskiej, o którym to podziękowaniu jużesmy w ciągu życiorysu wspomnieli—i wreszcie spis działów i poddziałów, który tutaj jako najtreściwszy program całego dzieła zamieszczamy:

Dział I. Odkrycia morskie i lądowe.

A. Odkrycia morskie czynione przez:

Kapitana Cook, admirała d'Entrecasteaux, panów Flinders i Bass, kapitana Flinders, kapitana Baudin, kapitana P. P. King, kapita-
na J. C. Wickham, kapita J. L. Stokes.

B. Odkrycia lądowe czynione przez:

Naczelnego inspektora John Oxley, kapitana Stuart, Allan Cunningham Esq., naczelnego inspektora sir Tomasza Mitchel, C. J. Tyers Esq., P. E. Strzeleckiego, naczelnego inspektora Jerzego Frankland, Jego Ekscelencyą sir Johna Franklina. Wzniesienia lądowe ziemi Van Diemen i Nowej Południowej Walii.

Dział II. Magnetyzm ziemski.

Dział III. Geologia i Mineralogia.

Wstęp.

Ogólny pogląd geologiczny i fizyczny na Nową Południową Walią i ziemię Van Diemen.

Epoka pierwsza:

Pokłady i ich rozległość.—Opis mineralogiczny, *item* skał krystalicznych i skał osadowych.

Ogólne uwagi.

Epoka druga:

Pokłady, ich rozległość, uporządkowanie warstw (uwarstwowanie), rozpołożenie i szczątki organiczne.—Opis mineralogiczny skał krystalicznych i skał osadowych.

Ogólne uwagi.

Epoka trzecia:

Pokłady, ich rozległość i rozpołożenie.—Łożysko Newcastle.—Łożysko południowej Esk.—Łożysko Jeruzalem.—Opis odłamów mineralnych w trzeciej epoce utworzonych.

Epoka czwarta:

Pokłady, ich rozległość.—Luźno rozrzucone mineralne substancje.—Wzniesienie brzegów.—Okruchy kości.—Szczątki nagromadzone w dolinach.—Zakończenie.

Dział IV. Klimatologia.

Wstęp.

Atmosferyczne wiatry i prądy.—Ciśnienie atmosfery.—Deszcze.—Parowanie.—Ciepło słoneczne i przezroczystość atmosfery.—Chłonięcie przez ziemię promieni słonecznych, promieniowanie czyli wydzielanie się ciepła.—Rosa i wilgoć atmosfery.—Temperatura.—Zakończenie.

Dział V. Botanika.

Wstęp.

Flora kopalna.—Dział węglowy.—Dział plioceniczny.—Flora teraźniejsza.

Dział VI. Zoologia.

Wstęp.

Flora kopalna.—Dział paleozoiczny: Polipy.—Mięczaki.—Dział plioceniczny: Mięczaki.—Ssące.

Fauna teraźniejsza:

Ssące.—Ptaki.—Gady i płazy.—Obrączkowate.—Ryby, Promienioste i Mięczaki.

Dział VII. O Krajowcach Nowej Południowej Walii i Ziemi Van Diemen.

Dział VIII. Rolnictwo.

Wstęp.

Gatunek gruntu, — Klasyfikacya. — Okolice pastewne i hodowla owiec.—Ulepszenia. — Ziemia (rolna) pod uprawę zdalna i uprawa jój.—Rozbiór gleby.—Ulepszenia.—Zakończenie.

W téj stronie Australii istniała niegdyś, a w małej liczbie utrzymuje się dziś jeszcze rasa ludzi, która zarówno jak okazy królestwa zwierzęcego, przedstawia wybitne cechy miejscowej strefy. Długo bardzo żyła ona nieznaną; teraz już szybkim krokiem do zupełnej zagłady zdąża. Historya tego ludu nie ma kronik ani pomników; treścią jój są podania, które tak jak język, zwyczaje, wyobrażenia, jak wszelkie warunki moralnego, społecznego i politycznego bytu, od chwili odkrycia tego plemienia, wydały się zbyt podrzędnym przedmiotem dla uwagi europejskich badaczy. Wszelkie spostrzeżenia dotyczące się krajowców, czy to w opisie dawnych żeglarzy, czy dzisiejszych podróżników, odnoszą się więcej do ich stosunków z osadnikami niż do ich stosunków z ludzkością.

Pochodzenie Australijczyków jest równie grubą ciemnością okryte, jak początek wszystkich niemal stwożeń w naturze. Dziejopis, któryby chciał koniecznie skreślić ich pierwotne wędrówki, wysledzić ogniwa łączące ich z jakimbądź główniejszym a zawsze jednak pierwotnym szczeniem rodu ludzkiego, miałby tak trudne zadanie przed sobą, jak i naturalista, któryby się pokusił o wytłumaczenie: z kąd się w Australii wzięły zwierzęta workowate i ornitorynksy? Nasuwa to oczywiście wniosek, że w naszych zacięvaniach się nad początkiem rodu ludzkiego, musimy poprzestać na prostych Biblii Świętej wskazówkach.

Zewnętrzny układ krajowców Południowej Walii i Ziemi Van Diemen, przedstawia cechy różnych innych pierwotnych plemion, u których także na wspólnym, typowym kształcie, piętno swoje odbić musiały zewnętrzne okoliczności: gatunek klimatu, wpływ odmiennych życia warunków i t. p. W Nowej Południowej Walii, gdzie ciepło sprzyja swobodnemu parowaniu ciała, a kąpiel stanowi prawdziwie rozkoszną uciechę, włosy mieszkańców są miękkie, połyskliwe; skóra jednolitej barwy, gładka i miła w dotknięciu. Przeciwnie w ziemi Van Diemen wilgotnej, nagłym zmianom

temperatury podległej, kąpiel przestaje być pożądaną ochłodą, parowanie ciała na ciągle przerwy narażone bywa, więc też i skóra jest trędowną, od wiatru zgrubiałą, chorobliwemi wysypkami zeszeconą; a włosy przedstawiają stek najobrzydliwszej nieczystości, która to znów nieczystość — dla oszczędzenia grożących krajowcom w skutku ich nieporządku następstw — staje się przyczyną jeszcze wstrętniejszych zwyczajów (1).

W ogóle kolor skóry wszystkich tutejszych rodzinnych plemion, jest ziemisto-czarny. Wzrost mężczyzn od czterech i pół do pięciu i pół stóp dochodzi; głowę mają małą, tułów delikatnej budowy, piersi zwykle wypukłe i dobrze rozwinięte; ramiona i gole nie krągłe a muskularne; kolana nieco za duże, łydki chude, stopy płaskie; pięty trochę wystające. Włosy ich powszechnie czarne, grube, ostre i proste; niektórym jednak miękko w pierścieniu się wija, lecz za to u innych wełniste są jak u mieszkańców Afryki. Zarost brwi, wyższej wargi, brody, piersi i kości wstydliwiej, gęsty jest i bujny; zdarza się czasem, że z lekka nawet całe ciało pokrywa. Twarz, to najcharakterystyczniejsze znamię każdej rasy, u nich przedstawia kąt rozwarty między 75° a 85° ; czoło mają niskie, oczy wielkie, szeroko od siebie rozsądzone, nawpół przyślonione górną powieką, z białkiem najczystszej białości gdzieniegdzie żółto nakrapianém, z czarną dużą źrenicą i tęczówką nieodmiennie ciemno-piwnego koloru. Ponieważ otwory oczne są nadzwyczaj wydatne, nos zawsze bywa szeroki, spłaszczony, uwydatniają go tylko nozdrza mocno otwarte i rozdęte. Kości szczęk górnych są także bardzo wypukłe, ztąd policzki zapadłe, usta w szerokiem rozcięciu świecą białemi zębami i mają grube wargi; szczęka dolna jest krótka, ale nad miarę ku przodowi wystająca.

Wzrost kobiet jest niski, twarz krótkością swoją i rysami zupełnie męskiej podobna, piersi zamiast kształtu półkulistego, u dziewcząt dojrziałych przybierają kształt ostrokągowy, a wkrótce po zamężciu tracąc go, stają się miękkie i obwisłe. Ramiona bywają chude, ręce drobne, miednica niezwykle wązka, dolne kończyny cienkie i wątłe, stopy duże, płaskie; nogi zawsze ku środkowi zwrócone. Ustrój kostny (osteologia) tych plemion nie przedstawia żadnych różnic anatomicznych, któreby za właściwą im cechowść poczytane być mogły. Utrzymywano kiedyś, że na niektórych trupio-głowach, w czołowych i twarzowych kościach,

(1) Nadmieniam tu o zwyczaju nacierania głowy mieszaniną gliny, czerwonej ochry i tustości rybiej dla wytepienia rozmnażającego się robactwa.

spostrzegać się dawały pewne już stanowczo cechowe odrębności, bliższe jednak badania, - liczniejzszymi porównaniami wsparte, udowodniły, że zamiast wspomnianych różnic, spotykają się właśnie zupełne podobieństwa z trupio-głowami białych ludzi. W wielu okazach zauważano nawet, że kąt twarzowy u białych był ostrzejszy, kość brwiowa, środkowe skostnienie kości ciemieniowej i osada tylnój kości czaszki, więcej rozwinięte, a dolna szczeka bardziej na przód podana niżeli przy czaszkach krajowców.

Bądź co bądź, pomimo częściowej niższości w budowie niektórych szczegółów, mieszkańiec Nowej Południowej Walii i Ziemi Van Diemen ma proporcjonalną postawę. Jego członki cieńsze i mniej mięsiste niż członki kształtnego Afrykańczyka, przedstawiają tę samą symetrią w dobrze rozwiniętej muskularności i silnie wiążących się stawach, tę samą krągłość, która cechuje murzyna, dlatego też porównany z tym ostatnim, krajowiec Australii szybszy jest w ruchach swoich i powabniejszy w chodzie. Jego lekkość, zręczność i gibkość najkorzystniej się wydają, gdy biegnie, gdy się wdziera na wysokości, lub upędza za zdobyczą; a kiedy uderza na nieprzyjaciela, kiedy wstrząsa i rzuca włócznią swoją, to zaiste postawa jego wtedy pod względem męskiego wdzięku nic nie zostawia do życzenia. W jego powierzchowności nie spotykamy jednak żadnych rysów, które dałyby nam prawo zaliczyć go do wspólnego działu, lub témbardziej utożsamić z jakim bądź lepszym znanym rodem ludzkości.

Mowa Australijczyków w składzie wyrazów swoich posiada to szczęśliwe ustosunkowanie zgłosek, jakie właśnie wysoko-harmonijny i dźwięczny język stanowi; wymawianiu ich wszelako brak zupełny czystości; nadają mu bowiem ów ton nosowy, który też słyszymy we wszystkich do nowego świata przeniesionych rzeczach europejskich (1). Z ułamkowo zebranych wiadomości byłbym dość skłonny zaliczyć język australijski do języków przekładnych (transpositives), niezależnych od przedimków i zaimków, gdyż przypadek i osoba określają się odmianami końcówek (inflections). Badania naukowe nad tym językiem tak były zresztą za-

(1) Z żalem to przyznać trzeba, że przez niedbałość, czy też z innego, powodu czystość wymawiania angielskiego, hiszpańskiego i portugalskiego języka wiele ucierpiała, skoro tylko niemi za granicami starego świata mówić poczęto. Tak np. rażące nosowe przeciąganie, które czyni język angielski Stanów Zjednoczonych przedmiotem ciągłych żartów gminu, zarówno spotykać się daje w angielszczyźnie południowej Ameryki, Nowej Hollandyi, Van Diemenu, jako też w używanej w Chinach na Wschodzie.

niedbane, że wszelkie uwagi odnoszące się do jego składni, należy z wielką ostrożnością przyjmować (1).

Dykcjonarz tutejszego języka—o ile zebrany został—jest dość ubogi; w skutek zaś angielskiej pisowni wyrazów, dykcjonarz ów, a właściwie mówiąc wokabularz, nie podaje wcale dokładnego wyobrażenia o dźwiękach i iloczasiu. Trzej krajowcy, którzy towarzyszyli kapitanowi Kingowi i kapitanowi Flindersowi przy rozpoznawczém zwiedzaniu Nowej Hollandyi, jako też ci, którzy mnie samemu towarzyszyli wśród różnych pokoleń Nowej Południowej Walii, nie mogli rozumieć ani jednego słowa z mowy używanej przez ludy innych okęgów. Ta okoliczność nasuwa przekonanie, że dyalekta Nowej Hollandyi nie posiadają ani powinowactwa, ani témbardziej dostatecznych cech jednolitości, z którychby o ich wspólném pochodzeniu wnioskować się dało. Na poparcie wspólności europejscy podróżnicy i badacze przytoczyli ze sto podobnych brzmieniem, składem i znaczeniem wyrazów, w całej Nowej Hollandyi powszechnie niby używanych: bodaj jednak czy nie zbyt spiesznie zdanie swe wypowiedzieli. Oprócz wielu nieuniknionych trudności, jakie przedstawiają zaciekania się tego rodzaju, była jedna, która już sama przez się udaremnić mogła wszelkie ich w tym celu usiłowania, a mianowicie: niezajomość składni tego języka, który właśnie pod rozbiór wziąć chcieli.

Bez wątpienia każdy, kto się wyuczył czterech języków europejskich i dobrze niemi mówi, ten wie, że jeśli ze słuchu pochwyciwszy wyraz jednego kraju, zechce go się w dźwięku i iloczasiu porównać z wyrazem należącym do innéj krajowości, trzeba pierwój doskonale przyswoić sobie ducha i alfabetyczne brzmienia obu narzeczy, gdyż przez to jedynie wymawianie rozróżnić można. I tak: ci tylko, co znają budowę języka polskiego, potrafią brzmienie *szczaśw'* właściwie wymówić, a spotkawszy w języku rossyjskim wyraz tego samego znaczenia i tak samo brzmiący, mają prawo tożsamości obu wyrazów dowodzić. Nawzajem dla Polaka nieobeznanego z angielską i hiszpańską mową, będzie prawie niepodobném tak dokładnie brzmienie *th* zapamiętać, by odnaleźć późnijéj równoważnik jego w *c* lub *z* jak się je wymawia np. w *Andalus* (2).

(1) Między badaniami tyzącami się języka plemion polinezyjskich, najwiarogodniejsze jest badanie misyonarzy amerykańskich, którym się udało ustne narzeczce wysp Sandwich pod prawidła składni podciągnąć.

(2) W różnych opisach wysp Oceanu Południowego wszystkie ich języki obejmują ogólną nazwą języków polinezyjskich. Według mego doświadczenia jednak przekonaniem

Niedokładna znajomość nasza języków Australii jest nam również przeszkodą do zbadania siły, działalności, kierunku i postępu w umysłowym rozwinięciu jęz krajowców (1). Pojedyncze, łatwiej dostępne spostrzeżeniom szczegóły, upoważniają mię do wniosku, że w powyżej wzmiankowanych władzach instynktowy rozsądek poparty szybkim objęciem i trwałą pamięcią, od czasu do czasu przyćmiony pomyłkami lub nadużyciem bujnej wyobraźni, jest jedynym w zupełności rozwiniętym darem umysłowym tej rasy i służy jęz za wyłączny ster życia.

Natura rządu i religii krajowców Australii równie jest tajemniczą jak duch ich języka. Jeden fakt niewątpliwym się zdaje: wierzą w Boga. Lubo w ojczystej mowie nie mają dla niego osobnej nazwy, określają go jednak po angielsku (gdy się angielskich wyrażen poduczają) Wielkim Władcą (Great Master) i uważają się za jego niewolników; ztąd też może pochodzi, że ani dar życia, ani środki do podtrzymania tego życia im udzielone, nie budzą w nich wdzięczności i potrzeby jakiegoś odwzajemnienia. To wszystko, co im wskazują jako łaskę Opatrzności, zasługującą dla tego właśnie, że jest łaską, na ich względność, oni uważają sobie za proste spełnienie powinności Wielkiego Władcy, który z obowiązku przecież musi mieć o nich staranie. Wierzą prócz tego w nieśmiertelność duszy, t. j. życie pozagrobowe wśród wiecznie

się, że język gromady Markizów nie ma żadnego podobieństwa z używanym na gromadce Gambier i archipelagu Przyjacielskim, również jak ten ostatni w żadnym nie zostaje powinowactwie z mową wyspiarzy Sandwickich. Niedorzecznem jest także przypuszczenie, jakooby jeden język malajski używany był na wszystkich wyspach Malajskich, ponieważ Jawa, Lumbock z 1,000,000, a Bailly z 300,000 mieszkańców używają czterech odrębnych języków. Dla zrozumienia każdego z nich, trzej tłómacze wcale mi nie byli zbytbytecznymi. Po za temi wyspami jeszcze: Cyklopy, Temos i wyspy Sandałowce zupełnie się różnią nietylko pod względem języka, ale pod względem obyczajów i religii.

(1). Geografia fizyczna opisując człowieka dzieli go dotychczas na klasy, według cech, jakie przedstawia zewnętrzna jego organizacja: filozofowie rozważając jego przeznaczenie, odrzucają tę klasyfikacyę i widzą w nim tylko członka całego rodu ludzkiego; może jednak niedalekim jest dzień, w którym i filozofowie i naturalisci przyznają, że prawdziwą zasadę klasyfikacyi stanowi doskonała zgodność instynktu i władz umysłowych każdej rasie właściwych, z miejscowemi okolicznościami, wśród których taż rasa przebywa. Zbadanie tego instynktu, który może być uważany za przewodnika w polityce i obyczajowości każdej rasy, było dotychczas pomijane, a to pominięcie właśnie, stało się obfitým źródłem wszelkich błędów i niepowodzeń, tak politycznych jako i religijnych reformatorów, którzy w sprzeczności z historją przeszłych i terażniejszych wieków, pracują nad ściągnięciem wszystkich ras ludzkości pod jednostajną miarę tych samych zwyczajów i urzędzeń.

trwałej rozkoszy pędzone, a miejsce tego pobytu znaczą sobie na gwiazdach i konstellacyach, które wcale dokładnie umieją rozróżnić. Nie obawiają się bóstwa; całą trwogę swoją zachowują dla złego ducha, bo ten ciągle się działaniu Wielkiego Władcy sprzeciwia; cześć ich też religijna, wyłącznie ku złemu duchowi zwrócona.

Trzy są klasy, a raczej trzy towarzyskie stopnie między Australijczykami; dostępuje się tych stopni prawem wieku i okazaną pokoleniu swemu wiernością. Ostatnia, czyli trzecia klasa złożona prawie zawsze z niewielkiej liczby najsędziwszych latami mężów, uczestniczy już w szczegółowej znajomości wszystkich tajemnic religijnych, i dzierży równie tajemną władzę nad sprawami pokolenia.

Do pierwszej i drugiej klasy młodzi ludzie wstępują pośród obrzędów w wielkiej skrytości odprawianych, najsurowsza jednak ostrożność pod tym względem zachowuje się wtenczas, gdy mają kogo do klasy trzeciej posunąć. Jedno lub dwa pokolenia obecne są zwykle zebraniom pierwszej równie jak drugiej klasy, lecz jeśli zwoływana ma być klasa trzecia, gromadzą się ludy z siedmdziesięciu mil angielskich dokoła: mnie zaś raz w podobnej okoliczności przestrzeżono, żebym się oddalił. Rzeczywiście, bez osobistego niebezpieczeństwa zbliżyć się do punktu zbornego więcej nad mil dziesięć nie mogłem.

Zasady ich budowy społecznej tak jak wśród ucywilizowanych narodów, opierać się zdają na wrodzonym poczuciu sprawiedliwości i własności. Własność równie silnie przywiązuje do siebie plemiona australijskie, jak wszelkie polityczne państwa Europy; ku jej zabezpieczeniu używają też środków naszym podobnych. Kara i zemsta u nich, za przełamane pod tym względem prawo, nosi takż sam charakter, jak u każdego europejskiego narodu w odpowiednich okolicznościach. Jeżeli w porze łowów granicę ich okręgu sąsiednie pokolenie naruszy, żądają wynagrodzenia szkody, lub zadosyćuczynienia za wyrządzoną zniewagę; gdy im to jest odmówionem, wypowiadają wojnę. W razie odwagi i siły równej ze stron obu, wojna kończy się nienawiścią przekazywaną zstępnęj potomności. Każde pokolenie dzieli się na rodziny, te zaś w sprawach własnych rządzą się powagą starszych. Niezależne od tej władzy są jednak zwyczaje, obrządki zachowywane z okoliczności urodzin, małżeństw, ślubów, pogrzebów, uroczystych zebrań i t. p.; takowe bowiem odbywają się według bardzo surowo, w drobnostkach nawet, przestrzeganej tradycyi. Większa

część przesądnych praktyk, do praw gościnności się odnosi (1) i przedstawia ściśle podobieństwo ze zwyczajami, które autor zauważył wśród ludności koczującej na łąkach Ameryki Północnej, między Indyanami Południowej Ameryki i na niektórych wyspach Oceanu Południowego.

Ta analogia zdaje się dowodzić, albo że Australijczycy na drodze cywilizacyjnego postępu w ustroju społecznym równego dosięgnęli stopnia; albo też, że jednakowe u nich zwyczaje i zabobony wyniknęły z jednakowych celów, namiętności, skłonności i wymagań. Umysł ich przesądny zwraca pilną uwagę na przebieg każdego wypadku, i odpowiednio do tego usiłuje z terażniejszości wróżyć wyciągnąć na przyszłość: ztąd tajemnicza wiara w złe i dobre przepowiednie, więzi wszystkie chwile istnienia Au-

(1) *Wyjątek z Dziennika Autora.* Z ostrego wierzchołka góry dostrzegliśmy, nakoniec wśród gęstych zarośli dawno upragnione źródło wody, otoczone dokoła dymiącymi się wigwamami koczującego pokolenia. Ogarnęła mnie szalona niecierpliwłość, by zaspokoić co prędzej trawiące nas od dni kilku pragnienie. Nabrałem ducha, nowe siły wstąpiły we mnie, i dążyłem nierozważnie ku pożądanemu miejscu. „Stój, na miłość Boga! zawołał mój przewodnik: stój, bo inaczej zgubieni jesteście.“ Pochwycony przez niego zatrzymać się musiałem; zmieniliśmy kierunek kroków naszych, a szedłszy do stóp pagórka, zamiast wejść w okrąg zamieszkałych szałasów, rozłożyliśmy się na ziemi o jakie 60 jardów (łokci amerykańskich). Z piętnaście minut upływało—już gniewna niecierpliwłość, dolegliwe udręczenie głodu i pragnienia miały przełamać zakreślone rozsądkiem granice, gdy z najbliższego szałasu rzucono nam kawałek palącego się drzewa. Przewodnik mój wstał, umiarkowanym krokiem poszedł go podjąć, wróciwszy rozniecił ogień, położył na nim opossa, którego mieliśmy w zapasie, a kładąc się nanowo z dawną flegmą i ukradkiem, z boku tylko ciekawe rzucając spojrzenia, kij swój żuć począł. Po dziesięciu minutach stara kobieta wyniosła z obozu bańkę wody i postawiła ją we środku między naszym a ich ogniskiem. Po bańce z wodą wyniesiono w podobny sposób rybę ułożoną na czystym kawałku kory; wszystko to mój przewodnik do mnie znów przynosił. Zaspokoilem prędko głód i pragnienie, strudzony niezmiernie przymykałem już do snu powieki, gdy z koczującego obozu zbliżył się ku nam starszy człowiek. Przewodnik spotkał go w połowie drogi; nastąpiła rozmowa, w której z jednej strony badano, z drugiej tłómaczono powody mojej podróży. Za powrotem starca sprawa ta przeraźliwym i piskliwym głosem opowiedziana została całemu zgromadzeniu. Nastąpiło potem kilka chwil milczenia; aż wreszcie zamiast spodziewanego zaproszenia do obozu, odebraliśmy rozkaz, byśmy natychmiast odeszli. Opór był niemożliwy; musieliśmy usłuchać i zaraz w dalszą puściliśmy się drogę. Mieszkaniec Australii tedy, jak widzimy, pełne prostoty dziecko natury, wierny jej dobrym natchnieniom w wypełnianiu obowiązków gościnności, postępuje wręcz przeciwnym nam sposobem. On najpierw zaspakaja potrzeby wędrowca, a dopiero potem zadaje pytania, które wśród naszej cywilizacji poprzedzają i określają zazwyczaj rodzaj i ilość mającej się udzielić pomocy, a często bardzo przyspieszają zupełną jej odmowę,

stralijczyka w nieprzerwany łańcuch niepokoju, obawy, nadziei i przeczuc. Życie jego, jak życie Araba, mimo pozorniej jednostajności, posiada warunki podniecające nieskończoną różnorodność wrażeń przykrych lub przyjemnych. Jego poezya zdradza takąż samą ruchliwość i takż sam nadmiar fantazyi, jak jego zabobony: charakter jój liryczny, dziki jest i pierwotny, lecz wyłączona z niej miłość, ten najpiękniejszy żywioł wszelkiej poezyi. Mistycyzm, czasami odwaga w boju, częściej jeszcze rozpusta i wystawianie zmysłowych rozkoszy, ulubioną jój treścią bywają. Raz ułożona— w formę śpiewu, nigdy zaś w formę deklamacyi nie ujęta— z zadziwiającą szybkością przechodzi do wszystkich pokoleń mówiących tym samym językiem. Wędrówki, polowanie, rybołówstwo, wojny, uroczystości, spoczynek nareszcie w miejscach najlepiej się do tego nadających, to cały czas życia Australijczyków wypełnia. Nie znają oni udrczeń ambicyi, chciwości, nie tęsknią i nie nudzą się smutną rzeczywistością; nie doświadczają nieszczęść spowodowanych prześladowaniem i uciskiem, chorób wynikłych z zepsucia obyczajów, lub nieprawidłowych stosunków towarzyskich; obce im są troski i niepokoje towarzyszące sztukom pięknym, naukom i przemysłowi; tego wszystkiego oszczędziły im fizyczne warunki położenia ich kraju, bogactwo i różnorodność darów hojnej Opatrzności. Wierne stosowanie się Australijczyka do praw natury, sowitą otrzymuje nagrodę w silnym zdrowiu i błogiem zadowoleniu z przypadłego nań losu. Mało jest przedmiotów tak żywo zajmujących dla filozofa, jak zbieranie różnych spostrzeżeń nad Australijczykami w ich własnych jeszcze niezagrabionych siedzibach. Najoczywistszym dowodem może bezgranicznego szafunku łask Stworzyciela jest poprostu samo życie tych, których biały człowiek w swojej dziwnej zarozumiałości, w swoim przywiązaniu do zwyczajów i bogactw światowych, napiętnował mianem: — „dzikich, nikczemnych, nieszczęśliwych nędzników.“ Takiemu jednak, co się otrząśnie z więzów zacieśnionego uprzedzenia sposobu myślenia, takiemu, co się przyjrzy ludzkości i badać ją będzie w ciągu dalekich podróży swoich—bardzo jasnym się to okaże.

Opatrzność tyle wytknęła dróg do zadowolenia i szczęścia, ile jest odmiennych ras ludzkich. Kto się przypatrzy pogodnej, spokojnej, łagodnej, choć przytępionej ożywionej powierzchowności mieszkańców Australii, kto się przypatrzy ich tańcom, przysłucha ich śpiewom, tym niekłamany objawom doznawanej uciechy, ten rzeczywiście w widoku ich znajdzie dowodne potwierdzenie owę niewyczerpanę dobroci i mądrości Bożej, w które pierwę tylko na mocy wnioskania wierzył. Australijczyk z woli Stwórcy sta-

wiony w doskonałej harmonii z prawem natury—gdy jest na odpowiedniem sobie miejscu i spełnia właściwe sobie przeznaczenie—zaspakaja, jak widzimy, wszystkie potrzeby swoje, urządza wszystkie swoje sprawy społeczne, zabezpiecza sobie cały zasób doczesnego szczęścia i najżywszych uciech, do jakich w położeniu swoim jest zdolny.

Przybycie Europejczyków zakłóciło tę błogą równowagę; ogniska krajowców, podobnie jak wigwamy amerykańskich Indian, ustępują lub znikają przed potokiem napływających przybyszów. Różnogatunkowe klęski (1), a zwłaszcza stopniowy upadek i ostateczna zagłada ras krajowych, zagłada, która już nastąpiła i która zawsze następuje przy ich zetknięciu się z rasą białą, jest faktem tak powszechnie z dziejów wiadomym, że smutny przykład, losu Australijczyków ukazuje się tylko jako dalszy ciąg wypadków stwierdzających straszliwą siłę zabójczego wpływu jednej rasy na drugą.

(1) Handel niewolnikami—piętno, które nikczemna chciwość wycisnęła na cywilizacji europejskiej—jest jednym z najokropniejszych nieszcześć w naszych stosunkach z tamtejszymi krajowcami. Anglia godnie pomściła sprawę pokrzywdzonej ludzkości, stając na czele najszlachetniejszej krucjaty, dla zniesienia tak haniebnego handlu przedsięwziętą. Gruba niewiedomość, chyba o klęskach i zbrodniach, jakie ów niecy frymark ludzkiem ciałem sprowadza, mogła jedynie chrześciańską politykę angielskiego narodu spotwarzyć do tego stopnia, by jej nadać znaczenie bezprawnych i podstępnych intryg, których celem miał być upadek Brazylji i wysp Antylskich, a dalszy rozrost potęgi Indji Wschodnich.

Ci, którzy w odwrotną, abstrakcyjnie pojętą zasadzie niewolnictwa, nie widzą nic ubliżającego prawodawstwu naszego wieku, niech zastanowią się nad nieszczęściem wynikającym ztąd dla pojedynczych osobistości, a uczucie oburzenia, jakiego doznać będą musieli, wystarczy na udowodnienie i odparcie fałszu tak zużytej teorii.

Do niezliczonych i ciągłe prawie przedstawianych publiczności obrazów tych cierpień, jakich handel niewolnikami powodem się staje, dodam jeszcze następujący, którego sam naoczny byłem świadkiem. Zapisano to w dzienniku moim z 1836 r. *

Rio Janeiro 22 Stycznia 1836 r. Wczoraj fregata Jéj Kr. Mości królowej Wielkiej Brytanii „Satellita“ pochwytiła niedaleko brzegu i przyprowadziła do portu bryg zajmujący się handlem niewolników. Poszedłem dziś odwiedzić tych nieszczęśliwych. Jakkolwiek przygotowany byłem na straszny widok, który z dniem każdym, dzięki Bogu, rzadszym się staje, wyznać muszę jednak, iż rzeczywistość o wiele przewyższyła pojęcia, jakie sobie wyobraziłem utworzyłem o tej ostatecznej nędzy ludzkiej. Skoro spojrziałem na pokład brygu, uczułem coś takiego, jak gdyby nagle ogniwa łączące mnie z cywilizacją, zerwane zostały. Bylbym się cofnął, gdyby nie konsul angielski pan Heaseth, który będąc za mną na drabinie, posunął mnie dalej.

Na statku o 100 tonnach, między pomostami niewyżej nad 3 stopy wzniesionem, trzystu niewolników obojój płci razem było natłoczonych tak szczelnie, że przestrzeń między kolanami jednych, wypełniona była ciałami drugich ofiar. Pot ich oblewał; nurzali się w nieczystościach. Oddech ich, mieszając się z cuchnącemi wyziewami,

Ci, dla których kwestya owego upadku i zagłady nabrała bolesnej ważności i wzbudziła, jak na to zasługuje, głębokie zajęcie, pilnie badali: z jakiego powodu ten wpływ tajemniczy, niby złośliwy sprzymierzeniec białego człowieka, wszędzie za jego śladem zniszczenie roznosi? Badania te jednak, istne śledztwo sądowe jednej rasy nad trupem drugiej, skończyły się po większej części zaświadczeniem: „Umarła z woli Bożej.“

Inni autorowie wszelako, ożywieni tą nadzieją, że odkrycie szczegółowych, więcj w granicach władzy ludzkiej leżących przyczyn, może ułatwić wynalezienie zaradczych środków; ciągnęli dalej chwalebne poszukiwania swoje. Przypuściwszy ostatecznie, że upadek ów był następstwem braku ewangelicznego wykształcenia, ciemniństwa rządów, niewstrzeżliwości, chorób europejskich, wojen prowadzonych palną bronią i t. p.—szukali ratunku w śpieszném zaprowadzeniu chrześcijaństwa i cywilizacyi. Wobec tych usiłowań zło coraz groźniejsze przybierało rozmiary.

Dla autora niniejszego dzieła, człowieka, który w swoich wędrówkach po za Europą, mógł czynić spostrzeżenia nad różnorodnemi plemionami: mieszkańcy Kanady, Stanów Zjednoczonych, Kalifornii, Meksyku, Rzeczypospolitych Ameryki południowej, mieszkańcy

jedyną dla nich atmosferę stanowił. Trawiące ich straszliwie pragnienie bardziej rozdrażniało się tylko dziesięciu uncjami wody, które im jako dzienną porcją wydzielano. Promienie zwrotnikowego słońca rozpałały pomost przytlaczający ich głowy, a szaleństwo spowodowane takim stanem cierpienia, piątą część z nich o śmierć już przypawiło. Wśród nieszczęśliwych istot, które pozostały, wielki Boże! co za widok! Dzieci, kobiety, mężczyźni natłoczeni we wszelkich możliwych ciału ludzkiemu zgięciach i postawach, konwulsyjnym rzucaniem się dziko objawiali radość, zdziwienie, nadzieję, twogę, poszanowanie i boleść swoją. Ciała ich obnażone i wynędzniałe, pokryte ranami, streszczały historią ich krzywd i dolegliwości, przedstawiając wymowniej niżliby to ich język mógł uczynić, bezbożne okrucieństwo handlarza niewolników. Ślady knuta (chicote) na ich plecach świadczyły o zastosowaniu leżącego przed nami narzędzia, którego dowolnie, wedle chwilowej fantazyi, używali chrześcijanie XIX stulecia. Między temi ofiarami chciwości i barbarzyństwa Europejczyków—większych ludożerców od tych, którym sami nadają to miano—były kobiety ciężarne; kilka z nich wydało na świat dzieci w tém okropnym położeniu, wobec mężczyzn, wśród niezrównanych udręczeń i męczarni.

Od chwili ujęcia okrętu starano się wszelkimi sposobami oczyścić powietrze, przynieść ulgę biednym Afrykańczykom—nie szczędzono trudu, zastosowano wszystkie znane ludzkiemu miłosierdziu środki pomocnicze, a jednak przy gorącym 96° powietrze na okręcie było tak okropne, że w niem dłużej nad piętnaście minut wytrzymać nie mogłem. W tym krótkim czasie mego pobytu dwóch ludzi ostatnie wyzionęło tchnienie, a kobieta, gotowa sama odejść wkrótce za nimi, dziecku życie dała. Pióro wypada z ręki—twarz ukrywam ze wstydu i upokorzenia na myśl o klęskach spowodowanych przez występkę bliźnich moich.

wysp Markizyjskich, Sandwickich, Przyjacielskich, a ostatecznie Nowej Zelandyi i Australii, dostarczyli przedmiotu do zupełnie innych uwag; uwagi zaś te przedstawia czytelnikowi *nie koniecznie jako dowody stanowczego wniosku*, ale jako proste szczegóły, mogące w tym ważnym przedmiocie ułatwić fizyologom badania, które więcej niezawodnie do ich zakresu niż do zakresu moralistów i ekonomistów należą.

Jest to faktem ogólnie stwierdzonym, że ubytek mieszkańców w krajach wyżej przytoczonych rozpoczynał się wkrótce po odkryciu i poddaniu każdego z nich obcym wpływom nowo-przybyłych. Tu się nasuwa pytanie: czy przyczyną ubytku było zwiększenie się śmiertelności, czy zmniejszenie liczby przybywających na świat dzieci?

Badania nad rodzimymi plemionami każdego kraju, jak np. nad temi, które pamiętają pierwszą wojnę Amerykanów w Stanach Zjednoczonych—rządy Jezuitów w Brazylii, St. Borjé, Parana i Niższej Kalifornii—przybycie Cooka lub innych żeglarzy na wyspy Oceanu Północnego: Nowej Południowej Walii i Ziemi Van Diemen, przekonywają, „że długość ich życia się nie skróciła, że nie powiększyła się także liczba śmiertelności, ale tylko siła rozradzania pomniejszać się zdaje.“

Po bliższem zbadaniu tego przedmiotu okazało się, że mężczyzna nie jest wcale powodem takiego ograniczenia siły rozrodczej, owszem najwybitniejsze fakta w ciągu dalszych spostrzeżeń przekonały, że trzeba je wyłącznie samej tylko kobiecie przypisać.

W rzędzie owych spostrzeżeń, najgodniejszy uwagi, bezpośrednio głównej kwestyi dotyczący jest związek między kobietą miejscową i Europejczykiem—stosunek często zachodzący w tamtych stronach, już to w skutek zwyczajów i krajowych pojęć o gościnności, już to w następstwie naturalnego płciowego pociągu. Ilekrót to się zdarzy, dowiedzionem jest, że kobieta traci władzę poczęcia płodu, przy odnowionych stosunkach z mężczyzną własnej rasy, a zachowuje takową jedynie w stosunku z białym człowiekiem.

Setki przykładów tego samego faktu zapisane w pamiętnikach autora, dowodzą wszystkie, iż niepłodność kobiet względna do jednego, a nie do drugiego mężczyzny i powtarzająca się niezmiennie wśród tych samych okoliczności między Huronami, Seminolami, Czerwonymi Indyanami, Yakiesami (Sinaloa), między Indyanami z Mendozy i Araukanii, między ludnością wysp Oceanu Południowego: Nowej Zelandyi, Nowej Walii i Ziemi Van Diemen, że

względna ta nieplodność, mówimy, nie jest przypadkową, ale bywa następstwem praw niezłomnych, lubo równie dla nas niedocieczonych, jak wszystko, co się w naturze do tajemnic stworzenia odnosi.

Do tych bezpośrednich, chociaż ukrytych przyczyn upadku krajowej rasy, należy dodać inne, groźniejsze daleko, bo szkodliwymi następstwami przyprowadzające miejscowe kobiety do zupełnej bezplodności. Wśród tych przyczyn, upowszechniona choroba *leucorrhœa*, grasuje z niezwykłą zjadłością i przedstawia jeden z ważniejszych objawów nie tylko dlatego, że często niepoznana poczytywaną bywa przez wielu za mniej znaczący symptomat elephantiasis (gatunek trądu), ale że jej początek u kobiet miejscowych sięga chwili przybycia do nich kobiet europejskich.

Jakikolwiek jednak może być powód upadku i zagłady krajowców w Nowym Świecie, to rzecz niewątpliwa przynajmniej, że pośrednictwo ludzkie w powstrzymaniu tych smutnych następstw nie okazało się skutecznym i że przywilój kolonizacyi nadany jednej rasie, staje się dla drugiej rasy rzeczywistym śmierci wyrokiem.

W południowej Nowej Walii od chwili, jak los Australijczyków obudził współczucie publiczności, ani usiłowania missyjonarzy, ani postanowienia rządu, ani témbardziel troskliwość „opiekunów“ nie przyniosły pożądanego skutku (1).

(1) Odkąd prawnie uznano, a raczej sofizmatem prawnym osądzono, że krajowcy są nielegalnymi właścicielami ziemi, której nie uprawiają, zaczęto obchodzić się z Australijczykami, jako z bydłem przybłądą, a w układach, na mocy których Nowa Walia przeszła w posiadanie Anglii, nie więcej im też jak kangurowi pozwolono głosować.

Z czasem jednak w ciągu rozwijającego się osadnictwa, kilku ludzkością przejętych badaczy zwróciło na to uwagę, że ten człowiek jest przecież wyższym od świata zwierzęcego i podnieśli w jego obronie głos tak skutecznie, że publiczność ojczystego kraju, przechodząc z obojętności w nieograniczoną troskliwość, natychmiast zawezwała go do współdziałania w dobrodziejstwach chrześcijaństwa i cywilizacyi. Ten współdziałanie jednak ograniczał się na tém, co lew uczestnikom łowów swoich zostawiał. Australijczyk odrzucił jedno i drugie, schronił się w gęszce niedostępnych zarośli, a przyciśnięty głodem, napadał trzody, które zapędzały się w granice jego myśliwskich okręgów, i zabierał je podstępem lub przemocą. Wyniknęły ztąd smutne starcia między nim a pasterzami. Oburzenie ogólne przeciw tym nadużyciom doszło do Anglii. Tutaj nie znając okoliczności, które odwet wywołały, ujęto się jedynie za krzywdą krajowców. W imię szczerzej filantropii utworzono nowe stowarzyszenie, by niedostateczności missyjnego działania zaradzić. „Opiekuni“, wysłani przez stowarzyszonych dla poparcia sprawę krajowców, utrudnili tylko położenie. Przybycie ich między niesfornych, rozdrażnionych, mściwych Australijczyków, zamiast uspokoić, przeciwnie, uzuchwiliło ich do tego stopnia, że w chwili kiedy piszę (Port Stefana, Nowa Walia, Styczeń 1843). łupieżę ich otworzyły pole czynności dla nowego stowarzyszenia „opieki nad białymi.“

Lubo w przekonaniu autora, mieszkańcy Nowego Świata, gdziekolwiek Europej-

Zawiodły tedy starania podjęte w celu ucywilizowania i zchrześcianaenia krajowców. Spodziewano się, że będzie można zachować i podnieść ich rasę—à jednak z pewną pociechą, lubo i z przykrością pewną wyznać musimy, że *tak chrześcijaństwo, jak i cywilizacya, nie były przeprowadzone z duchem odpowiednim wzniosłym swoim zasadom*. Z całej wschodniej okolicy, niegdyś bardzo ludnej, dziś zupełnie opustoszałej, krajowcy ustąpili przed białymi;

czyk zbliży się do nich, mają na czole wyryty niecofniomy już wyrok zagłady: niemniej wszelako autor i o tém nie wątpi, że takie przeznaczenie krajowców w ogóle, a Australijczyków w szczególności, mogłoby opóźnionem być i mniej smutnem, gdyby rząd wziął na siebie inicjatywę w reformach, a nie zostawił ich prywatnym stowarzyszeniom. Kwestya admi istracyi tuziemców, nie jest wyłącznie kwestyą religijną i filantropijną: zarówno dotyczy ona i polityki, więc też powinien ją rząd rozstrzygnąć *a principio*.

Należało się Australijczyka ogłosić zhołdowanym: byłby to zrozumiał, byłoby to mu najlepiej wyswieciło jego względem białych położenie, które mu dzisiaj tak trudno jest określić; należało utrzymać i wspierać jedność pokoleń, mających już potrzebne żywioły społecznego porządku i zdolność kierowania wewnętrznemi swojemi sprawami; należało uznać krajowca małoletnim we wszelkich stosunkach z białymi, póki wrodzone instynkta rasy jego nie byłyby pokonane duchem chrześcijaństwa i cywilizacyi; nadto jeszcze, wypadalo zabezpieczyć jego utrzymanie, dostarczając mu w pewnych dniach tygodnia chleba i mięsa. Takie postępowanie byłoby zadowolilo wszystkie jego wymagania w politycznem i fizycznem życiu, byłoby ułatwiło misyonarzom przeprowadzenie ich szczytnego dzieła, byłoby nakoniec oszczędziło krwawych zapasów, które nierozsądna polityka wywolała.

W obecnym stanie rzeczy święta nauka przez misyonarzy opowiadana, przewróciła tylko zasady regularnego ich rządu, i ztąd zupełne rozprzężenie nastąpiło. Głos chrystyanizmu, głos bezinteresownej, duchowej, religijnej wiary, okazał się bezskutecznym, wśród cywilnego nieładu. Ci, którzy mieli sobie powierzone kierownictwo tej sprawy, widząc się zagrożonymi, dla własnego bezpieczeństwa siłą dobijali się władzy. W niektórych miejscowościach jak na Sandwich, na wyspach Przyjacielskich, Towarzyskich i Gambier, władza najwyższa łatwo popadła w ich ręce; gdzieindziej, jak np. w Nowej Zelandyi, Nowej Południowej Walii, w Ziemi Van Diemen stawiono jej opór. Wszystko, co misyonarze czynili dla zapewnienia sobie ustalonej przewagi, nieraz było zniesławiane w Europie, jako zaborczość godna dawnych Jezuitów. Zarzut ten równie ciężki jak niesłuszny, sprawiedliwiej należy się ludziom, którzy z niewłaściwego punktu rozpoczęli dzieło odrodzenia krajowców—od pierwszego albowiem przedświu w historii, cywilna, towarzyska organizacya, poprzedzała zawsze religijną i moralną oświecę.

W Południowej Nowej Walii rząd kolonialny, pod naciskiem prostych cywilizacyjnych wymagań, musiał nakoniec ułożyć kodeks prawny dla krajowców; spóźnione jednak a niejasne prawa rozerwały jedynie węzły poprzednich zobowiązań, które ich, bądź co bądź, w pewnych karbach utrzymywały. Późniejszy akt uznający Australijczyków legalnymi poddanymi Anglii, podciągnął ich tylko pod kryminalne ustawy angielskie, dodając jednę sprzeczną więcej do innych przesławowych rozporządzeń rządu. Naturalizacya owa wyłącza ich od zasiadania w sądach przysięgłych, od świadczenia w trybunałach i tworzy nową jakąś, bezładną procedurę, co wszystko razem wzięte, zamienia Australijczyków w trudną do określenia kastę: „ani czarna, ani biała,“ według ich własnych wyrażeń.

wyjawszy kilku rozproszonych tu i owdzie rodzin, lub pojedynczych włóczęgów, już ich tam wcale nie widać. Owi niegdyś tak odważni, tak zaciekle broniący swój niepodległości mieszkańcy, dziś w pogardzie i lekceważeniu u najnędniejszych Europejczyków — znikczemnieni, potulni, wstydem przejęci, niezręczni, podejrzliwi, źle ukrywający gwałtowne poczucie gniewu, oburzenia i zemsty, wynędniali i łachmanami okryci—owi rodzimi panowie ojczystego gruntu, bardziej podobni do widm przeszłości niż do żyjących ludzi, z trudnością wloką smutne istnienie swoje, ku smutniejszemu jeszcze końcowi.

W Ziemi Van Diemen dramat wytępienia krajowców inny zwrot przybrał. W ciągu kolonizacyi, wyrzutki społeczeństwa zajmując najdalej posunięte lub najwięcej w głąb kraju zachodzące miejscowości, przywykli pogardzać wszelkiemi prawami, które siłą zwierzęcą obalić mogli, napadli łowieckie krajowców dzielnice, uprowadzili kobiety i dali początek szeregowi krwawych to najść, to odwetów, które spowodowały nareszcie ogólne Białych i czarnych powstanie, a zakończyły się ujarzmieniem tych ostatnich i przesiedleniem ich w r. 1835 na wyspę Flinders. Rząd był zmuszony chwycić się tak surowego środka, aby stanowczy kres położyć mordom i rzeziom zagrażającym istnieniu cywilizacyi w tym kraju (1). W epoce deportacyi krajowców w 1835 r. liczba tychże

(1) Buenos Ayres 1836. Był to jeden z tych rozkosznych sierpniowych wieczorów, które—nie pomnę według czyjzego zdania—, „font aimer la vie“ (dają życie ukochać), a spędzone wśród bujnych łąków, wśród błogiej ciszy na łonie przyjaźni, mogą najsukuteczniej usposobić do szlachetnych uczuć, pocieszających rozmyślań i miłych wrażeń—słowem, jeden z tych dni, w których umysł zapomina o zdrożnych świata dążnościach, o ucisku tyranów i rewolucyach narodów. Tu jednak w Buenos Ayres, w tój wielkiej owczarni, na krwiożercze morderstwa wilków ciągle wystawionej, najhojniejsze dary natury wywołują tylko złorzeczenia, a dzień najpogodniejszy przyswieca jedynie gwałtom najokrutniejszego z ludzi. Zdarzenie, które tu opisać zamierzam, odbyło się na placu Retiro—rząd hiszpański przeznaczył go niegdyś do przechadzki, jako miejsce zabaw publicznych; Rozas, teraźniejszy naczelnik Rzeczypospolitej, zamienił je na plac egzekucyi dla swoich krwawych wyroków. W obecnym wypadku postanowił on już nie krew swych współobywateli, ale krew biednych Indian przelewać. Ofiary dnia tego trzymano w wielkich barakach środek placu zajmujących i po dziesięć na raz wprowadzano w zautek, który się z muru dotykającego baraków, pod kątem prostym tworzył. Tam, usadzeni rzędem na drewnianej ławie, nieszczęśliwi otrzymywali mordercze pociski. Niestety! nie było to dobrodziejstwo natychmiastowej śmierci—żołnierze, choć tuż obok stojący, nietrafnie mierzyli, kałczyli, a nie zabijali; strzały ich były tylko hasłem dla innych oprawców, którzy się rzucali wtedy na powalonych biedaków, kłóli nożami i skrawione ich trupy wlekli na wozach o jakie dwadzieścia kroków od egzekucyi.

dochodziła 210. Gdy im ich odwiedzał 1842 r., to jest po upływie lat siedmiu, ograniczała się tylko na 54 indywiduach, a kiedy każda rodzina australijska wewnątrz Nowej Hollandyi, nieskażona zetknięciem z rasą białych, roi się gromadami dzieci, mieszkańcom

Śmierć pierwszych dziesięciu była zapowiedzią straszniejszego jeszcze losu dla następnych. Gdy wyprowadzono pierwsze ofiary, trawa była jeszcze zielona i świeża, ławka czysta, oprawy krwią nie zbluzgani — pierwsi też stanęli wobec śmierci z odwagą i pogardą, które wściekłością musiały napełnić serce mordującego ich tyrana; ale kiedy druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta i dziesiąta i jedenasta z kolei przybliżała się gromadka — bo wszystkich razem nieszczęśliwych Indyan stu dziesięciu było — kiedy ujrzeli krwią własnych braci przesiąkniętą murawę, obłąaną ławkę i straszliwie zbuczonych siepaczy — kiedy ich samych, na śmierć skazanych, okrucieństwo katów zniewoliło przyglądać się pierwój ciałom już pomordowanych ofiar, — wtenczas na taki widok każdy Indyanin zadrżał ówczas i zadrżała całą siłą wstrętu pokrzywdzonej w instynktach swoich natury. Kilka słów jego urwanym, gwałtownie wykrzykniętym, było może zawezwaniem do zemsty całej rasy współkrajowców przeciw okrutnym plemionom białych! — a może było bluźnierstwem rozpaczy i wściekłości przeciw temu Bogu chrześcian, którego on nie mógł za swego Boga uznać.

Takie było postępowanie białych w Sierpniu 1836 r. Zobaczmy teraz jak postąpili sobie Indyanie względem miasta Buenos-Ayres w r. 1806, kiedy gród ten zostawał w ręku Anglików, a ciemnota krajowców sprzyjała powstaniu, które księża ze wszystkich ambon głosili przeciw ludziom nazywanym nieprzyjaciółmi kościoła rzymsko-kościelnego i pokoju, wrogami Boga i bliźnich — niechaj różnicę zaświadczy znaleziony w archiwum Buenos Ayres-dokument:

Szlachetne postępowanie Indyan.

W skutek nieszczęśliwych okoliczności, które Buenos Ayres oddały w ręce Anglików, dwudziestu siedmiu Indyan spiesznie opuściło miasto dla połączenia się ze swymi rodakami. Uwiadomieni o zaszyłych wypadkach, bracia ich z obozu, szczerze współubolewać zaczęli tak ze względu na poniesione przez nas straty, jako też ze względu na niepomyślne następstwa, jakie dla ich handlu zajęcie stolicy mieć mogło. Rozbudzenie więc własnego interesu na równi może z przywiązaniem, które dla nas czuli, podnieciło ich zapał wojenny. Zwołali niezwłocznie zebranie (meeting), na którym uchwalili pokój i zgodę wśród zwaśnionych pokoleń: Ronguelów, Aukarów i Aurakanów z jednej, a Pampasów, Guehuelchów, Orików z drugiej strony — pokolenia te bowiem prowadziły z sobą zaciętą wojnę od trzech już lat blisko — teraz wysłano do nich z żądaniem, aby zapominając własnych uraz, mogli tém skuteczniej pomścić krzywdy Karola IV i oswobodzić miasto od „czerwonych jego nieprzyjaciół“, jak zwali Anglików. Plan ten przyjszny, godny najwyższych pochwał, zupełne powodzenie uwieńczyło. Złączeni Indyanie ruszyli w pochód i stawili się przed nami, ofiarując nam 3,000 najdzielniejszych rycerzy i 1,000 rączych koni.

Wojownicze te pokolenia uzbrojone były w *tatera*, rodzaj przyłbicy z potrójnej skóry; w *peto*, skórzaną koszulę ze czterestnastu skór na grubość zeszytą, a kule odbijającą; we włócznie osmnaście stóp długie; w szerokie noże, zatrute strzały i metalowe *bolas* (1). Dowodził nimi odważny kacyk Carrañhlon, mający pod swoją komendą kacyków: Teralef, Millanan, Caranan, Ksatipi, Curatipai, Quidulef, Quintulepi, Coromil, Huachapan, Harapuenti, Epumur, Baylahuan, Catrumilla, Huachecatamilla, Calfaquiz, Calfuanti, Czarnego Kacyka i Lunę z kilku innymi kapitanami i oficerami. Sprzymierzono

wyspy Flinders w ciągu ośmiu lat przybyło tylko czternaścioro potomstwa.

pokolenia ofiarowały się prócz tego, że nam w razie potrzeby ze dwanaście tysięcy ludzi dostarczą. Na te szlachetne propozycje, prześwietny urząd miejski pospieszy z odpowiedzią, iż szczerze ocenia tak wielki dowód przyjaźni, ale w obecnej chwili wszelką pomoc zbytęcną jeszcze sądząc, uprasza ich, by powrócili na granicę i tam dalszych oczekiwali rozkazów. Jednocześnie wszelako wynagrodzono dobre chęci tych dzikich sprzymierzeńców, których niesłusznie przedstawiano jako najgorszych wrogów naszych, i szczerze rozdano między nich podarki zastosowane do ich życzeń i upodobień. (Wyjątek z *Semanaris de Agriculture, Industriay Commercia del Miercoles* 22 Octobre 1806).

Od owej chwili, jakimże występkiem Indianie ściągnęli na siebie nienawiść i zemstę białych? W kronikach indyjskich nie znajdzie się usprawiedliwienia takich zbrodni, trzeba go szukać w dziejach wychodźstwa Hiszpanów do Nowego Świata, w tej chęci zysku, w tej nienasyconej chciwości, która płami nie jednę kartę historii ucivilizowanych narodów. Dzieje osadnictwa Williama Penna w Pensylwanii a Jezuitów w południowej Ameryce, stanowią jedyny wyjątek mogący służyć za dowód dziwnej sprzeczności między najwznioślejszemi i najnikczemniejszemi stronami natury ludzkiej.

Gdziekolwiek Europejczyk stąpił na ziemię Nowego Świata, gdziekolwiek krajowcy depnącemu ich prawa, religią i zwyczajami opór jaki stawili, tam wszędzie nazwał ich dzikimi, ogłosił za nieprzyjaciół Boga i cywilizacji. Tutaj, równie jak we wszystkich innych krajach, przybycie Hiszpanów łączy się z bolesnemi wspomnieniami. Wpływ Jezuitów był przychylny dla Indian, lecz Jezuiti niebawem wyrugowani zostali, a Hiszpani ponowili krwawe grabieże swoje.

Po wyzwoleniu się kolonii, przemysł ich rolniczy handlem zagranicznym wsparty, przynosił tak wielkie korzyści, że to wśród białej ludności rozbudziło żądę posiadania własności ziemskiej. Nie poprzestając na bogatych zaborach, jakie na nią w dziedzictwie po Hiszpanii spadły; zaborach, których ona ani dla siebie, ani dla drugich korzystnym uczynić nie potrafiła—rasa białych posuwała się nieustannie ku południowi. Indianie, spędzeni z wybrzeży la Plata, gromadzą się znowu po za Rio Colorado, gdzie również każdej pigdzy ziemi bronić muszą przed napastnikami, gdzie żyją w ciągłych zatargach i mordach; okupionych zwykle stracją kobiet i dzieci, które zwycięzcy uprowadziwszy daleko, jako niewolników sprzedają. Odwet Indianina podobnież granic umiarkowania nie zna. Mniej zależny niż nieprzyjaciół od potrzeb życia, mogący się obejść po kilka dni czasem bez wody surowem mięsem końskim, ciągle on stoi na czatach, ciągle przeszkadza, napada, zaczepia, a niepewnych losów porządnej bitwy unika, nie dlatego, jak sądzą, by mu zbywało na odwadze, ale dlatego, że taki rodzaj walki nie zgadza się z jego taktyką, wśród sprzyjających równin i pustkowi, bardziej do konnej partyzantki (guerilla) skłonna. Za zbliżeniem się wojska nie przyjacielskiego Indianin znika ze swego obozu z szybkością orła, by niespodzianie rzucić się na ostatnie tylnę straż szeregów; przebiega pampasy, odcina maruderów,

1) Miejscowa ludność tak biała jako też czerwona z zadziwiającą zręcznością używa tej broni, którą składają dwie kule na dwóch końcach długiego rzemienia osadzone. Wszystko tu od trafności silnego rzutu zależy; rzemień obwija się dookoła i kępuje ofiarę, kule zaciskają się w węzeł nie do rozerwania, a samo ich uderzenie kości zwykle gruchocze. (Przyb. tłómacza).

Wobec tak zupełnego niepowodzenia planów, starań i usiłowań, mających na celu cywilizacyą, chrześcijaństwo i ocalenie ginącej rasy australijskiej, pozostaje jeszcze wypróbować i zastoso-

urządza zasadzki na podróżnych, napada i rabuje osady, morduje rolników, porywa kobiety i znowu znika z tą samą szybkością, nie, że jest, jak dowodzą, podstępny i zdradzieckim, ale że cel swój zemsty już osiągnął.

Ten ciągły odwet, ciągłą napaścią wywołany, w przekonaniu białego człowieka jest zbrodnią, której Indyaninowi przebaczyć nie można. Biały też nie ogranicza się na prostych zarzutach. Nie mogąc zmusić nieprzyjaciela do otwartej walki, człowiek, który tu jest przedstawicielem cywilizacyi, sam ucieka się do podstępu i nie cofa przed najnikczemniejszą zdradą, byle dzikiego wciągnął w swoje sieci. Takim to sposobem w Kwietniu r. b. stu sześćdziesięciu wodzów indyjskich pod rękojmnią najprzychylniejszych zapewnień wezwano do fortu de Souce na południu Cordovy, przy Rio Guarto i tam z zimną krwią zamordowano. Podobnież stu dziesięciu dowódców w Retiro padło ofiarą swój łatwowierności i zbytelnego zaufania.

Trudno pojąć, aby w tym wieku cywilizacyi, kiedy pod wpływem opinii filantropijnych i ducha prawodawczego, wszędzie pracują nad uchyleniem, lub przynajmniej złagodzeniem wymierzanęj kary—tu jeszcze tak często trzeba było spotykać ludzi z dziką ludzkęj krwi pożądlivością i widzieć, jak nakazują drugim, podobnym sobie potworem, występne a bezużyteczne mordy, których oni z najzupełniejszą obojętnością dokonywają.

Im bliżej zapoznawamy się z historią tęg części świata, tęg bardziej czujemy się upokorzeni spotykając Indyanina, i chcielibyśmy niemal *czarnymi* wydać się w jego oczach.

Te obrazy nieszczęść i zbrodni smutnym są przedmiotem uwag dla podróżnika, który ma sposobność przypatrzeć im się na miejscu i w dzienniku swoim je opisuje. Odległość względem Europy nie powinna tych zdarzeń ogalać ze współczucia, jakiego się dla nich od cywilizacyi wymaga; bez wątpienia znajdują one echo w sercu każdego prawego człowieka, a kiedyś może znajdą i pióro wymowne, które z energią sprawiedliwego oburzenia w powszechną ohydę poda ludzi, co się takich zbrodni dopuszczają wraz z ludźmi, co spokojnie zezwolić na nie mogą.

Lud silny a moralny, zawsze pierwszy do pochwycenia każdej myśli wzniostej, szlachetnej i uznaczającej politykę naszego stolecia—lud angielski—dał nam dzielny przykład postępu w moralnych zasadach swego rządu. Najlepszym tego dowodem jest akt przed paru laty wydany; zdawaćby się mogło, że go sama wcielona filozofia u stopni tronu siedząca, za pośrednictwem lorda Glenelg (Karola Grant) dyktowała—istotnie wartoby go złotemi literami przepisać, warto wszędzie ogłosić i rozpowszechnić na część cywilizacyi XIX wieku.

W roku 1834 Kafrowie w liczbie 15,000 napadli spokojną osadę Przylądka Dobręj Nadziei i dopuścili się tam gwałtów najdzikszego barbarzyństwa. W skutek tak smutnego zajścia, spadł na kolonię ciężar utrzymania 8,370 zbiegłych do nięj nieszczęśliwych rozbitków, a jednocześnie sama zubożała o 51,000 sztuk bydła, 2,339 koni, 188,195 owiec, przyczem 369 domów w nięj spalono, a 261 zrabowano. Rząd kolonii spieszenie i skutecznie odparł Kafrow i ukarał ich śmiałość. Sprawozdanie podane przez miejscową władzę ministrowi angielskiemu, tak opisuje te wypadki:

„W czasie objazdu komissarza wyznaczzonego na opodatkowanie pokoleń Gaika i Lambie okazało się, że strata ich w ciągu naszych działań wojennych wynosiła: 4,000 wojowników t. j. żołnierzy, między którymi wielu kapitanów. Nasza strata

wać jeden środek (1), prawdziwie godny angielskiego rządu: należy wysłuchać głosu i zadośćuczynić ostatniej prośbie wygnańców, ostatniemu życzeniu małej ich garstki przy życiu pozostałej. „Zostawcie nas, wołają, naszym obyczajom i nawykniением—zmuszając do biernego posłuszeństwa, nie zatruwajcie krótkich dni wydzielonej nam przyszłości—nie urągajcie obojętnemu lenistwu względem cywilizacji, która się dla nas nie nadaje. Jeżeli umiecie być wspinałomyślnymi dla podbitych, wybawcie nas od głodu, który do rozpaczyny przyprowadzając, zmusza nas i pasterzy, i trzody wam mordować. Nasze pola, nasze lasy zaopatrywały nas niegdys obficie w pokarm roślinny i zwierzęcy; dziś nam odjęte, dziś do was należą razem z płodami swojemi. Wam się powodzi na ziemi naszej rodzinnej—my na niej z głodu umierać musimy!

szczęśliwie nie dochodziła stu ludzi nawet, a w nich było tylko dwóch oficerów. Prócz zdobytej i pod panowanie nasze już zagarniętej ziemi, wzięliśmy jeszcze zwyciężonym napastnikom: 60,000 sztuk bydła i wszystkie prawie, jakie tylko posiadali, kozy. Mieszkania ich wszędzie z ziemią zrównano, spustoszone ogrody i pola; tym sposobem więc niezbyt srogo, ale dostatecznie ukarani zostali.

Lord Glenelg, minister wydziału osad, w następujący sposób wyraża się o powyższym wstępie do sir Beniamina d'Urban, gubernatora przyłądka:

„Czuję się w obowiązku wypowiedzieć żal głęboki, z jakim szczegóły te czytałem. W starciu wojska regularnego z hordami dzikich ludzi, prostą koniecznością jest ogromna nierówność w stratach jednej, a drugiej — ale wydanie całego kraju na zniszczenie, skazanie na głód całej ludności, to już staje się obostrzeniem nieuniknionych okrucieństw wojny, a obostrzeniem tak wstrętnem dla wszelkiego uczucia sprawiedliwości i tak sprzecznem ze zwyczajami ludów ucywilizowanych, że nic by mnie unwinnić nie mogło, gdybym otrzymawszy podobne sprawozdanie, nie zażądał od pana dalszych objaśnień. Honor imienia Anglii domaga się odebrania i złożenia publicznego dowodu, że tylko smutna konieczność zmusiła do użycia w tak okrutny sposób nieprzewyżczonej potęgi JKMości.“

Nigdy organ rządowy nie wyraził się z większą ludzkością i głębszym politycznym rozumem o zwycięztwie, które pochlebiało uczuciu zemsty i próżności narodowej. Opinia kraju przyklasnęła naganie lorda Glenelg, a zwycięzka osada poparła ją, wstrzymując się od illuminacji i tym podobnych objawów radości prawdziwie barbarzyńskiej, wywoływanych częstokroć niemniej barbarzyńskimi czynnościami (z dziennika autora).

(1) Mylili się ci, którzy przypuszczając ich przeistoczenie moralne, proponowali dla nich stan służebności u białych; nie zgadza się to ani z ich instynktem, ani z ich zwyczajami. Ze spostrzeżeń nad temi dwiema rasami poczynionych, z pewnością niemal wnioskować można, że łatwiej sprowadzić białych do jednych pojęć z czarnymi, niżeli tych ostatnich podnieść w wyobrażeniach i zwyczajach do wysokości naszej rasy.